KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 12/267** **1969**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

PELIKAN : **NIE DAĆ SIĘ OSWOIĆ**

B. CZAYKOWSKI : **"THE HISTORY OF POLISH LITERATURE" CZESŁAWA MIŁOSZA**

Al. SOŁŻENICYN : **PRAWA DŁOŃ**

R. F. STAAR : **STRATEGICZNE MOŻLIWOŚCI ZSSR**

SPIS RZECZY

Pelikan:	*Nie dać się oswoić*	3
Bogdan Czaykowski:	*„The History of Polish Literature" Czesława Miłosza*	11
Czesław Miłosz:	*Zapisane wczesnym rankiem*	29
Aleksander Sołżenicyn:	*Prawa dłoń*	31
Aleksander Sołżenicyn:	*List otwarty do Zw. Pisarzy Sowieckich*	41

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Gustaw Herling-Grudziński:	*Pożegnalny list*	43
Tymon Terlecki:	*„Pan Jerzy"*	46
Hans Zbinden:	*Wielki polski emigrant*	56

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Rozmowy z młodymi*	60
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	68

SĄSIEDZI

Richard F. Staar:	*Strategiczne możliwości ZSSR*	77
Adam Kruczek:	*W rosyjskiej prasie*	88
Konrad Brodziński:	*Lenin za gumę do żucia (2)*	93

K R A J

Antoni Gutowski:	*Polska droga do... (dok.)*	104
—	*Z ostatniej chwili*	117

SPRAWY I TROSKI

Alina Grabowska:	*Raj utracony — raj odzyskany*	118
—	*Rosnąca ofensywa na Polonię*	130

K S I Ą Ż K I

M. Broński:	*Mandaryni, liberałowie i anarchiści* ..	131
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	135

◆

—	*Wydarzenia miesiąca*	136

◆

J. M. Bocheński, O. P., H. Czarnocka, Z. Fonberg, J. Godlewski i Odpowiedź Redakcji, J. Kowalik, J. Maurer, L. Mitkiewicz:	*Listy do Redakcji*	143

◆

—	*Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1969*	149

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień-Décembre 1969

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Krystyna Eichler, Hollywood, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na grób Witolda Gombrowicza ..... F. 55,00
Inż. Ryszard Głodkowski, 54 Saint-Max (Francja), po raz piąty F. 50,00
Feliksowie Hasińscy, Philadelphia, Pa. (USA) — po raz trzeci — zamiast życzeń noworocznych znajomym we Francji i Ameryce F. 33,00
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz szósty ..... F. 84,00
P. J. B., Montreal F.130,00
Iza de Neyman, Nicea (Francja) dla uczczenia pamięci J. Stempowskiego F.100,00
Nina Sereda, Montreal, po raz dwudziesty ósmy — na Fundusz serii „Archiwum Rewolucji" w Bibliotece „Kultury", zamiast kwiatów w dzień Zaduszny na znane i nieznane groby moich najbliższych z rodziny F.145,00
Bezimiennie, Chicago (USA), po raz czwarty ..... F. 65,00
Bezimiennie, Santa Barbara, Cal. (USA) F.110,00
Wiktor Weintraub, Cambridge, Mass. (USA), po raz trzeci F.250,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY DLA UCZCZENIA PAMIĘCI J. STEMPOWSKIEGO

Barbara Wanders-Vincenz, ... FS. 20,00
Maria Wasung, Genewa ..... FS. 20,00
Krystyna Wasung, Genewa ..... FS. 10,00

◆

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA" W. GOMBROWICZA

(Lista Nr 2)

N. F. Brookes, Stourbridge, Works.,
Ryszard Chętkowski, Berkeley,
Krystyna Eichler, Hollywood,
W. Gniatczyński, Monachium,
Harvard College Library, Cambridge,
Michał Jacewski, New York,
Stena Kałużniacka, Phoenix, Arizona,
Jan Kempka, Washington,
Z. Kosiński, Londyn,
Jan Kott, Stony Brook, N.Y.,
Kubon & Sagner, Monachium,
Z. H. Kuźma, Amsterdam,
William Larson, Madison, Wis.,
Sophie Lemarie, Nanterre,
Dr Zygmunt Łakociński, Lund,
Dr Edward Możejko, Edmonton, Alta,
Arthur Marquart, Chicago,
Helena Najmola, Brooklyn,
E. Neustein, Tel-Aviv (3 przedpłaty),
Zygmunt M. Olearczyk, Chicago,
Barbara Paumgarten, Brooklyn,
Józef Marek Plotast, Graz,
S. Poniecki, Calgary, Alta,
B. Przyłuski, Londyn,
Dr A. Richter, Bahamas,
Krystyna Siwińska, Toronto,
Jan W. Skotnicki, Los Angeles,
T. Sołowij, Montreal,
K. Sowiński, Monachium,
Łucja Świątkowska. New York,
Konrad Tarwid, Los Angeles,
Aniela Ulatowska, Bordeaux.

Imprimé en France

Nie dać się oswoić

Na początku roku jedno z większych pism, *Polityka,* zaprosiła kilkunastu ludzi do wypowiedzenia się na temat zmiany modelu człowieka-obywatela w powojennej Polsce. Zastrzeżono sobie, że uwagi nie mogą przekraczać półtora czy dwóch kartek maszynopisu. Miało się do wyboru: albo wysłać parę aforyzmów, jak do sztambucha, albo zdobyć się na jakąś niesłychaną kondensację, co w rezultacie nie byłoby czytelne, zważywszy, że wiele miejsca i mitręgi należałoby poświęcić na konieczne ostrożności, stylizację, eufemizmy i *savoir-vivre,* który obowiązuje na linii społeczeństwo-cenzura. Był więc to ze strony redakcji najtypowszy podstęp. Kilkunastozdaniowe wypowiedzi ukazywały się w ciągu pięciu czy sześciu numerów opatrzone facsimile autorów i wyglądało to symetrycznie, zgrabnie, pewnie w redakcji winszowano sobie tego pomysłu, ale nic to nie było warte.

Temat był i pozostał kapitalny i jednak ankieta miała wielką wartość — jako okazja do przemyślenia sobie tego rodzaju tematu, nawet była więcej niż okazją, bo prowokacją: ale naturalnie tylko dla tych, którzy podobne rachunki robią do szuflady, czy w monologach wewnętrznych, słowem dla osób nawykłych gadać do obrazu. Taki typ publicysty, nie wykraczającego poza wewnętrzny monolog, jest u nas faktem społecznym i ekologicznym i nawet całą tę odpowiedź na ankietę od tego należałoby zacząć, to znaczy od opisu tego typu obywatelskiego, rzeczywiście nowego, który jest oryginalnym produktem sytuacji *hic et nunc.* Pisałem już o tym w zeszłym roku: od wielu lat w kraju gromadzi się suma niewypowiedzianych myśli, które wytwarzają pewien rodzaj ciśnienia od dołu, co może kiedyś mieć skutki gwałtowne i ostatecznie pozytywne, ale na razie wiemy o tym tyle tylko, że to zahamowanie truje organizm. Świadomość musi pozostawać w ruchu

i to w ruchu celowym, jak w obiegu krwionośnym — znane prawdy. Podobno w Związku Radzieckim ludzie przesyłają sobie metodą łańcuchową wypisy co śmielszych myśli. U nas jeszcze do tego nie doszło i nie wiadomo o czym to świadczy, prawdopodobnie dowodzi to, że mimo wszystko klapa jest mniej szczelna. Zresztą nie ma nic absolutnego i totalnego, a nie mówię tego z dystansu filozoficznego, na który tu nie ma czasu i nerwów, uświadamiam sobie po prostu wielkie niebezpieczeństwo uproszczeń, bez czego artykuł taki jak ten i tak nie potrafi się obejść. Trzeba nad tą tendencją panować. Życie narodu pod każdą formą rządów, a zwłaszcza w państwie rządzonym w złej wierze i głupio — jest nieskończenie różnorodną całością, nie ma takich parametrów, które dałyby radę ze wszystkimi prywatnymi i społecznymi czynnikami, jakie się w tej żywej masie krzyżują. Więc ograniczam się tylko do części tego niezmiernego zjawiska, próbuję zdać sobie sprawę ze stosunków — i tak dostatecznie skomplikowanych — między rządzonymi a rządzącymi. Pamiętam, że dwa lata temu pewien bardzo młody człowiek, student ekonomii, pełen energii i inteligencji, a bliski mi osobiście — powiedział: tak, ale ja wolę rządzić, niż być rządzonym. Tak poważnie wierzył w swoje prawo do życia maksimum, do kariery — którą na pewno rozumiał uczciwie — że nie powiedziałem mu ani słowa. Tak, jak w tej ankiecie *Polityki* trzeba by było bardzo długo mówić, a on był za młody, żeby długo słuchać. W zeszłym roku w marcu chłopiec został wylany z uniwersytetu też nie przypadkiem, ale za to co mówił i robił. Jednak na tym sprawa się nie kończy. Zdaje się, że niedawno ocknął się z przygnębienia i znowu szuka sposobów zaadoptowania się. Nie to, żeby giął kark, ale w żaden sposób nie chce uwierzyć, że można żyć w sposób częściowy, warunkowy, jechać wozem na jednym kole. Niechże mu ktoś wyperswaduje, że tutaj jest moc ludzi, którzy właśnie z taką koncepcją jazdy muszą się liczyć i nie widzą innej rady!

Wracam do ankiety. Oficjalnie uważa się za truizm, że zmiana modelu obywatelskiego po wojnie okazała się pozytywna, a marginesowa dyskusja powinna dostarczyć już tylko subtelnych przyjemności dialektycznych. Dialektyków można wytresować, ale nie tych, co monologują. To prawda, że elita i jej baza, inteligencja — mniej więcej według terminu zaproponowanego kiedyś przez prof. Chałasińskiego, a więc klasa obyczajowo i kulturalnie pochodna od szlachty — musiała ze swego miejsca ustąpić na rzecz innych i znacznie liczniejszych elementów. Trzeba jednak dodać, że stawiły się one na zmianę wachty w stanie surowym, nie przygotowane i nieurobione — bo niby kiedy i jak? To był żywioł, częściowo nastrojony cynicznie, bo wspierany szansami łatwiej kariery w rozmaitej skali, bez obowiązku kształcenia się. Zakończenie wojny i nowe władze pomogły temu procesowi ile się dało, bo to leżało w ich interesie, zmitologizowały go w języku urzędowym i w języku quasi-naukowym. Ale to nie była rewolucja, jak się potem chętnie przechwalano, tyle tylko, że, jak w prawdziwej rewolucji, stało się to z dnia na dzień. Wojna przejęła na siebie niektóre zadania rewolucji i przede wszystkim osadziła nową władzę, która jednak miała ważną skazę pierworodną, pewien organiczny brak: doszła na swoje miejsce nie drogą dyskusji, walki, heroizmu, które są notorycznymi cechami każdej rzeczywistej rewolucji, ale mechanicznie i nie na swoich nogach. Przyjechała ta władza w formach prefabrykowanych, jak popularne w tym okresie domki fińskie. A to w istocie historii czyni dużą różnicę. Jak to można było przewidzieć okazało się, że jakość tej ekipy rządzącej jest inna i ich robota przemienia się im w ręku, jakby traciła po drodze ważkość. Po 25 latach żyjemy w państwie, któremu brak autentyzmu.

Inteligencji starego typu nie skasowano biologicznie, wykonuje ona po staremu niektóre zawody, a jej siła atrakcji, zredukowana w dziedzinie obyczajowości, może nie przestała się liczyć w innych sprawach, abstrakcyjnych, ale w tym kraju mających zawsze niezwykłe znaczenie, więc w dziedzinie patriotyzmu. Patriotyzm był u nas zawsze zagadnieniem osobnym, można o nim powiedzieć, że był to patriotyzm spotworniały, wykrzywiający niekiedy rzeczywistość, w każdym razie odbierający swobodę zwykłemu życiu prywatnemu. Otóż, jakby nie było, model patriotyzmu, tego autentycznego, który dochodził do głosu w roku 1967 i w marcu 1968 — nie zmienił się według zaleceń importowanej władzy. Wywodził się z tej samej starej kultury politycznej, którą naród nabywa na własną rękę, własnym kosztem, przez długie pokolenia. W dalszym ciągu nie ma mowy o wszczepieniu, na przykład, patriotyzmu, który każe być dumnym z jakiegoś żołnierza poległego w czasie ostatniego najazdu Czechosłowacji. W zeszłym roku były u nas i takie próby zademonstrowania nowego modelu obywatela, o czym naturalnie ankieta nie mogła wspominać. Wiosną 1968 wystąpiła młodzież różnego pochodzenia klasowego i z pretensjami dotyczącymi kwestii socjalizmu, zresztą traktowanego serio i nowocześnie (co uniemożliwiło dialog z władzami). Ale wspornik patriotyzmu, który decydował o tym wystąpieniu był, pomijając różnice języka i formy, ten sam, taki sam, co przed trzydziestu laty i przed stu laty.

Można się targować, czy i w jakim stopniu dawna elita zachowała swoje wpływy, ale nie ma wątpliwości, że jej następcy nie mają żadnych wpływów, jeżeli się pominie przymus stosunków między władzą a społeczeństwem. Nie ma nowych inspiratorów, nie ma przewódców, choć nie mówię tego z tęsknoty za różnymi

przewódcami sprzed wojny. Może nie całkowicie nas odcięto od źródeł autentycznej kultury politycznej, ale nie ma dwóch zdań, że w odpowiednim miejscu struktury państwowej, na górze, tchnie pustką. Ludziom, którzy tam siedzą arbitralnie, a znaleźli się tam bez wynoszącego w górę ruchu rewolucji, tylko się wydaje, że zajmują swoje miejsca. Tam nie ma nikogo. Jedną z wielu możliwych definicji dzisiejszej Polski jest sztuczność i widmowość kierownictwa, które zjawiło się tu jak *deus ex machina*. Ładne mi widma, które pakują do więzień, okłamują i rujnują gospodarczo! Ale w pewnym sensie ich istnienie ma charakter platoniczny, nie może się liczyć i może tak to kiedyś potraktuje historia, mimo tych 25 lat groźnej mistyfikacji, których końca nie widać.

Bezradność tych ludzi rzuca się w oczy w wielu dziedzinach, ale najoczywistsza jest bezradność wychowawcza i to przesądza o modelu obywatelskim. Żywioł nowych ludzi miał za sobą czas, propagandę, politykę — a jednak nie zdołał się ustabilizować i ułożyć pozytywnie w podsuniętych mu formach. Gdyby nie było na to innych dowodów, wystarczy wskazać na stosunek do pracy, którą traktuje się na ogół tak, jakby nie leżała we własnym interesie, co można porównać, naturalnie wyjaskrawiając sprawę, ze stosunkiem do pracy w okresie okupacji. Ograniczone sukcesy w naukach humanistycznych wywodzą się z ducha tamtej odsuniętej elity, są produktem jej częściowej, mimo wszystko, obecności, a jeszcze bardziej — być może — jej bardzo znaczącej nieobecności. Sukcesy w technologii, skrępowane zresztą niekompetencją rządu, mają naturę kosmopolityczną, przypuszczalnie tak jak sztuka. Sukcesów gospodarczych w ogóle nie ma, jest magiczne trwanie w deficycie — również w szerszym znaczeniu tego słowa — a jeżeli, na przykład, oficjalnie nikt pary z gęby nie puszcza o kolosalnym deficycie planu gospodarczego i o jeszcze gorszych perspektywach — to nie tylko dlatego, że taka jest zasada propagandy, ale i dlatego może, że nikt tym tak naprawdę na szczytach się nie przejmuje. Utrata posad nikomu nie grozi, szczyty nie były i nie są obsadzane według kryterium kompetencji i dlatego wciąż gra ten system przelewania z pustego w próżne: jakiż to cudowny system, jakie ciekawe zjawisko — poza prawami naturalnymi — szkoda, że odbywa się kosztem narodu. W systemie przelewania z pustego w próżne można utrzymać się na mniej więcej tym samym poziomie, ale nie ma żadnej szansy ulepszenia życia, ozdobienia go i natchnienia godnością.

Nie może być mowy o wychowaniu obywatela, którego równocześnie napycha się spreparowaną karmą polityki, i zabrania mu się mieć w tej dziedzinie zdanie, myśleć i współuczestniczyć. Ateńskie pojęcie demokracji w tej epoce uległo zwyrodnieniu i nieuniknionym pewnie modyfikacjom, ale w Polsce został z tego

tylko wyraz i to wyłącznie na określenie pewnych zmian obyczajowych, np. zaniku różnych form służebności między ludźmi odmiennych pozycji. Możliwości współuczestnictwa w rządach są na ogół wszędzie ograniczone, częściowo iluzoryczne, ale i w tym najgorszym wypadku to jest potrzebne i cenne, jako impulsy w pracy i ambitnym życiu. Złudzenia, a w każdym razie marzenia są taką samą koniecznością ludzkiej psychiki, jak np. sen dla utrzymania się w zdrowiu. Tu nie ma o czym marzyć, chyba o zmianie rządów, ale takim marzeniem nie można żyć, jest ono na ogół trujące i po prostu odbiera energię. Mimo tak okrzesanego i adoptowanego pojęcia demokracji partia lubi się tym hasłem bawić. Wybory, otwarcie sejmu — trzeba widzieć, ile wkłada się w to pieniędzy na dekoracje i ceremoniał, ale także powagi i aktorskiej ambicji! Autor „Homo ludens" pisał we wstępie: „Od dawna już i we wzrastającym stopniu umacniało się we mnie przekonanie, że kultura ludzka powstaje i rozwija się w zabawie i jako zabawa". I potem: „W polityce wewnętrznej współczesnych państw znajdujemy liczne ślady czynnika ludycznego — za to stosunki międzynarodowe zdają się, na pierwszy rzut oka, nie nasuwać raczej skojarzeń ze sferą ludyczną. Mimo to jednak sam fakt, że polityczne współżycie popada dzisiaj w niebywałe skrajności przez akty przemocy i zagrożenia, nie jest jeszcze powodem, dla którego mielibyśmy tu wykluczyć z góry pojęcie ludyzmu. Zresztą gra i zabawa może być okrutna i krwawa, a często bywa fałszywa" Genialny Huizinga!

Gdy widzę na ekranie i fotografii wciąż ten sam garnitur twardych głów, z charakterystyczną fizjonomią wolno gadającego belfra i z łysą pałą tyjącego z roku na rok żelaznego premiera — pozujących najczęściej za stołem prezydialnym, czasem na lotnisku, w salach recepcyjnych, w uroczystościach fabrycznych, ale nigdy na ulicy — to nie mogę się obronić przed wrażeniem, że to też w końcu ludzie, którzy też muszą się zabawić. Brak tej typowości jednego elementu: poczucia żartu, nie mówiąc już o satyrze. Jak pewnie wszyscy czytelnicy zauważyli, w Polsce nigdy nie było satyry rysunkowej dotyczącej osób rządzących, a krążące kawały, pyszne, jak to w Polsce, mają charakter wybitnie pantoflowy. Ale to już jest sprawa genezy tej władzy, jej wschodniej szkoły, której główną przesłanką był zawsze kult personalny posunięty do granic obcych dla kultury zachodniej.

Obywatel PRL jest przedmiotem a nie podmiotem, to jest dopiero truizm, robi się pewne minimalne wysiłki ekonomiczne i ogromne propagandowe, żeby go utrzymać w stanie ograniczonej wydolności roboczej. Nie przesadza się w tych staraniach. Zdawałoby się, że to nonsens, że ogromny robot bloku tzw. demokracji ludowych nakręcany w Moskwie będzie wszędzie, w każ-

dej edycji i przypadku, dążyć do największej sprawności. Jednak różnice tej sprawności rzucają się w oczy, inaczej jest w NRD, inaczej nawet na Węgrzech, a inaczej — i najgorzej — u nas. Rząd warszawski stać było tylko na marnego, albo na zupełnie złego wyrobnika i nic tu nie pomogą nieszczere, czy naiwne ataki różnych moralistów potępiających alkoholizm, bumelanctwo i inne cechy skandalicznego stosunku do pracy. Są społeczeństwa, np. Niemcy, którym idea partactwa jest z natury obca i tym należy tłumaczyć względnie duży rozwój gospodarki NRD, która znajduje się w takim samym czy bardzo podobnym systemie politycznym. Naszego robotnika, rzemieślnika, urzędnika partactwo nigdy specjalnie nie przerażało, nawet gdy był wolny i dopuszczony do głosu, w każdych warunkach współżył sobie nieźle z partactwem. Ale w tej sytuacji to się rozprzestrzeniło jak zaraza, pognębiło i okaleczyło ideę życia w ogóle.

„Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy" — mówi sobie tłum pracujący i zachowuje się dokładnie w myśl tej maksymy, która nigdzie nie wywołuje poważnego oburzenia, raczej humor, ten mały wisielczy humorek, o który u nas wciąż łatwo. Knajpy i kawiarnie są zapełnione od rana, co wzbudza podziw i może szacunek cudzoziemców, np. Szwedów, którzy tu zjeżdżają między innymi po to żeby się uraczyć do syta sprzedawanym pół darmo alkoholem. Inny, zalegalizowany gatunek bumelantów blokuje miejsca w samolotach, wagonach i hotelach, to już jest zupełna specyfika modelu życia obywatelskiego po wojnie — tłumy facetów z wypchanymi teczkami i delegacją służbową w kieszeni włóczą się stadami po całym kraju przez cały rok. Różnym robotom publicznym, budowom, instalacjom, remontom — włączmy tu słynne remanenty! — przypatruje się człowiek z uczuciem zupełnej bezsilności, zresztą może już niewielu to dostrzega, może działa tu jakiś mimetyzm przesłaniający sens tego widowiska. Na ogół w pracę nikt nie inwestuje tu ani ambicji ani zwykłej uczciwości, praca nie jest środkiem kariery, dźwignią życiową, jest biernym i fatalistycznie (z parszywym humorkiem) traktowanym sposobem trwania. Czy może być inaczej, jeżeli w większości wypadków legalne zarobki nie pozwalają na żaden osobisty rozwój, na żadne plany, na ogół nie są wystarczające żeby minimalnie żyć? Najczęstszym źródłem dochodu jest kradzież, w niektórych zawodach traktuje się ją jako regułę i robi to wrażenie, jakby była ona z góry wkalkulowana w koszta własne przedsiębiorstwa. Niektóre zawody gwarantują wyższą stopę życiową, choć nie ma to nic wspólnego z poborami: dobrze jest być ekspedientką sklepu komisowego, która przyjmuje towar tylko za łapówkę, bufetową, kelnerem, szoferem wożącym ludzi na łepka państwowym wozem. Znam pewien sklep z galanterią skórzaną,

gdzie kierowniczka umyślnie niszczy — w odpowiedni sposób — torebki, walizki, rękawiczki, żeby móc je sprzedawać jako wybrakowane.

Jak żyć w takich warunkach? A raczej — jaki znaleźć do tego stosunek? To gnębi najbardziej i człowiek gotów jest uważać, że nie ma ważniejszego problemu, że gdyby to praktycznie w sobie roztrzygnął, to obiektywny ciężar tej sytuacji byłby łatwiejszy do zniesienia. U Tomasza Manna, nie w jego esejach politycznych, ale w noweli („Mario i czarodziej") znalazłem nadzwyczajny sylogizm, który i do naszej sytuacji pasuje, choć był pisany w innych celach.

„Prawdopodobnie nie można żyć duchowo niechceniem. Niechcenie jakiejś rzeczy nie jest na dłuższy przeciąg czasu żadną treścią życiową; czegoś nie chcieć i w ogóle już niczego nie chcieć, a przecież czynić to, czego się od człowieka wymaga, to rzeczy zbyt może ze sobą blisko sąsiadujące, żeby idea prostoty nie musiała między nimi ponieść uszczerbku".

Mój Boże, gdybyż to chodziło tylko o ideę prostoty! Jest to zbyt wykwintne, pełne czarującego relatywizmu, zdanie człowieka mającego wiele swobody i wiele czasu na obejrzenie każdej sprawy z różnych stron. Ale Mann nie mógł przewidzieć jaką wędrówkę, w jakie okoliczności i okolice, odbędzie jego myśl, zresztą logicznie bezbłędna. Istotnie, samym niechceniem żyć nie można, a tym bardziej nie można nie chcieć i czynić to, czego sytuacja wymaga. Biografie mnóstwa ludzi, których zaliczam do rodzaju mnie pokrewnego, w skrócie telegraficznym przedstawiają się mniej więcej tak: Zaraz po wojnie, powodowani biologiczną wolą życia, nieodstępną w takich sytuacjach nadzieją, ciekawością wreszcie — akceptowali zmiany nie wdając się w ich genezę. W tych bynajmniej niejednoznacznych czasach powojennych wielu z nas zachowało się z dużą dobrą wolą i z zaciekawieniem. Potem zrozumieli co to warte, cofnęli swoją zgodę, opanował ich, jak rak, krytycyzm, który dziś ma tendencje totalne. Stało się to w różnych momentach, wcześniej czy później, na różnych etapach tego doświadczenia, w którym nikt nikogo nie powinien był wyręczać, bo do tego należało dojść własnym rozumem i samemu za to zapłacić. Krytycyzm zaczyna dziś dusić jak wewnętrzny krwotok. Co robić?

Gdybym wiedział na pewno, co robić, mój artykuł byłby bez porównania krótszy. Nie dać się oswoić, to przede wszystkim, ale i nie dać się własnej panice. Z tego katastrofalnego dylematu życia w niechceniu trzeba próbować wybrnąć w sposób intuicyjny, jeżeli nie może tu być mowy o jakiejś formule racjonalnej, a rzeczywiście nie może o tym być mowy. Ale na miłość Boga, nie dajmy się oswoić. Prawdziwe życie polega na utrzymaniu pew-

nego rodzaju formy umysłowej i moralnej, to znaczy na zachowaniu krytycznej świadomości. Może to życie w Polsce jest bardziej skondensowaną próbą bytu czy losu w ogóle. Jednak potraktowanie tego jako fatalności byłoby tylko inną formą rezygnacji. Utrzymać się w postawie stojącej — oto program minimum, z wielkim zapewne uszczerbkiem prostoty, o której wspomniał Mann, ale przynajmniej pozwala to zachować godność i przytomność.

PELIKAN

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

WYBÓR WIERSZY POWOJENNYCH

Wydanie ozdobne w płóciennej oprawie i celofanowej obwolucie.

Str. 286. Cena £.2.

Koszt przesyłki: 2 sh.

WYD. POLSKA FUNDACJA KULTURALNA

9, Charleville Rd., London, W.14.

"The History of Polish Literature" Czesława Miłosza

O mnie Moskwa i będą wiedzieć Tatarowie,
I różnego mieszkańcy świata Anglikowie;
Mnie Niemiec i waleczny Hiszpan, mnie poznają
Którzy głęboki strumień Tybrowy pijają.

Jan Kochanowski

I

Ukazanie się historii literatury polskiej w języku angielskim, napisanej przez Czesława Miłosza, i wydanej przez poważne wydawnictwo, jest niewątpliwie wydarzeniem dużej wagi[1]. Książka Miłosza jest z kolei drugim tego rodzaju opracowaniem w języku angielskim; przychodzi zaś w momencie gdy znajomość literatury polskiej w krajach anglosaskich poważnie wzrosła, dzięki pojawieniu się w ostatnich latach na rynku anglosaskim stosunkowo sporej liczby przekładów autorów polskich, przede wszystkim współczesnych, ale także i dawniejszych, by wymienić tylko takie pozycje jak wybór komedii Fredry, sztuki Witkacego, dzieła Gombrowicza, *Dziady* Mickiewicza, sztuki Mrożka, czy antologię pisarzy *Kultury*. Nie słabnące, mimo nieprzychylnej sytuacji politycznej (udział w inwazji Czechosłowacji, antysemityzm), zainteresowanie literaturą polską, czyni książkę Miłosza bardzo na czasie i stanowi dodatkowy powód poświęcenia jej maksimum krytycznej uwagi. Chociaż bowiem nie jest ścisła podana w przedmowie informacja, że pierwsza historia literatury polskiej w języku angielskim, pióra Manfreda Kridla, jest zupełnie wyczerpana (uka-

1. Czesław Miłosz, *The History of Polish Literature* Collier- Macmillan, London-Toronto, 1969, XVIII:570.

zało się niedawno jej drugie wydanie)[2], nie ma wątpliwości, że książka Miłosza trafia na podatny grunt, częściowo przygotowany przez samego autora[3]. Nie bez znaczenia jest także osobista pozycja Miłosza jako poety i autora *The Captive Mind* oraz wydanej niedawno w języku angielskim *Rodzinnej Europy (Native Realm,* New York, 1968). Ponieważ zaś historie literatury ukazują się stosunkowo rzadko, można przyjąć, że książka Miłosza stanowić będzie — obok podręcznika Kridla — główne źródło informacji i poglądów na literaturę polską przez co najmniej następnych kilkanaście lat.

II

Parę lat temu grupa wybitnych polonistów krajowych (J. Krzyżanowski, K. Wyka i inni) wzięła udział w sympozjonie na temat światowych wartości literatury polskiej[4]. Temat okazał się trudny i raczej niewdzięczny, a wnioski wypadły nieco melancholijnie, lub momentami dosyć gołosłownie. Jeżeli bowiem brać jako sprawdzian współudział literatury polskiej w rozwoju literatury europejskiej, to był on tak minimalny, że trzeba konstruować specjalne kryteria, aby odpowiedzieć na pytanie, jakie są światowe wartości literatury polskiej. Kryterium najbardziej konkretne, życie dzieł literackich poza ich własnym obszarem językowym, jest dla literatury polskiej bardzo nieprzychylne. Uderzającą cechą literatury polskiej jest jej *peryferyjność.*

W interesującym eseju *Polish Literature in its European Context*[5], Jerzy Pietrkiewicz zwrócił m.in. uwagę na paralelizm pewnych zjawisk kulturalnych i literackich w Polsce i w Hiszpanii — paralelizm wynikający z faktu, że oba te kraje znajdowały się przez stulecia na kresach cywilizacji europejskiej i spełniały rolę zarówno barier jak i pomostów (w Polsce religijny, a następnie także i polityczny ideał przedmurza przesłonił tę drugą rolę, do tego stopnia, że nadal nie posiadamy pełnej historii polskich wpływów kulturalnych na wschód i południe od etnicznej Polski). Paralela Pietrkiewicza jest niewątpliwie użyteczna, porównanie jednak obu literatur pod kątem ich współudziału w kształtowaniu kultury europejskiej wypada oczywiście na niekorzyść literatury polskiej: wystarczy wspomnieć o zakresie oddziaływania i historycznej żywotności *Don Kichota,* o znaczeniu dramaturgii hiszpańskiej czy promieniowaniu hiszpańskiej poezji mistycznej. Podobnie, takie literatury peryferyjne, jak rosyjska czy skandynawska, potrafiły w pewnym momencie przełamać barierę geograficzno-językową i wejść w sposób istotny do wspólnej tradycji literatury europejskiej, oddziaływując na jej rozwój. Podobne przekroczenie bariery językowej dokonuje się na naszych oczach w wypadku literatury polskiej, ale zbyt optymistyczne wnioski byłyby w tej chwili chyba przedwczesne.

2. M. Kridl, *A Survey of Polish Literature and Culture,* The Hague, 1956; drugie wydanie: 1967.

3. Wystarczy wymienić antologię *Postwar Polish Poetry* (New York, 1965) oraz tom wierszy Herberta, *Selected Poems* (Penguin, 1967).

4. Roman Pollak *et. al., Literatura polska w perspektywie światowej,* Wrocław, 1963.

5. *Slavonic and East European Review,* 1962 : 96.

O peryferyjności literatury polskiej decydowała nie tylko jej pozycja geograficzna, ale cały szereg czynników takich jak: ogólna młodszość cywilizacyjna Polski, pokostowy charakter pewnych procesów kulturalnych (Renesans, Reformacja, konwencjonalność polskiego katolicyzmu...), wtórność prądów literackich (co Irzykowski określił mianem plagiatowego charakteru przełomów literackich w Polsce), haracz płacony warunkom politycznym i obowiązkom obywatelsko-narodowym, prowincjonalizm pogłębiony w wieku XIX barierami polityczno-cenzuralnymi (warto tu przypomnieć zdanie Orzeszkowej: „Co ja za przepyszne rzeczy miałabym do napisania, gdyby o nich pisać można było!").

Wszystkie te cechy polskiej tradycji kulturalnej prowadziły do negatywnych wyników w literaturze, utrudniając jej przenikanie poza krąg własnego języka. Stosowanie cenzury wewnętrznej i konieczność poddawania się cenzurze oficjalnej obniżały czytelność wielu dzieł literackich poza polskim kontekstem historycznym. Późność rozwoju pewnych gatunków literackich prowadziła do zjawisk w rodzaju dramaturgii Słowackiego, którego najwyższą pochwałą staje się twierdzenie, iż był on „Szekspirem romantyzmu"[6] — twierdzenie dosyć niebezpieczne ze względu na zawarty w nim element dosłowności. Wtórność prądów literackich w Polsce każe kwestionować wartość nie tylko poszczególnych utworów, ale wręcz całych faz twórczości: co wart jest polski eksperyment futurystyczny w porównaniu z futuryzmem rosyjskim czy włoskim, z których mniej lub bardziej obficie czerpał?

Próby ukazania istotnych wartości literatury polskiej muszą wręcz programowo unikać zbyt ostrego dopasowywania literatury polskiej do literatury europejskiej, narzucania jej zewnętrznych ram o charakterze prądów i kierunków literackich; muszą one wychodzić od samych dzieł literackich, gdyż właśnie w nich znamiona wtórności są często nieistotne.

Bilans peryferyjności literatury polskiej nie jest bowiem całkowicie negatywny. Przede wszystkim zauważmy, że chociaż w ogólnym rozwoju literatury europejskiej literatura polska odgry-

6. J. Krzyżanowski, *Dzieje literatury polskiej,* Warszawa, 1969, str. 650.

wała rolę marginesową, sytuacja zmienia się gdy weźmiemy pod uwagę kontekst ściślejszy — kraje słowiańskie i wschodnioeuropejskie. W tym węższym kontekście literatura polska ma momentami znaczenie centralne lub wiodące, a jej promieniowanie jest niejednokrotnie bardzo istotne i płodne.

Przyczyny i skutki stanowiące o peryferyjności literatury polskiej wyznaczają również, przynajmniej w pewnym stopniu, pole jej specyficzności, to, co jest w niej oryginalne, szczególne, dziwne lub dziwaczne.

W cytowanej przed chwilą charakterystyce Słowackiego (Szekspir romantyzmu) zawiera się — przynajmniej *implicite* — punkt widzenia, który warto po krótce rozwinąć.

Fakt chronologicznej „nieprzystawalności" literatury polskiej w porównaniu z głównymi nurtami literatury europejskiej stwarzał ciekawe warunki dla powstawania na terenie języka polskiego zjawisk o charakterze „hybryd" literackich lub twórczych anachronizmów. W cytowanym eseju Pietrkiewicza znajdujemy uwagę, że *Pan Tadeusz* należy do tego rodzaju literackiego, który stoi zazwyczaj u początków literatur narodowych, podczas gdy „poemat polski, inaczej niż *Iliada, Boewulf* czy *Poema del Cid,* powstaje bardzo późno". Świadomość różnic między Polską a Zachodem jest niewątpliwie jednym z istotniejszych składników dynamiki polskiej tradycji literackiej. Typowe dla tej dynamiki są liczne próby określania rytmu własnej tradycji literackiej i własnych potrzeb, od Kazimierza Brodzińskiego po Tadeusza Peipera. Ilustruje ją historia adaptacji literackich, tak w piśmiennictwie polskim powszechnych, od *Dworzanina* Górnickiego po komedie Zabłockiego i szekspirowsko-kalderonowski dramat Słowackiego. Paralelnym i jakże istotnym zjawiskiem są ponawiane zwroty do ludowości i regionalizmu. Dynamiczny charakter przymierzania się do Zachodu ma oczywiście swój przeciwstawny biegun w inercji kulturalnej, w ideologii sarmatyzmu, niechętnej wszelkim nowinkom, społeczeństwa nie tylko do niedawna wiejskiego, ale również głęboko prowincjonalnego i zregionalizowanego. Stąd nie tylko historia Polski ale i literatura polska obfituje w liczne paradoksy, w rodzaju takich jak to, że Rej jest współczesnym Kochanowskiego, że Zimorowic jest autorem *sielanek* o tematyce wojennej, że powieść historyczna rozkwita u nas w *drugiej połowie* XIX wieku, itd. Oscylacyjny ruch polskiej tradycji literackiej między zachodniością a rodzimością jest uderzającym zjawiskiem udokumentowanym wieloma tekstami krytycznymi i artystycznymi, by wymienić *Dziady* Mickiewicza czy ... *toutes proportions gardées* — *Wzlot* Iwaszkiewicza. Doskonałym przykładem hybrydowości — i to jakże udanej — jest *Pan Tadeusz,* który był

już z powodzeniem analizowany jako: sielanka, powieść, epopeja, poemat heroikomiczny, gawęda, a którego zakończenie:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem —

jest typowe dla baśni. A jak określić lepiej pozycję Norwida niż w kategoriach prekursorskiego anachronizmu?

Podobnie, danina płacona przez literaturę polską na rzecz obowiązków patriotyczno-obywatelskich, oraz szczególna funkcja polityczno-ideowa literatury polskiej, mają nie tylko aspekt negatywny (ograniczenie czytelności, a także uniwersalności dzieł pisarzy polskich). W podsumowaniu swoich *Dziejów literatury polskiej,* Julian Krzyżanowski stwierdza:

> W porównaniu z literaturami innych narodów, kładącymi nacisk na życie indywiduum, literatura polska od samych swoich początków zwracała uwagę na życie zbiorowe. Znamieniem tego jest dlatego postać Mickiewiczowskiego „Konrada", żyjącego życiem nie tylko własnym, ale i narodowym. A jeśli tak jest w istocie, to tym samym wracamy do stanowiska Chrzanowskiego, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że to, co on nazwał patriotyzmem, określamy jako pierwiastek polityczno-społeczny polskiej literatury. Formuła ostateczna brzmiałaby: literatura polska, odtwarzając te wszystkie stadia, które znamy z innych literatur, różni się od nich tym, że nad sprawy życia jednostkowego wynosi zagadnienia życia zbiorowego, politycznego i społecznego. A w ten sposób okazuje się ona literaturą przyszłości[7].

Niewątpliwie, sformułowania Krzyżanowskiego mogą budzić różne wątpliwości. Czy rzeczywiście przewaga problematyki życia zbiorowego nad sprawami życia jednostki czyni literaturę polską literaturą przyszłości? Czy problemy życia zbiorowego nie mogą być wyrażone (jak niejednokrotnie bywały) przez pryzmat problematyki indywidualnej: inaczej mówiąc, jak dokładnie rozumieć to zasadnicze przeciwstawienie jakim operuje autor? Niesposób jednak zaprzeczyć, że Krzyżanowski określił jedną z charakterystycznych cech literatury polskiej, która może być traktowana, w zależności od poszczególnych jej przejawów, jako siła lub słabość tej literatury[8]. Jako słabość, gdyż w polskim kontekście historycznym problematyka zbiorowości przybierała zbyt łatwo formę dydaktyczno-tendencyjną, lub sentymentalną; jako siła,

7. *op. cit.* str. 652.

8. Dla porównania warto zacytować punkt widzenia Pietrkiewicza: „It is a pity that some works of Polish romanticism have been commended to the world on the strength of their patriotic messages and consolations. What has endured best from romantic writing in exile springs from a different source of emotions altogether". *op. cit.* str. 104.

wtedy gdy problemy zbiorowości ukazywane były przez pryzmat losów jednostki, lub gdy sama zbiorowość — jak w *Odprawie posłów greckich* — stawała się bohaterem utworu.

III

Już powyższe, z natury rzeczy szkicowe, uwagi o niektórych specyficznych cechach polskiej tradycji literackiej naprowadzają na wniosek, że zadania historyka literatury polskiej konfrontującego tę literaturę z literaturą powszechną, są wcale nie łatwe (każda historia literatury pisana w obcym języku i dla obcego czytelnika musi być swego rodzaju konfrontacją). Jest rzeczą zrozumiałą że biorąc do ręki historię literatury polskiej czytelnik obcy szukać w niej będzie odpowiedzi na szereg pytań w rodzaju: jaka jest specyfika polskiej tradycji literackiej, jakie wartości są w niej reprezentowane, jakie dzieła literackie są szczególnie godne uwagi, jacy pisarze. Nic też dziwnego, że interesować nas musi świadomość teoretyczna autora historii literatury polskiej, rodzaj kryteriów jakimi się posługuje, jego ogólny pogląd na wartości literackie, jego metody prezentacji i interpretacji.

Stając przed pytaniem, jakie są światowe wartości literatury polskiej, Kazimierz Wyka sformułował trzy kryteria, które w wypadku literatury polskiej zastąpić muszą (a co najmniej uzupełnić) ten rodzaj sprawdzianu, jakim jest przeniknięcie dzieła literackiego z jednego języka na teren szerszej tradycji literackiej. Warto kryteria te zacytować dla celów porównawczych. Oto one:

1) dana literatura daje obiektywny wkład do piśmiennictwa światowego, dany pisarz wchodzi w jego ramy, jeżeli osiągnął wartości artystyczne, filozoficzne bądź ideowe, dla których nie ma analogii w dorobku literackim innych narodów;

2) dana literatura, dany pisarz daje lepszą lub co najmniej równą artystycznie, filozoficznie, ideowo wersję osiągnięć twórczych spotykanych u innych narodów i w innych kulturach (np. Renesans, romantyzm, powieść psychologiczna — przyp. mój);

3) dany pisarz daje do piśmiennictwa powszechnego wkład obiektywnie ważny, skoro pełni on rolę takiego informatora o życiu, przekonaniach, obyczaju i historii danego społeczeństwa i narodu, informatora w stosunku do odbiorców przynależnych do innych kultur narodowych, że nikt go w tej roli nie zastąpi[9].

Kryteria Wyki — najpełniejsze i najklarowniejsze jakie znam — budzą zastrzeżenie w tym punkcie, gdzie zdają się stawiać walory artystyczne, filozoficzne i ideowe na jednej jakby płaszczyźnie. W swoich rozważaniach szczegółowych Wyka podkreśla

9. *Literatura polska w perspektywie światowej*, str. 74-75.

jednak, że nawet gdy pisarz spełnia warunek, np. wielkiego informatora o życiu własnego narodu, lub nośnika idei filozoficznych czy moralnych o wysokim stopniu ważkości lub dostępności, jego wkład nie może schodzić poniżej pewnego poziomu artystycznego. Stąd, rozpatrując casus Żeromskiego, zaznacza:

Ten pisarz niewątpliwie znakomity nie pozostawił w swoim dorobku ani jednego dzieła, o którym można by ze spokojnym sumieniem powiedzieć cudzoziemcowi: oto względnie najbliższa prawdy wielka informacja o społeczeństwie polskim... Powie ktoś: całość dorobku Żeromskiego wypełnia ten warunek... Ale całość tylko podówczas może pretendować do podobnego znaczenia, jeżeli jej składniki poszczególne nie są zbyt ułomne[10].

Jeszcze wyraźniej podkreśla konieczność walorów artystycznych pisząc o dorobku Kasprowicza:

Na rynku zasadniczych walorów artystycznych istnieją pewne wartości w ogóle nie podlegające dyskusji, ale za to takie, że twórcy nie wolno ich nie dotrzymać, nie wolno zejść niżej ich poziomu. Na myśli mamy pewien szczebel doskonałości, sprawności i celności języka, stopień kultury stylistycznej, jakich nie można nie osiągnąć, ażeby w ogóle się na tym rynku liczyć. Kasprowicz zbyt często schodził niżej owego szczebla[11].

Tak więc, i oczywiście najzupełniej słusznie, w rozważaniach szczegółowych kryterium artystyczne staje się sprawdzianem nadrzędnym, *sine qua non* każdej literackiej wypowiedzi językowej, niezależnie od jej wartości filozoficznych, ideowych czy informacyjnych.

IV

Jakie są kryteria Miłosza? Stanowisko Miłosza jest do pewnego stopnia polemiczne wobec nowoczesnych prądów krytyki literackiej. Sformułowanie najpełniejsze znajdujemy we wstępie, gdzie Miłosz tak określa swoje zasadnicze podejście:

Wychowany w Polsce, nasycony jestem... historycyzmem typowym dla wielu europejskich intelektualistów. Dla czytelnika oczekującego od mojej książki gorliwych poszukiwań wartości czysto estetycznych, nie będzie to legitymacja najlepsza. Literatura ukazuje mi się jako ciąg momentów w rozwoju gatunku ludzkiego skrzepłych w języku *(congealed)* i w ten sposób przekazanych uwadze potomności. Chociaż ostra selektywność jest konieczna z chwilą gdy próbujemy się zagłębiać w dżunglę czasu, głos ludzki dochodzący nas z tej dżungli godny jest szacunku, nawet jeżeli bywa niezgrabny i łomliwy. Ponieważ takie jest moje stanowisko, poświęciłem wiele miejsca zjawiskom które chociaż nie wydały arcydzieł, są charakterystyczne dla swojego okresu. Nie pogardzałem tym, co zwariowane, zabawne lub dziwaczne. Ponieważ zaś literatura polska reagowała zawsze bardzo silnie na wypadki historyczne, a trudno byłoby zakładać znajomość u czytelnika historycznych faktów, poprzedzałem każdy rozdział krótkim szkicem o międzynarodowych i wewnętrznych stosunkach politycznych, koncentrując się na historii instytucji i idei.

10. *Idem.*, str. 82-3.
11. *Idem.* str. 83.

Inaczej mówiąc, Miłosz traktuje literaturę jako rodzaj świadectwa, które znalazło wyraz w języku, a nie na przykład w kamieniu, czy na płótnie. Chociaż nie wszystkie świadectwa mają jednakową wartość, a dżungla czasu posiada ich niezliczoną ilość, Miłosz nie formułuje kryterium selekcji, zaznaczając jedynie, że potrzebna jest „ostra selektywność". Zdanie o szacunku dla głosu ludzkiego brzmi bardzo pięknie, i trudno z nim się nie zgodzić. Ale można mieć zarówno szacunek dla głosu ludzkiego, jak i kryteria estetyczne, np. takie, jakie sformułował Wyka. I oczywiście w praktyce, Miłosz nie może uniknąć stosowania kryteriów estetycznych, nie uważa ich jednak za najważniejsze. Stąd zbyt tolerancyjny stosunek do zjawisk literackich które chociaż nie wydały arcydzieł, są charakterystyczne dla swojego okresu. Charakterystyczne — w jakim sensie? Zapewne w tym, że są odbiciem wypadków historycznych, czy warunków społecznych, itd. — a więc znowu świadectwem. Tendencja sprowadzania wartości dzieł literackich do dokumentu-świadectwa jest w dzisiejszej krytyce literackiej słusznie odrzucana. Nie trzeba być zresztą wcale stuprocentowym zwolennikiem najnowszych szkół krytycznych, nie mówiąc o ich skrajnościach, aby mieć poważne zastrzeżenia wobec historycyzmu, biografizmu, socjologicznego podejścia do literatury, skoro w podejściach tych utwór literacki traktowany jest przede wszystkim w kategoriach poza-literackich. Najsilniejszą stroną polskiej tradycji literackiej — jak to słusznie zauważa we wstępie Miłosz — jest poezja. Ale właśnie poezja wymyka się najbardziej kategoriom historycyzmu, szczególnie wtedy, gdy głos ludzki uzyskuje w niej niepowtarzalny, jedyny i wysoki walor artystyczny. Wejdźmy zresztą na chwilę w położenie obcego czytelnika. Załóżmy, że mamy go przekonać dlaczego warto się interesować literaturą polską. Czyż wysuniemy argument, że znajomość literatury polskiej pozwoli mu zapoznać się z pewną ilością utworów, które chociaż nie są arcydziełami, a czasami nie są nawet dobrą literaturą, nie mniej są charakterystyczne dla swego okresu? Oczywiście, że argument nasz będzie brzmiał inaczej, że powiemy mu o *Trenach* Kochanowskiego, o najlepszych utworach poetów barokowych, o niektórych lirykach Karpińskiego i Kniaźnina, o lirykach lozańskich, o poezji Norwida, o *Panu Tadeuszu* (którego Miłosz nazywa czystą poezją), o wybranych i najlepszych powieściach i dramatach, a mówiąc o nich, będziemy się musieli koncentrować na ich wartościach estetycznych i uniwersalnych. Wszystko inne będzie miało charakter pomocniczy i dodatkowy. Wobec liryków lozańskich historycyzm jest bezradny.

Warto również zacytować inne, charakterystyczne sformułowanie Miłosza, z tekstu samej książki. Wprowadzając omówienie twórczości Orzeszkowej, w którym najwyższą rangę uzyskuje powieść *Nad Niemnem,* Miłosz stwierdza polemicznie, że jeżeli przyjąć dwudziestowieczne pojęcie literatury jako głosu rozgoryczonej, wyobcowanej i zrozpaczonej jednostki, to Orzeszkową możemy z góry zaliczyć do pisarzy nieinteresujących, jako przeciwieństwo zbuntowanego geniusza. „Może jednak — dodaje Miłosz — jest jakieś ziarno prawdy w tym, co powiedział Beethoven kiedy był już stary, że „im bardziej się starzeję, tym mocniej dochodzę do wniosku, iż dobroć jest wartościowsza od geniuszu". Miłosz przeprowadza więc rozróżnienie między dwoma kategoriami głosu ludzkiego: zbuntowanym, wyobcowanym i zrozpaczonym, a jakimś innym, może pogodzonym z życiem, czy dobrotliwym; zgódźmy się, że rozróżnienie to warto zrobić. Literatura dwudziestowieczna prześciga się w wyrażaniu buntu, rozpaczy i alienacji, rzadko natomiast pochyla się nad losem ludzkim z uśmiechem dobroci i zrozumienia. Beckett nie chce ani krzepić, ani łagodzić naszych bólów, „dobroć" nie jest cechą ani twórczości Kafki ani Gombrowicza, bunt stanowi jeden z elementów twórczości samego Miłosza; Miłoszowi nie może więc chodzić o sam fakt rozgoryczenia, buntu czy wyobcowania. Chodzi mu raczej o postawę zbuntowanego geniusza, której odwrotności widzi u Orzeszkowej. Przyznajmy raz jeszcze, że Miłosz słusznie stara się przeciwstawić postawę polskiej pisarki (postawę dydaktyczną, nacechowaną zdolnością empatii, współczucia, godzenia z losem) egotycznej histerii wielu nowszych pisarzy. Wartość tej postawy Miłosz chce zrehabilitować, ale ta próba w zastosowaniu do Orzeszkowej wtedy tylko może być w pełni udana, o ile słuszny jest entuzjazm Miłosza dla takiej powieści jak *Nad Niemnem.* Ostatecznie Beethoven nie powiedział, że dobroć wartościowsza jest od geniuszu w muzyce, byłby to absurd. Norwid również stawiał ją *obok* poezji. Warto zauważyć, że właśnie *Cham,* powieść kto wie czy nie lepsza niż *Nad Niemnem,* jest poniekąd studium „złych" skutków dobroci, dobroci bezradnej choć głębokiej i pięknej. Ale o *Chamie* Miłosz ma do powiedzenia bardzo niewiele; mocniej pociąga go panoramiczność, obyczajowość i sielankowość *Nad Niemnem,* mimo że książka ta ma poważne skazy. Charakterystyczne, że dla Krzyżanowskiego, którego formułę oryginalności literatury polskiej cytowałem powyżej, *Nad Niemnem* jest nie tylko najwyższym osiągnięciem pisarskim Orzeszkowej, ale również „jedną z najwybitniejszych powieści polskich"[12]. Dobroć w literaturze jest wtedy tylko dobra, kiedy jest przekonywająca. W przeciwnym wypadku przeradza się w naiwność, sentymentalizm, tendencyjność czy moralizatorstwo, cechy dosyć powszechne w pisarstwie polskim.

Historycyzm i związane z nim inne predylekcje Miłosza znaj-

12. *op. cit.* str. 384.

dują pełne odzwierciedlenie w samej książce. Miłosz najwięcej duszy wkłada w samo szkicowanie tła; w sylwetki biograficzne pisarzy, których charakterystyki są zresztą przeważnie bardzo żywe, zrobione z polotem, dowcipem i nieraz głęboką trafnością; w historię intelektualną, czy to będą poglądy Arian czy bliskie Miłoszowi idee filozoficzno-estetyczne Brzozowskiego, którego powieść *Sam wśród ludzi* określa jako jedną z najbardziej fascynujących powieści polskich, ze względu na jej tematykę („przemiany filozoficzno-polityczne świadomości europejskiej"), galerię niezapomnianych postaci i pasję demaskatorską. Natomiast uwagi o strukturze, stylu, obrazowaniu zajmują najczęściej miejsce poślednie, są to rzeczy na które Miłosz — podobnie jak kiedyś Brzozowski — nie ma właściwie czasu. „Z uwagi na świetną kompozycję — pisze o *Oziminie* Berenta — oraz głębokie wczucie się w stan społeczeństwa, można by ją nazwać wielką powieścią" — ale na czym ta świetność kompozycji polega nigdzie nie ujawnia. Roman Jakobson, przedstawiciel metod krytycznych nie lubianych przez Miłosza, w jednym ze swoich artykułów zaliczył Norwida do największych poetów XIX wieku, niewątpliwie nie ze względu na myśli i poglądy Norwida, ale ze względu na charakter i artyzm jego poezji. Miłosz w swojej charakterystyce Norwida poświęca sporo miejsca jego perypetiom życiowym, relacjonuje jego poglądy na historię, sztukę i poezję, cytuje, bez żadnego analitycznego komentarza, dwa wiersze z *Vade-mecum*, i określając jego poezję jako poezję intelektualną, dla korektury przytacza zdanie Jastruna, że Norwid był w pierwszym rzędzie nie myślicielem, lecz poetą. Uwagi o artyzmie Norwida sprowadzają się do następujących: „ironia subtelnie ukryta w symbolach i parabolach", „starał się aby jego wiersz brzmiał surowo *(roughhewn)*", „unikał tego co kolorowe i malownicze", „każda linijka zbliża czytelnika do filozoficznego celu wiersza", „jego filozofia zdaje się rozwijać organicznie wraz z następstwem obrazów", „niektóre linijki są całkowicie niezrozumiałe", „ciężar intelektualnej treści jest tak wielki, że czasami zagraża artystycznej strukturze utworu", *Bema pamięci żałobny-rapsod* posiada „skomplikowany wzorzec metryczny" i jest przykładem „polskiego heksametru", jednym z najlepszych wierszy Norwida jest wiersz o Don Kichocie (Miłosz nie podaje tytułu)*. i parę innych. Jak na jednego z największych poetów XIX wieku, to naprawdę niewiele. Ostatecznie, na czym polega efektowność (nawet tylko intelektualna) takich wierszy jak *Sfinks, Fatum, Nerwy, Purytanizm, Przeszłość, Fortepian Szopena*, czy takich liryków jak *W Weronie;* czy Norwid wniósł coś nowego do rozwoju formy poematu,

* Chodzi o wiersz *Epos-nasza.*

jak przejawia się w poezji Norwida jego teoria milczenia, jak — ironia? Historia głosu ludzkiego jest nie tylko historią tego, co ten głos formułuje czy wyraża, lecz także, jak to robi, a w istocie te dwie cechy trudne są do rozłączenia w literaturze. Charakterystyka Norwida pióra Miłosza nie przynosi pełnej sumy istotnych informacji o twórczości Norwida; z poematów wymienione są tylko *Quidam* i *Promethidion:* pierwszy jako ilustracja twierdzenia, że „rozważania o historii nie dadzą się oddzielić od poezji Norwida" (?) oraz w związku z dramatami Norwida o tematyce starożynej lub legendarnej; drugi w związku z relacjonowaniem poglądów Norwida na sztukę. O *Promethidionie* Miłosz pisze, że ma „formę rozmowy między paroma postaciami z dodatkiem przypisów prozą"! O *Assuncie* i *A Dorio ad Phrygium* ani słowa, już nie mówiąc o Norwidowskich traktatach poetyckich. Tytuł: *Bema pamięci żałobny-rapsod* zmieniony jest na *Bema pamięci rapsod żałobny* — drobiazg, ale dokładne cytowanie tytułów utworów obowiązuje. Nie znaczy to, że sylwetka Norwida nie zawiera wielu uwag trafnych, spostrzeżeń frapujących. Można wymienić ciekawe zestawienie Norwida, Emersona i Melville'a, spostrzeżenie, że „Norwid jest, w pewnym sensie, poetą obszaru śródziemnomorskiego", lub taki paragraf:

> czasami porównuje się rolę Norwida w poezji (polskiej) do roli Mallarmé'go w poezji francuskiej. Byłoby jednak błędem przeprowadzać analogie między Norwidem a symbolistami francuskimi. Z jednej strony, Norwid osadzony był głęboko w romantycznym zafascynowaniu historią. Z drugiej, potrafił przezwyciężyć swoje odosobnienie jako jednostka dzięki zrozumieniu skomplikowanych więzi jakie łączą dzieło sztuki ze zbiorowością; inaczej niż Mallarmé, nie ograniczał się tylko do 'oczyszczania języka swego plemienia', ale zawsze starał się przekazać myśl. Chciałoby się powiedzieć, że społeczne nastawienie tak wyraźne w literaturze polskiej od Kochanowskiego począwszy, znalazło swój punkt kulminacyjny w Norwidzie, i jego wpływ w wieku XX stanowi przeciwwagę nadmiernego wpływu francuskich symbolistów. (str. 274-5).

Nie ze wszystkim trzeba się tu zgodzić, aby docenić wartość tego rodzaju sformułowań. Szczególnie cenne jest przeciwstawienie się bardzo modnemu we współczesnej krajowej norwidologii i zbyt uproszczonemu dopasowywaniu Norwida — nawet tylko prawem kontrastu — do symbolicznej poezji francuskiej[13]. Inna sprawa, czy pozycja Norwida nie jest bardziej skomplikowana, niż wynikałoby z uwag Miłosza. Poezja Norwida jest istotną modyfikacją poetyki romantycznej, są w niej

13. Mam na myśli przede wszystkim próby Żurowskiego i J. W. Gomulickiego. Ten ostatni chce zrobić z Norwida poetyckiego i ideowego przeciwnika Baudelaire'a, a *Vade-mecum* interpretuje jako polemikę z *Les Fleurs du mal.* Żurowski natomiast pasjonuje się ustalaniem wpływów w sposób wysoce nieraz spekulatywny.

elementy, które chyba słusznie określane są mianem presymbolizmu; jego rola we współczesnej poezji polskiej nie da się sprowadzić tylko do przeciwwagi nadmiernego wpływu francuskich symbolistów; społeczne nastawienie poezji Norwida ma w tejże poezji biegun przeciwny, skoro sam Norwid określił swoją twórczość jako „pamiętnik artysty". Antynomie postawy i poezji Norwida są nie tylko uderzające, ale i bardzo aktualne.

Zasygnalizowane powyżej braki omówienia Norwida zdają się częściowo wynikać z jakiejś niesystematyczności Miłosza w opracowywaniu poszczególnych sylwetek. Z bardzo interesującej — pod wieloma względami — sylwetki Leśmiana nie dowiadujemy się ani o tym, że w jego stylu można wyodrębnić nurt „klasycyzujący", ani że był to mistrz makabry i groteski, że napisał jeden z najpiękniejszych cykli wierszy miłosnych w poezji polskiej, że *odnowił* formę ballady, że uważał się za anty-symbolistę, że napisał poematy takie jak *Łąka* i *Pan Błyszczyński*. Charakterystyka języka Leśmiana jest zupełnie niewystarczająca, a jedyny przykład neologizmów Leśmiana prawdopodobnie wcale nie jest neologizmem: S. K. Papierkowski zalicza słowo „Płaczybóg" do dialektyzmów, powołując się na *Słownik gwar polskich J. Karłowicza*[14].

Lista „antyestetycznych grzechów" Miłosza jest całkiem długa. Grzechy te są stosunkowo mniej liczne w części książki poświęconej literaturze staropolskiej[15], gdzie wiele tekstów już tradycyjnie wchodzi w zakres pojęcia literatury; szczególnie w okresie najwcześniejszym historycy utożsamiają bez skrupułów literaturę z piśmiennictwem, skoro prawie każdy tekst urasta do roli „pomnika językowego". Omawianie historii i kronik (Gall Anonim, Kadłubek, Baszko, Długosz etc.), traktatów politycznych (Modrzewski i in.), kompendiów encyklopedycznych, kazań itd. nie wzbudza specjalnych sprzeciwów (Miłosz poświęca nawet stronę z kawałkiem Kopernikowi, gdyż był on po śmierci przedmiotem licznych kontrowersji). Poza tym teren to wydeptany przez licznych poprzedników, i łatwiej jest się po nim poruszać. Okres wieku XIX i oczywiście czasy najnowsze stanowią teren trudniejszy, szczególnie że do historycznej predylekcji Miłosza dochodzą jego czysto osobiste sympatie i antypatie, które są oczywiście zupełnie zrozumiałe, ale też muszą być traktowane jako sądy czysto subiektywne. Uderzający na tym terenie jest brak zrozumienia dla wartości polskiej powieści, którą dla skrótu nazwę eksperymentalną, czego dowodem całkowite pominięcie Choromańskiego, zaledwie króciutka wzmianka o Goetlu, lub ocena, że Wittlina *Sól ziemi* „ma godne miejsce w europejskiej literaturze pacyfistycznej". Przykład z innej dziedziny: w podrozdziale o Awangardzie krakowskiej nowy styl poezji, reprezentowany przez Przybosia, Peipera i Brzękowskiego scharakteryzowany jest dosyć pospiesznie, chociaż nie brak i uwag bardzo wnikliwych, szczególnie o poezji Przybosia. Eksperymenty poetyckie Peipera określone są jako „interesujące o tyle, że stanowią przykład bezkompromisowego przywiązania do zasad (poetyckich)" — co nie jest ani zbyt ścisłe, ani sprawiedliwe. Peiper nie był wielkim poetą, ale jego poezja jest ciekawa i wcale nie gorsza od wierszy Pola, Ujejskiego, Szenwalda, Sebyły, Putramenta, wobec których Miłosz zdobywa się na przychylniejsze czy bardziej neutralne uwagi. Inna dziedzina: krytyka literacka. Może trudno robić Miłoszowi zarzut, że potraktował ją dosyć fragmentarycznie, chociaż za cenę pominięcia paru kronikarzy i kaznodziejów można było zmieścić trochę więcej uwag o rozwoju krytyki polskiej. W podrozdziale „Krytyka i filozofia" (część rozdziału poświęconego „Młodej Polsce") Miłosz omawia tylko Stanisława Brzozowskiego. O Irzykowskim-krytyku mówi co prawda przy okazji omówienia *Pałuby (nb.* „pałuba" znaczy nie tylko *hag)*, i robi to ze szlachetną intencją, ale jego uwagi nie oddają Irzykowskiemu sprawiedliwości. Jeżeli warto podkreślić, że Irzykowski był pedantem, to trzeba mocno podkreślić, że Brzozowski był myślicielem i krytykiem bardzo nierównym i pogmatwanym. Jeszcze lepiej byłoby skontrastować obu krytyków, wydobywając ich cechy najlepsze. Inna dziedzina: dramat. Omawiając Wyspiańskiego Miłosz główny akcent kładzie na sztukach o tematyce historycznej i ideologicznej *(Wesele, Wyzwolenie, Noc listopadowa);* dramaty tzw. greckie jedynie wymienia, zaznaczając, że stoją one na marginesie głównego nurtu twórczości Wyspiańskiego. To samo w sobie nie oznacza jeszcze, że nie ma wśród nich utworu wartego osobnego omówienia. Podobnie w charakterystyce twórczości dramatycznej Słowackiego Miłosz koncentruje się na *Kordianie* jako dramacie „typowo polskim", gdyż jego tematem jest „dzianie się historii"; *Mazepę* (nie: *Mazeppa!)* streszcza, dając przy tym długi komentarz historyczny, chociaż nie trzeba nic wiedzieć o Mazepie, żeby zrozumieć typowy dramat honoru, jakim jest ta sztuka; *Sen srebrny Salomei* (dramat nie tyle historyczny, co mistyczny) charakteryzuje w dwu zdaniach; *Lillę Wenedę* (nie: *Veneda!)* omawia nieco obszerniej, mimo że słusznie uważa ten dramat za mało wartościowy (zbyt wiele nieumotywowanych okropności). Natomiast w zarysach ogólnych rozwój dramatu i historia teatru w Polsce przedstawione są w książce bardzo ciekawie i wnikliwie.

14. S. K. Papierkowski, *Bolesław Leśmian: Studium językowe* (Lublin, 1964), str. 82.

15. Mniej liczne — ale dosyć symptomatyczne. Wystarczy rzucić okiem na rozdział poświęcony literaturze Oświecenia: rola poezji Trembeckiego w rozwoju polskiego języka poetyckiego jest ledwo zaznaczona; poezji Kniaźnina Miłosz stanowczo nie docenia, itd.

Spór z historycyzmem Miłosza ma aspekt nie tylko teoretyczny, ale i praktyczny. Dobrze rozumiem, że Miłosz chciał z tego, co uważane jest często za słabość literatury polskiej (fakt, że reagowała ona zawsze silnie na wypadki historyczne, że przesycona jest problematyką narodową) ukuć kapitał, szczególnie, że idzie to po linii jego własnych poglądów na wartość literatury. Dobrze rozumiem, że w kontekście krytyki literackiej ujmującej dzieła literackie przez pryzmat lingwistyki, w obliczu naporu strukturalizmu, chciał zaznaczyć swój sprzeciw, podkreślając elementy intelektualne i ideowe, szczególnie, że i to idzie po linii jego osobistych poglądów. Dobrze też rozumiem, że w paradoksach historii polskiej dojrzał (o czym pisze we wstępie) pewne „nauki" dla czasów teraźniejszych, szczególnie w kontekście amerykańskim. Wszystko to jednak nie uzasadnia *nadmiernego* historycyzmu, pewnego bagatelizowania strony estetycznej, mieszania hierarchii, lekceważenia analizy formalnej. Można się zgodzić, że w wypadku tych dzieł, gdzie komentarz historyczny jest nieodzowny do ich zrozumienia, komentarz taki był potrzebny i wartościowy. Po co jednak obarczać komentarzem historycznym utwory, które tłumaczą się same?

Wydawałoby się, że zadaniem historyka literatury pomawianej o hermetyczność będzie wykorzystać każdą okazję, by pokazać, iż opinia ta jest niejednokrotnie przesadzona, lub niesłuszna; że właśnie w historii literatury polskiej przeznaczonej dla czytelników obcych każdy utwór wartościowy, który da się ukazać w jego aspekcie uniwersalnym (a ciekawa forma jest w tym wypadku elementem całkiem istotnym), zostanie tak ukazany; że książki *dobre* będą stały na pierwszym planie co najmniej w tym samym stopniu co książki *ważne,* a sama ważkość tematu (dokument, świadectwo, idee) nie będzie kryterium wystarczającym. *Z dnia na dzień* Goetla, *Zazdrość i medycyna* Choromańskiego, *Cudzoziemka* Kuncewiczowej, *Sól ziemi* Wittlina, *Ozimina* Berenta, *Ludzie stamtąd* Dąbrowskiej, *Medaliony* Nałkowskiej, Andrzejewskiego *Bramy raju* — oto niepełna lista książek, które dawały Miłoszowi okazję do rozważań o rozwoju prozy artystycznej w Polsce, szczególnie że parę z tych utworów uzyskało spore uznanie na Zachodzie, właśnie dzięki ich eksperymentalnej formie. Okazji tej Miłosz nie wykorzystał.

V

Z paru możliwych form organizacji materiału Miłosz wybrał formę „staromodnego" podręcznika. Forma ta ma swoje zalety, ma również swoje wady. Można by twierdzić, że dla Miłosza

forma eseju byłaby lepsza, gdyż dawałaby większe możliwości wybicia na plan pierwszy osobistego stosunku do dzieł i pisarzy, który już sam w sobie jest interesujący, z chwilą gdy autor jest nie tylko profesorem literatury polskiej, ale i wybitnym pisarzem. Forma staromodnego podręcznika narzuca sama przez się pewną dozę schematycznych podziałów i klasyfikacji. Miłosz zastrzega się na wstępie, że posługuje się takimi terminami, jak romantyzm czy realizm umownie, bez przypisywania im zbyt jednoznacznych treści. Niemniej, nalepki te widnieją w nagłówkach poszczególnych części książki: Humanizm i reformacja, Kontrreformacja i barok, Oświecenie, Romantyzm, Pozytywizm, Młoda Polska, — i swoją obecnością uniemożliwiają próbę rewaluacji. W rozdziale zatytułowanym „Romantyzm" omawiany jest i Fredro i Norwid; termin „Młoda Polska" rozciągnięty jest poza swoje chronologiczne granice; czy nie lepiej zamiast „Pozytywizmu" mówić o „Pozytywistach"? Jeżeli chodzi o romantyzm, to na przykład Kridl stosował podział na romantyzm sprzed 1830 roku i po tym roku, podział pokrywający się z romantyzmem krajowym i emigracyjnym. Oczywiście, pole do sprzeczania się jest duże, chociaż często, nie zawsze jednak, spory o tzw. periodyzację są po prostu jałową pedanterią. Niewątpliwą próbą rewaluacji ostatnich 70 lat literatury polskiej jest podział jej w książce Krzyżanowskiego na dwa okresy: Neoromantyzm i Neorealizm, który posiada tę zaletę, że unika rozciągania terminu „Młoda Polska" poza jego chronologiczne granice.

Obok podziałów zasadniczych, według okresów i kierunków, Miłosz stosuje jeszcze podziały według gatunków: poezja, proza, teatr, lub: poezja liryczna, poeci barokowi, poezja dydaktyczna, satyryczna, sarmacka, epicka, lub: krytyka i filozofia, esej i gatunki pośrednie; wprowadza również działy specjalne, doraźne. Dla przykładu, okres Oświecenia podzielony został na następujące sekcje: tło, teatr, ludzie pióra, poeci sentymentalni, reformatorzy, nieprawdopodobny Potocki. Omówienie twórczości Potockiego, przede wszystkim jego po francusku napisanej powieści *Rękopis znaleziony w Saragossie,* jest innowacją. W rozdziale o romantyzmie znajdujemy między innymi sekcję zatytułowaną: dzieje rodziny. Omawia w niej Miłosz twórczość rodziny z której wyszedł Conrad; twórczości samego Conrada nie omawia.

Porównajmy jednak ujęcie okresu Oświecenia u Miłosza, Kridla i Krzyżanowskiego. Kridl podzielił w swoim podręczniku wiek XVIII na dwa okresy: saski i stanisławowski. W okresie stanisławowskim omówił najpierw tło historyczno-kulturalne i ruch reformatorski, rozwój oświaty, następnie zaś zajął się poszczególnymi pisarzami, rozwojem dramaturgii, poetami uczucia, i pisarzami politycznymi; zakończył garścią informacji o malarstwie,

architekturze, muzyce i ogólnym podsumowaniem literatury przedrozbiorowej. Jest to niewątpliwie jedna z lepszych partii książki Kridla. Krzyżanowski podzielił swój okres na następujące podrozdziały: wiek oświecenia, Stanisław August i jego polityka kulturalna, poeci dworscy, książę biskup warmiński, komedia stanisławowska, liryka sentymentalna, twórczość poetów schyłkowych, przełom w dziejach języka artystycznego. Porównanie to rzuca pewne światło na rodzaj podejścia poszczególnych autorów. Ogólnie można by powiedzieć, że wyznając historycyzm, Miłosz najchętniej układa materiał informacyjnie, co jest jeszcze wyraźniejsze gdy spojrzymy na poszczególne człony sekcji zatytułowanej: tło. Oto one: obóz reformy, religia i masoneria, osobowość króla, konfederacja barska i pierwszy rozbiór, Komisja Edukacji Narodowej, czasopisma, styl klasyczny, druga strona wieku rozumu, Żydzi, Sejm czteroletni, powstanie kościuszkowskie, polskie legiony napoleońskie.

Podejście w zasadzie informacyjne pozwoliło Miłoszowi stosować dużą dozę elastyczności w prezentacji materiału, który jest dzięki temu bogaty i różnorodny.

Wielką zaletą podręcznika Miłosza jest właśnie jego bogactwo, doskonałe wyczucie wartości szczegółu, styl żywy i wartki. Podręcznik Miłosza nie ma momentów nudy, nie odstrasza belferskością, jest fantastycznie czytelny. Miłosz powiada w przedmowie, że przy pisaniu książki ani przez chwilę nie odczuwał nudy: „bawiłem się raczej niż harowałem, i mam nadzieję, że szereg fragmentów zachowało ślad mojego uśmiechu". Ujawniająca się w książce osobowość autora, nie tylko jako ślad jego uśmiechu, jest jedną z najbardziej ujmujących cech tej książki. Osobowość ta ujawnia się nie tylko w zdolności wychwytywania wartościowych szczegółów, w fascynacji wszelkimi curiosami, dziwacznościami („nie pogardzałem tym, co zwariowane, zabawne lub dziwaczne"), ale w sposobie kreślenia sylwetek, w zaskakujących sformułowaniach, w operowaniu szerokim tłem porównawczym (chociaż z naciskiem na świat anglosaski), w zaangażowaniu w sprawy literatury polskiej, a także w sprawy intelektualne i ideowe. Znana niechęć autora do wąskiego nacjonalizmu w sensie politycznym i kulturalnym stała się podstawą ciekawej innowacji, historycznie w pełni uzasadnionej. Obok szerokiego uwzględnienia literatury polsko-łacińskiej (szerszego niż w podręczniku Kridla), Miłosz poświęcił osobne sekcje rozwojowi piśmiennictwa na terenie dawnej Rzeczypospolitej w językach litewskich, białoruskim i ukraińskim, jako że dawna Rzeczypospolita była państwem wielojęzycznym i wielonacjowym.

Inną, ważną innowacją w porównaniu z podręcznikiem Kridla, jest wprowadzenie do książki bogatego materiału ilustracyjnego

w postaci cytatów i całych utworów, zarówno w języku polskim jak i w przekładzie na angielski. Przykłady te nie zawsze dobrane zostały szczęśliwie (np. można było wybrać lepszy wiersz Wierzyńskiego, jeden z dobrych przekładów drukowanych w tomie *Selected Poetry);* szkoda także, że Miłosz traktuje je przeważnie jako materiał ilustracyjny, bez komentarza. Są one jednak bardzo wartościowym elementem książki.

Podręcznik Kridla doprowadzony był bardzo pobieżnie do okresu dwudziestolecia międzywojennego. Podręcznik Miłosza doprowadzony jest do roku 1966-67. Uwzględnił w nim autor nie tylko Urszulę Kozioł (urodzona w roku 1935), ale i Andrzeja Buszę (urodzony w 1938 roku). Chociaż okres współczesny potraktowany jest dosyć selektywnie, dwudziestolecie międzywojenne i okres powojenny zajmują sto kilkadziesiąt stron książki. Te ostatnie rozdziały są, oczywiście, najbardziej kontrowersyjne i najbardziej subiektywne, sprawą pominięć (np. Stryjkowski, Iwaniuk, Tyrmand) i błędów rzeczowych warto się jednak zająć osobno (spraw o które warto się spierać jest zresztą sporo: od okładki i mapy począwszy — po bibliografię).

Na koniec uwaga o charakterze specjalnym. Pisząc historię literatury polskiej doprowadzoną do okresu współczesnego, Miłosz stanął przed problemem własnego dorobku pisarskiego. Mówi o tym w przedmowie w sposób ujmujący i rozbrajający. Ta decyzja nie pomijania własnej twórczości ma w sobie coś z rękawicy rzuconej hipokryzji. Próba ograniczenia uwag o własnej twórczości tylko do relacji wypowiedzianych już o niej opinii krytyków raczej nie mogła się udać; tym ciekawsze są poglądy Miłosza na rolę jaką odegrał i odgrywa w literaturze polskiej i na charakter własnej twórczości, tak bogatej, że obok poezji lirycznej, traktatów poetyckich i poezji zaangażowanej, obok powieści, eseistyki, publicystyki, krytyki literackiej, przekładów i biografii intelektualnej, wkroczyła również na teren belfrów i zawodowych polonistów — w zgoła nie belferski sposób. *The History of Polish Literature* jest więc jakby klasycznie gombrowiczowskim przykładem walki na co najmniej dwa fronty. Szczególnie to *the* w tytule, jeżeli nie obciąża wydawcy, jest zapewne wyrazem nie tyle ambicji definitywności, co gestem pisarza, który na terytorium przeciwnika zatknął swój własny sztandar. Tak przynajmniej potrafiłbym to zrozumieć jedną połową mojej rozszczepionej osobowości.

Bogdan CZAYKOWSKI

(c.d.n.)

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bd. St.-Germain — Paris 6e — Tel.: 326-04-42

CODZIENNIE OD 13 GRUDNIA W GODZ. 10-20 BEZ PRZERWY

TRADYCYJNA SPRZEDAŻ GWIAZDKOWA

Książki i albumy polskie i francuskie ● Ilustrowane książeczki dla dzieci ● Polonica francuskie nowe i dawniejsze ● Płyty polskie: kolędy, piosenki, muzyka klasyczna ● Artystyczne szopki i kartki świąteczne.

Tegoroczna nowość: Wydawnictwa specjalnie wybrane na pominki ze względu na estetyczną prezentację i niskie ceny.

Przyjmujemy zlecenia telefoniczne i korespondencyjne.

Oficjalną inaugurację Sprzedaży Gwiazdkowej — w sobotę 13 grudnia — zaszczycą swym udziałem i podpisywaniem swoich nowych książek w godz. 17-20:

DOMINIQUE DE ROUX:

Rozmowy z Gombrowiczem — w hołdzie zmarłemu laureatowi Międzynarodowej Nagrody Literackiej,

JÓZEF CZAPSKI:

Na nieludzkiej ziemi — trzecie wydanie zawsze poszukiwanej książki (sous réserve),

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI:

Upiory rewolucji — najnowsza praca równie pasjonująca jak poprzednie.

Zapisane wczesnym rankiem

PRZYWOŁANIE DO PORZĄDKU

Krzyczałbyś,
bo ludzkość jest szalona.
Ale komu jak komu, tobie nie wypada.

Z jakiego piasku
i błota i śluzu,
z jakich mizernych drzazg
ulepiłeś swój zamek przeciw próbie morza,
już dotknięty falą.

Jaki chaos
dostawał miarę odtąd-dotąd.
Jaki abyssus
był widziany i przemilczany.
Jaki strach
przed tym czym jesteś.

Ukazuje się
ale nie to.
Nazywa się,
bezimienne zostaje.
Dokonuje się,
a niezaczęte.

Zliże twój zamek
żałobne morze
koloru wina,
dumę uśmierzy.

Jednak umiałeś
z niczego prawie.
Nie rzecz rozumu
ani cnoty.

Jak więc potępisz
nierozum innych.

O ANIOŁACH

Odjęto wam szaty białe,
skrzydła i nawet istnienie,
ja jednak wierzę wam,
wysłańcy.

Tam gdzie na lewą stronę odwrócony świat,
ciężka tkanina haftowana w gwiazdy i zwierzęta,
spacerujecie oglądając prawdomówne ściegi.

Krótki wasz postój tutaj,
chyba o czasie jutrzennym, jeżeli niebo jest czyste,
w melodii powtarzanej przez ptaka,
albo w zapachu jabłek pod wieczór
kiedy światło zaczaruje sady.

Mówią, że ktoś was wymyślił
ale nie przekonuje mnie to.
Bo ludzie wymyślili także samych siebie.

Głos — ten jest chyba dowodem,
bo przynależy do istot niewątpliwie jasnych,
lekkich, skrzydlatych (dlaczegóż by nie),
przepasanych błyskawicą.

Słyszałem ten głos nieraz we śnie
i, co dziwniejsze, rozumiałem mniej więcej
nakaz albo wezwanie w nadziemskim języku:

zaraz dzień
jeszcze jeden
zrób co możesz.

Czesław MIŁOSZ

Prawa dłoń

Tamtej zimy przyjechałem do Taszkientu prawie jak nieboszczyk. Tak jest — przyjechałem po to by umrzeć.

Ale jeszcze przywrócono mnie życiu na jakiś czas.

Minął miesiąc, jeszcze miesiąc i jeszcze jeden miesiąc. Nagła, nie lękająca się niczego taszkiencka wiosna przeminęła za oknami, przeszła w lato, wszędzie zjawiała się gęstwa zieleni i było już zupełnie ciepło, kiedy zacząłem wychodzić, by przespacerować się na niepewnych nogach.

Jeszcze nie miałem odwagi przyznać się samemu sobie, że zaczynam wracać do zdrowia, bo przecież w najśmielszych marzeniach dodawałem do wyznaczonego mi terminu nie lata, lecz miesiące; powolutku stąpałem po żwirowych i asfaltowych ścieżkach parku, rozrośniętego między pawilonami szpitala. Musiałem coraz to siadać, a nawet, gdy zbierało mi się na mdłości, kłaść się, opuszczając jak najniżej głowę.

Byłem niby taki sam, jak inni chorzy w otoczeniu, a jednak inny: nie miałem tych samych praw co oni, i musiałem zachowywać milczenie bardziej niż oni. Ich odwiedzano, nad nimi użalali się krewni, ich jedyna troska, jedyny cel — wyzdrowieć. A ja właściwie nie miałem po co wracać do zdrowia — trzydziestopięcioletni, nie miałem tej wiosny żadnego krewnego w całym świecie. A przede wszystkim nie miałem paszportu, i gdybym teraz wyzdrowiał, musiałbym porzucić tę zieleń, tę urodzajną ziemię i wrócić do siebie, na pustynię, tam dokąd zostałem zesłany n a z a w s z e, pod stały nadzór, z obowiązkiem zgłaszania się co dwa tygodnie. Nawet wtedy, gdy byłem umierający, komendant długo nie zgadzał się, by mnie zwolnić do szpitala.

Nie mogłem opowiedzieć o tym wszystkim chorym z mego otoczenia, którzy byli ludźmi wolnymi.

A gdybym nawet opowiedział, to i tak by nie zrozumieli.

Ale za to, mając za sobą dziesięć lat długich, powolnych rozmyślań, doszedłem do tej prawdy, że autentyczny smak życia polega nie na wielkich sprawach, lecz na drobnych. Ot, choćby to niepewne przebieranie jeszcze słabymi nogami. Ten ostrożny oddech, żeby nie sprowokować kłucia w piersi. Ten kawałek nieodmrożonego kartofla, wyłowiony z zupy.

I oto ta wiosna była w moim życiu zarazem najbardziej męcząca i najpiękniejsza.

Wszystko dokoła albo było dawno zapomniane, albo nieznane, wszystko mnie interesowało: wózek z lodami, nawet zamiatacz z hydrantem, nawet handlarki sprzedające pęczki podłużnych rzodkiewek, a już tym bardziej źrebak, który zawędrował na trawę przez wyłom w murze.

Z każdym dniem odważałem się oddalać coraz bardziej od mojej kliniki w głąb parku. Najwidoczniej, został zasadzony jeszcze przy końcu ubiegłego stulecia, i wtedy też zbudowano te ceglane gmachy, wyraźnie ujawniające swoje linie architektoniczne. Od wschodu tryumfującego słońca, przez cały dzień Południa i aż do późna wieczorem, pod żółtym światłem elektryczności, park trwał w ożywionym ruchu. Szybko poruszali się ludzie zdrowi, bez pośpiechu spacerowali chorzy.

Tam, gdzie kilka alejek łączyło się w jedną, prowadzącą do głównej bramy, bieliło się duże alabastrowe popiersie Stalina, z kamiennym uśmieszkiem pod wąsami. Dalej, w kierunku ku bramie, rozstawione były równomiernie inne popiersia, mniejsze od tamtego. Zaraz potem znajdował się kiosk z piśmiennymi przyborami. Sprzedawano tam plastykowe ołówki i ponętnie wyglądające notesiki. Pieniądze miałem dokładnie obliczone, ale nie tylko to — notesy miawałem w życiu nie raz, ale zawsze trafiały tam, gdzie nie trzeba, więc doszedłem do wniosku, że lepiej nigdy ich nie używać.

A przy samej bramie rozłożył się sklepik z owocami i obok uzbecka herbaciarnia. Nas, chorych, w naszych pasiastych piżamach, do herbaciarni nie wpuszczano, ale przez niskie przepierzenie można było obserwować wnętrze. W życiu tego nie widziałem, tych osobnych dla każdego czajników z zieloną lub czarną herbatą. Była tam część europejska, gdzie stały stoliki, i uzbecka — z jednym tylko pomostem. Przy stolikach pito i jedzono z pośpiechem, zostawiano na spodeczkach drobne pieniądze i wynoszono się; na pomoście, pod trzcinowym nawisem, wciąganym w upalnych dniach, na kilimkach siedzieli ludzie, jedni godzinami, inni przez cały dzień, wypijali czajnik za czajnikiem, grali

w kości, jak gdyby nie mieli w ciągu długiego dnia żadnych obowiązków do wypełnienia.

Sklepik z owocami był także do dyspozycji pacjentów, ale moje grosze zesłańca kurczyły się na widok cen. Z uwagą przypatrywałem się stosom *uriuka,* rodzynek, młodych czereśni — przypatrywałem się i odchodziłem.

Nieco dalej był wysoki mur, a za bramę chorych nie wypuszczano. Dwukrotnie i trzykrotnie przechodziły tędy do naszego szpitalnianego osiedla orkiestry, grające marsze żałobne — miasto milionowe, zaś cmentarz był obok. Zanim powolny kondukt przeminął, dźwięki orkiestry rozbrzmiewały przez dziesięć minut i dłużej. Bębny wybijały ostateczny rytm. To nie działało na tłum, który miotał się w rytmie jeszcze szybszym. Zdrowi tyle że się oglądali i szli pospiesznie za swoimi sprawami, dobrze wiedząc o co im chodzi. Chorzy zatrzymywali się, długo słuchali, wyglądali z okien pawilonów.

Im bardziej czułem się zdrowszy, i bardziej stawało się pewne, że pozostanę przy życiu, tym markotniej rozglądałem się dokoła: już żal mi było rozstawać się z tym wszystkim.

Na stadionie przeznaczonym dla lekarzy białe figury odbijały białe piłki tenisowe. Przez całe życie pragnąłem grać w tenisa i nigdy mi się nie zdarzyło. Mętno-żółty Sałar wściekle bełkotał pod urwistym brzegiem. W parku rosły rozłożyste dęby, a w ich cieniu delikatne japońskie akacje. Ośmiościenny wodotrysk wyrzucał ku górze świeże srebrzyste strugi. A jaka trawa była na gazonach! — soczysta, od dawna nie tykana (w łagrach kazali ją pleć, jak gdyby była wrogiem, a na moim zesłaniu w ogóle jej nie było). Położyć się na tej trawie twarzą do ziemi, spokojnie oddychać jej zapachem, czuć jak paruje pod słonecznym ciepłem — już to jedno stanowiło najwyższe szczęście.

Nie ja jeden leżałem na trawie. Tu i tam miłe studentki medycznego instytutu wkuwały się z opasłych podręczników. Inne, zachłystując się słowami, wracały ze zdanych kollokwiów. Jeszcze inne, sprężyste, ze sportowymi walizeczkami w rękach, szły na stadion do pawilonu z prysznicami. A wieczorami ledwie dostrzegalne, nie dające się odróżnić i przez to trzykroć bardziej pociągające dziewczęta okrążały fontannę i pod ich stopami zgrzytał żwir alei.

Kogo żałowałem w owych chwilach aż do bólu? Może rówieśników, odmrożonych pod Demiańskiem, spalonych w Oświęcimiu, zaszczutych w Dżeskazganie, dogorywających w tajdze... Że te dziewczęta są przeznaczone nie dla nas. Albo może było mi żal właśnie ich, tych dziewcząt, że nigdy im tego wszystkiego nie opowiem, że nigdy się nie dowiedzą.

Kobiety, kobiety! — młode lekarki, pielęgniarki, laborantki,

kancelistki, szafarki, krewne odwiedzające chorych — przez cały dzień tłumy kobiet na żwirowanych i asfaltowych dróżkach! Jedne przechodziły koło mnie w surowych kitlach, inne w letnich jaskrawych sukienkach, niekiedy na pół przezroczystych, a zamożniejsze kręciły nad głowami modnymi chińskimi parasolkami na bambusowych kijkach — błękitnymi, różowymi, barwy słońca. I każda z nich, znikając po chwili, zostawiała po sobie całą tematyczną osnowę: to, co przeżyła, zanim ją zobaczyłem, aż do możliwej raczej niemożliwej — ze mną znajomości.

Miałem żałosny wygląd. Wychudzona twarz przechowywała wszystko, co było za mną — zmarszczki wyniesione z ponurych obozów, martwiznę skóry jakby wygarbowanej popiołem, powolne zatrucie chorobą i lekarstwami, od czego policzki nabierały zielonkowatego odcienia. Plecy stale zgarbione — instynktowne przyzwyczajenie człowieka poddanego i szukającego ukrycia. Błazeńska kurteczka w pasy ledwie sięgała brzucha, nogawki równie pasiastych spodni kończyły się powyżej kostek, z obozowych niezgrabnych bucików ze sztucznej skóry wyglądały brzegi onuc, brązowych ze starości.

Najgorsza z tych kobiet nie odważyłaby się przespacerować ze mną! Ale nie widziałem samego siebie. A w oczach, równie zachłannych jak u tych kobiet — miałem cały świat!

I oto któregoś dnia, przed wieczorem, stałem przy głównej bramie i obserwowałem. Obok przepływał, jak zawsze, ten sam ludzki potok, chwiały się parasolki, połyskiwały jedwabne suknie, czesuczowe spodnie podtrzymywane jasnymi pasami, haftowane koszule i uzbeckie jarmułki. Gwar zmieszanych głosów, szedł handel owocami, za przepierzeniem pili herbatę, grali w kości — a koło przepierzenia stał, przysunięty do niego, niezgrabny, mały człowieczek, wyglądający na żebraka, i od czasu do czasu zwracał się do kogoś załamującym się głosem:

— Towarzysze... Towarzysze...

Pstrokaty tłum był zajęty samym sobą i nie słuchał go. Podszedłem bliżej.

— Co powiesz, braciszku?

Miał niezmierny brzuch, większy niż u ciężarnej kobiety, obwisły jak worek, rozpierający spodnie brudno-ochronnego koloru. Buty o rozwalonych zelówkach były ciężkie i zakurzone. Niewłaściwe w tej porze roku, rozpięte grube palto ciążyło ramionom; kołnierz był zatłuszczony, klapy wytarte. Na głowie starożytna, zdarta cyklistówka, godna by nią ozdobić straszaka na wróble.

Oczy miał mętne i podpuchnięte.

Z trudnością podniósł dłoń zaciśniętą w pięść, — wyciągnąłem z niej zmięty, przepocony papierek. Było to niezdarnie wypisane piórem, które coraz to zaczepiało się o papier, podanie obywatela

Bobrowa, z prośbą o skierowanie go do szpitala. Na podaniu dwie decyzje, wypisane na ukos — jedna niebieskim, druga czerwonym atramentem. Pierwszy napis pochodził z miejskiego Wydziału Zdrowia i zawierał rozsądnie umotywowaną odmowę. Zaś napis czerwonym atramentem polecał klinice Instytutu przyjęcie chorego do szpitala. Niebieski napis pochodził z wczorajszego dnia, czerwony był dzisiejszy.

— No, cóż — tłumaczyłem mu głośno, jakbym miał do czynienia z głuchym. — Wam trzeba do sali przyjęć, do pierwszego pawilonu. Musicie, znaczy się, pójść prosto, koło tych... pomników...

Ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że tuż u samego celu siły opuściły go całkowicie, że nie jest w stanie nie tylko rozpytywać w dalszym ciągu i wlec nogi po gładkim asfalcie, lecz nie da rady udźwignąć zniszczonego woreczka, który mógł ważyć jakieś półtora kilograma. Powziąłem decyzję.

— Dobra, tatusiu, podprowadzę. Jazda! Daj-no ten swój woreczek.

Słyszał mnie dobrze. Wręczył swój worek z westchnieniem ulgi, wsparł się na podstawionym ramieniu i ruszył, prawie nie podnosząc stóp, ciągnąc je za sobą po asfalcie. Trzymałem go za łokieć, poprzez rękaw palta rudego od kurzu. Rozdęty brzuch sprawiał, że starzec coraz to pochylał się ku przodowi. Wzdychał często i coraz ciężej.

I takeśmy szli, dwaj oberwańcy, tą samą aleją, na której w wyobraźni brałem pod ramię najpiękniejsze dziewczęta Taszkinetu. Długo, powoli wlekliśmy się wzdłuż alabastrowych popiersi.

Wreszcie skręciliśmy. Na drodze była ławka z oparciem. Mój kompan powiedział, że chce usiąść. Ja także zacząłem odczuwać mdłości, zbyt długo byłem na nogach. Usiedliśmy. Z ławki widać było dobrze wodotrysk.

Jeszcze po drodze stary powiedział mi to i owo, a teraz, gdy się nieco wysapał, dodał, że powinien jechać na Ural, że w paszporcie ma napisane, żeby meldować się na Uralu, i na tym polega całe nieszczęście. Choroba złapała go gdzieś pod Tachna-Taszem, gdzie — jak pamiętałem — zaczęli budować kanał. W Ugrenczu przetrzymano go przez cały miesiąc w szpitalu, wypuszczano wodę z brzucha i z nóg, tylko pogorszyli jego stan i zwolnili. Pierwszy raz zszedł z pociągu w Tardżeju, potem w Ursatjewskiej — ale nigdzie leczyć go nie chcieli, odsyłali go na Ural, tam gdzie miał się zameldować. Ale już nie miał siły, by jechać pociągiem i pieniędzy na bilet także nie zostało. I oto po dwóch dniach pobytu w Taszkiencie udało się uzyskać skierowanie do szpitala.

Co on tu robił na turkiestańskim południu, skąd go tu przy-

niosło — już nie pytałem. Choroba jego, jeśli sądzić według lekarskich diagnoz, była skomplikowana, a jak się na niego popatrzyło, stawało się jasne: to o s t a t n i a choroba. Miałem okazję oglądać tylu chorych i zdawałem sobie sprawę, że nie było już w nim woli życia. Wargi miał zwiotczałe, mówił niewyraźnie, mętna mgła coraz to nachodziła na oczy.

Nawet cyklistówka mu przeszkadzała. Z trudnością podniósł rękę, położył czapkę na kolanach. Znowu podniósł rękę, brudnym rękawem otarł pot z czoła. Na szczycie głowy widniała łysinka, ale dokoła i na ciemieniu utrzymały się jasne włosy, nieczesane, pokryte kurzem. To nie starość go doprowadziła do tego stanu, lecz choroba.

Na żałośliwie cienkiej jak u kurczaka szyi wisiała pomarszczona, zbędna skóra, a osobno poruszała się trójgraniasta grdyka i sterczała do przodu.

Głowa nie miała się na czym trzymać. Ledwie usiedliśmy, opadła mu na pierś, podparta podbródkiem.

Zamarł w tej postawie, z cyklistówką na kolanach, z zamkniętymi oczami. Jak się zdaje, zapomniał, że usiedliśmy tylko na chwilę, żeby odpocząć, że powinien iść na salę przyjęć.

Niedaleko od nas fontanna biła do góry srebrzystą, prawie niedosłyszalną strugą. Po drugiej stronie przeszły dwie dziewczyny, które bardzo mi się spodobały. Mój sąsiad cicho westchnął, pociągnął głową i, uniósłszy szaro-żółte powieki, popatrzył na mnie zarazem z boku i z dołu.

— A może, towarzyszu, macie coś do zakurzenia?

— Wyrzućcie to z pomyślunku, tatusiu! — zawołałem. — Tobie i mnie i bez palenia choćby jeszcze jakiś czas butami w ziemi pogrzebać! Przyjrzyj się sobie w lustrze. Palenie! Ja sam przestałem palić przed miesiącem, ledwie potrafiłem się odzwyczaić.

Zasapał. I znowu spojrzał na mnie spod żółtych powiek, jakoś po psiemu.

— A to, towarzyszu, daj chociaż ze trzy ruble!

Zastanowiłem się — dać czy nie dać. Co by tam nie gadać, byłem przecież politycznym zesłańcem, a on — tak czy owak — człowiekiem wolnym. Ileż to lat t a m przepracowałem i nie płacono mi ani grosza. A kiedy zaczęli płacić, coraz to wytrącali: na eskortę, na światło elektryczne w zonie, na milicyjne psy, na komendaturę, na rybną zupę.

Z maleńkiej napiersnej kieszonki mojej błazeńskiej kurteczki wyciągnąłem ceratowy portfel, przeliczyłem banknoty. Z westchnieniem podałem staremu trzy ruble.

— Dziękuję — wychrypiał. Z trudnością podniósł rękę, wziął te trzy ruble, włożył do kieszeni. I od razu ta ręka opadła bezsilnie na kolano. Głowa także opadła, wsparła się podbródkiem o pierś.

Milczeliśmy dłuższą chwilę.

W międzyczasie przeszła przed nami kobieta, potem jeszcze dwie studentki. Wszystkie trzy bardzo mi się podobały.

A zdarzało się przez całe lata, że nie słyszało się kobiecego głosu, ani postukiwania wysokich obcasów.

— I tak jeszcze dobrze się udało, że wam postawili rezolucję. Bo jakby nie, to byście się tutaj cały tydzień obijali. Zwykła sprawa. Niejednemu już się tak zdarzyło.

Oderwał podbródek od piersi i zwrócił się do mnie. Wzrok był teraz jaśniejszy i świadomy, głos zadrżał, mowa stała się wyraźniejsza.

— Synku! Przyjmują mnie do szpitala, bo jestem zasłużonym człowiekiem. Jestem weteranem rewolucji. Siergiej Mironycz Kirow osobiście mi rękę ściskał pod Carycynem. Powinniby mi wypłacić emeryturę.

Słabe drgnięcie policzków i ust — jakby cień dumnego uśmiechu — zjawiło się na jego nieogolonym obliczu.

Obejrzałem raz jeszcze i jego i łachmany, w jakie był ubrany.

— Więc dlaczego nie płacą?

— Tak się życie ułożyło. — westchnął. — Teraz mnie nie chcą uznać. Jedne archiwa spalone, inne zagubiły się. Świadków dzisiaj nie znajdę. A Siergieja Mironycza zabili... Moja wina, nie zachowałem dokumentów... Jeden tylko mi został...

Spróbował prawą dłoń — stawy palców były spuchnięte, jeden przeszkadzał drugiemu — wsadzić do kieszeni i w tejże chwili krótkie ożywienie zamarło, ręka znowu opadła, również opadła głowa — tak został.

Słońce zaczęło chować się za gmachem pawilonu, trzeba było iść jak najśpieszniej do pokoju przyjęć — zostawało jeszcze jakieś sto kroków — wiedziałem z własnego doświadczenia, że nigdy nie jest łatwo znaleźć wolne miejsce w klinice.

Wziąłem starca za ramię.

— Tatusiu! Ocknij się! Widzisz tam — drzwi? Widzisz? Pójdę popchnąć twoją sprawę. Jeśli dasz radę, sam zbliż się, a nie — zaczekaj na mnie. Woreczek twój zabiorę.

Kiwnął głową, że niby zrozumiał.

W pokoju przyjęć — to była część wielkiej odrapanej sali, podzielonej ordynarnymi przegrodami; gdzieś tu była łaźnia, fryzjernia i garderoba — za dnia zawsze tłoczyli się pacjenci, wytrzymując długie godziny, zanim ich przyjęto. Ale teraz, ku memu zdziwieniu, nie było żywego ducha. Zastukałem do okienka, prze-

słoniętego dyktą. Otworzyła bardzo młoda pielęgniarka z nosem jak pantofelek, o ustach wymalowanych nie czerwoną, lecz ciemnoliliową szminką.

— Czego chcecie? — siedziała za stołem i, najwidoczniej, czytała szpiegowski komiks.

Oczka miała niezmiernie żywe.

Wręczyłem jej podanie, na którym widniały dwie kolejne rezolucje i powiedziałem:

— Ten człowiek ledwie chodzi. Zaraz go przyprowadzę.

— Nie odważcie się nikogo przyprowadzać! — krzyknęła ostrym głosem, nawet nie spojrzawszy na papierek. — Nie znacie regulaminu? Chorych przyjmujemy wyłącznie od dziewiątej rano!

Ale to o n a nie znała regulaminu. Wsadziłem do okienka głowę i rękę, ile tylko było miejsca, żeby nie mogła zastrzasnąć dykty. Wykrzywiłem dolną wargę, zrobiłem grymas godny goryla i powiedziałem syczącym, złodziejskim tonem:

— Słuchaj-no, panienko! Między nami mówiąc, ty mi tu szurać nie zaczynaj!

Przestraszyła się, odsunęła z krzesłem w głąb pokoju i spuściła z tonu.

— Nie ma teraz przyjęć, obywatelu! Od dziewiątej zrana.

— A ty byś przeczytała papierek! — poradziłem jej niskim, nieżyczliwym głosem.

Przeczytała.

— No, i cóż! W zwykłym trybie. Jutro, być może, nie będzie żadnego miejsca. Dziś rano — nie było.

Wyglądało na to, że ta informacja o braku miejsc sprawia jej pewne zadowolenie, jak gdyby chciała mi specjalnie dokuczyć.

— Ale, zrozumcie, ten człowiek jest w przyjeździe i nie ma gdzie się podziać.

W miarę tego, jak wysuwałem się z powrotem z okienka i przestawałem używać łagiernego tonu, twarz pielęgniarki nabierała na nowo okrutnego wyrazu.

— Wszyscy tu nas skądeś przyjeżdżają! Gdzie ich mamy kłaść? Niech sobie wynajmie nocleg!

— A może byście tak wyszli, zobaczyli w jakim on stanie.

— Jeszcze czego! Akurat do mnie należy zbieranie chorych! Nie jestem sanitariuszką!

Dumnie zadarła nosek w kształcie pantofelka. Odpowiadała tak żwawo i szybko, jak gdyby miała w sobie specjalną ku temu sprężynę.

— To po co tu w ogóle siedzicie?! — trzasnąłem dłonią w przegrodzenie z dykty, aż posypał się z niego wapienny pył. — W takim razie niech drzwi będą zamknięte!

— Nikt was o to nie pyta! — wybuchnęła pielęgniarka. Zerwała się, obiegła dokoła i wyskoczyła z korytarza. — Impertynent! Coście za jeden? Nie uczyć mnie! To tylko gdy pogotowie przywiezie!

Gdyby nie te ordynarnie wymalowane na liliowo wargi i tegoż koloru paznokcie, byłaby całkiem przystojna. Nosek jej dodawał wdzięku i brwi poruszały się z temperamentem. Z powodu upału kitel na piersi był szeroko rozpięty, widać było ładną, różowiutką kombinację a obok — komsomolska odznaka.

— A tak? To znaczy, że gdyby on nie przyszedł sam, lecz zabrało go z ulicy pogotowie, to wy byście go przyjęli? Jest taki przepis?

Wyniośle obejrzała moją absurdalną postać, a ja także się jej przyglądałem. Zupełnie zapomniałem, że onuce wyłażą mi z butów. Krótko parsknęła śmiechem, ale zaraz przyjęła surowy wygląd i oświadczyła:

— A żeby p a c j e n t wiedział! Jest taki przepis.

I poszła za przepierzenie.

Usłyszałem za sobą szmer. Obejrzałem się. Mój kompan już tu był, słyszał wszystko i zrozumiał. Trzymając się ściany, wlókł się ku dużej ogrodowej ławce, którą tu wstawiono dla interesantów. Ledwie poruszał prawą dłonią, w której trzymał zniszczony pugilares.

— O tu... — powiedział wyczerpany głosem — tu... pokażcie jej... niech ona... o tu...

Zdążyłem go podtrzymać, pomogłem usiąść na ławce. Bezsilnymi palcami starał się wyciągnąć z pugilaresu jedyny swój dokument i nie mógł w żaden sposób.

Wziąłem od niego ten zniszczony papierek, podklejony w różnych miejscach, żeby się nie rozsypał, i rozwinąłem. Kilka fioletowych wierszy, odbitych na maszynie do pisania.

„PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

Z a ś w i a d c z e n i e

Zaświadcza się niniejszym, że towarzysz N. K. Bobrow, w roku 1921 rzeczywiście należał do sławnego Oddziału o Specjalnym Przeznaczeniu (nazwa guberni) imienia Światowej Rewolucji i własną swoją ręką porąbał wiele ostatnich kontrrewolucyjnych gadzin.

Komisarz... (Podpis)".

Na dole wyblakła fioletowa pieczęć.

Pogładziłem ręką pierś i zapytałem cichym głosem:

— Co to znaczy — „O Specjalnym Przeznaczeniu"? Że niby co..?

— A właśnie — odpowiedział. Powieki opadły mu prawie zupełnie.

— Pokażcie jej.

Patrzyłem na jego rękę, jego prawą dłoń — taką drobną, o wzdętych brunatnych żyłach, o palcach spuchniętych w stawach, prawie niezdolną do wyciągnięcia zaświadczenia z pugilaresu. I przypomniałem sobie jak piechotę cięli z koni z rozmachu. Na ukos.

Dziwne... W pełnym rozmachu ręka skręcała szablę i odrąbywała głowę, szyję, część ramienia — właśnie ta prawa dłoń. A teraz nie mogła utrzymać pugilaresu...

Podszedłem do okienka z dykty i znowu popchnąłem. Urzędująca panienka czytała swój komiks, nie podnosząc głowy. Na otwartej stronicy zobaczyłem do góry nogami szlachetnego oficera, który wskoczył na parapet okna z rewolwerem.

Cichutko położyłem podniszczone zaświadczenie na książce, odwróciłem się i skierowałem ku wyjściu. Cały czas gładziłem pierś, by pokonać wzbierające mdłości. Powinienem był położyć się jak najszybciej, z głową położoną jak najniżej.

— Co wy tu jakieś papierki rozkładacie? — krzyknęła pannica za mną przez okienko. — Niech pacjent to natychmiast zabierze!

Weteran jak gdyby zapadł się w ławkę. Głowa i ramiona zapadły się w tułów. Bezradnie zwisły rozczapierzone palce. Wisiało rozpięte palto. Okrągły, wzdęty brzuch w nieprawdopodobny sposób rozłożył się na biodrach.

Aleksander SOŁŻENICYN

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

Powyższe opowiadanie, które stosunkowo niedawno dotarło na Zachód, ma charakter autobiograficzny. Tematycznie łączy się z powieścią Sołżenicyna pt. „Pawilon chorych na raka". Zamieszczamy to opowiadanie w związku z wiadomością o wykluczeniu Al. Sołżenicyna ze Związku Pisarzy Sowieckich. W roku przyszłym, w ramach „Biblioteki Kultury" *ukaże się polskie wydanie „Korpusu chorych na raka" w przekładzie Józefa Łobodowskiego oraz „Krąg pierwszy" w przekładzie Michała Kaniowskiego.*

◆

Po wykluczeniu ze Zw. Pisarzy Sowieckich, Sołżenicyn wystosował do Związku List Otwarty, który podajemy poniżej w tłumaczeniu z tekstu francuskiego, zamieszczonego w „Le Monde".

Jest hańbą podeptanie własnych uchwał. Wykluczyliście mnie tak szybko jakby się paliło, zaocznie, nawet nie przysłaliście mi wezwania czy depeszy, nawet nie pozostawiliście mi czterech godzin czasu, abym mógł przybyć z Riazania na wasze zebranie.

Wykazaliście jasno, że decyzja wyprzedziła zbadanie sprawy. Czy łatwiej wam było znaleźć nowe oskarżenia pod moją nieobecność? Czy baliście się, że będziecie zmuszeni udzielić mi dziesięciu minut czasu na odpowiedź?

Jestem więc zmuszony do zastąpienia mojej odpowiedzi tym listem.

Mgła przesłania tarczę zegaru. Wasze zegarki spóźniają się w stosunku do czasu, w którym żyjemy. Rozchylcie ciężkie kotary, które tak lubicie. Nawet nie podejrzewacie, że na dworze dnieje. Już minął czas głuchych, ponura epoka, kiedy to nie było wyjścia, kiedy to podobało się wam wykluczyć Achmatową. A także to już nie te czasy bojaźni i braku odporności, kiedy wrzaskami wykluczyliście Pasternaka.

Czyż ten wstyd wam nie wystarczył? Chcecie go jeszcze spotęgować? Ale bliską jest godzina, w której każdy z was będzie usiłował zmazać podpis położony pod dzisiejszą rezolucją.

Ślepcy prowadzą ślepych. Nie widzicie nawet, że idziecie w całkowicie odwrotnym kierunku od zamierzonego. W tych czasach przełomowych nie jesteście zdolni do zaproponowania naszemu ciężko choremu społeczeństwu niczego, co byłoby konstruktywne, co byłoby dobre, nic poza waszą nienawiścią, waszą czujnością, waszym „co mam to moje i tego z rąk nie wypuszczę".

Wasze tasiemcowe artykuły to szmaty, wasza głupota ożywia się leniwie, ale nie posiada argumentów. Nic poza głosowaniem przez aklamację i środki administracyjne. I dlatego ani Szołochow, ani wy wszyscy nie śmieliście odpowiedzieć na list Lidii Czukowskiej, która jest dumą zaangażowanej literatury rosyjskiej. Zamkną się nad nią kleszcze administracyjne. Jak mogłaś dopuścić, żeby czytano twoją książkę, która nie została wydana? Jeśli władze zarządziły, że nie będzie wydana — uduś się, przestań istnieć, nie pozwól aby ktokolwiek cię czytał.

Przygotowuje się również wykluczenie Lwa Kopelewa, dawnego żołnierza, który — niewinny — odsiedział już dziesięć lat w łagrach. Ale teraz jest winien. Po cóż więc występować w obronie prześladowanych? Dlaczego ujawnił tajne rozmowy z wpływową osobistością? Ależ dlaczego wy przeprowadzacie takie rozmowy, które musicie ukrywać przed narodem? Czyż nie obiecano nam, pięćdziesiąt lat temu, że zniknie na zawsze tajna dyplomacja, tajne rozmowy, nominacje i zwalnianie ze stanowisk — tajne i niezrozumiałe, że masy będą o wszystkim mówiły jawnie?

„Wróg słucha" — oto wasza wymówka. Wieczni i stali „wrogowie" są łatwym usprawiedliwieniem waszych funkcji i faktu, że istniejecie. Tak jakby nie było *wrogów* wtedy, kiedy nam obiecywano, że prawdę będzie się zawsze natychmiast ujawniało. Cóż byście robili bez wrogów? Nie moglibyście w ogóle żyć bez wrogów. Nienawiść, nienawiść w niczym nie ustępująca nienawiści rasowej, stała się waszą wyjałowioną atmosferą. Ale w ten właśnie sposób traci się sens integralności i jedyności ludzkości i w ten sposób zbliża się jej zguba. Jeśli jutro stopnieją lody arktyczne cała ludzkość utonie. A wtedy w czyje głowy będziecie usiłowali wtłoczyć ideę „walki klasowej".

Nie mówię nawet o czasach, kiedy to resztki dwunogich istot, jeszcze żyjących, błąkać się będą po Ziemi już całkowicie radioaktywnej i umrą. Jest

czas aby sobie uprzytomnić, że należymy przede wszystkim do ludzkości, że człowiek różni się od zwierzęcia myślą i mową. I że, naturalnie, ludzi winni żyć wolni. A jeśli się ich zakuje w kajdany powrócimy do stanu zwierzęcego.

Publiczne ogłoszenie faktów w sposób uczciwy i całkowity: oto pierwszy warunek zdrowia całego społeczeństwa z naszym włącznie. Ten który tego nie chce, ten kto nie troszczy się o ojczyznę — ten myśli tylko o własnym interesie. Ten kto nie chce tego dla dobra ojczyzny, ten nie chce jej wyleczyć z chorób, ale przeciwnie chce aby te choroby w niej się zakorzeniły tak, aby spowodowały rozkład.

Aleksander SOŁŻENICYN

(Przeł. Zofia Hertz)

UKAZAŁA SIĘ NOWA, BOGATO ILUSTROWANA KSIĄŻKA

Edwarda Raczyńskiego

pt.:

PANI RÓŻA

historia życia matki autora, wydana przez Oficynę Poetów i Malarzy. Zawiera świadectwa ludzi, którzy ją znali, w tej liczbie Marii Czapskiej, Karoliny Lanckorońskiej i Ambasadora Kajetana Morawskiego.

Do nabycia w księgarniach polskich oraz u autora:
8, Lennox Gardens, London, S.W.1.
Cena wraz z przesyłką: £ 1.16.0 lub $ 5,00
Luksusowe wydanie numerowane na papierze czerpanym: £ 4.0.0 lub $ 10,00

MARIAN KUKIEL

GENERAŁ SIKORSKI

Monografia

Cena 30/-, $ 4,00 Stron około 270

Zamówienia prosimy kierować do:
Księgarnia K.O.W. Veritas,
4-8, Praed Mews, London, W.2., England

Straty kultury polskiej

Pożegnalny list

Kiedy pod koniec roku 1961 ukazał się w *Kulturze* czwórgłos Czapskiego, Jeleńskiego, Miłosza i niżej podpisanego o *Esejach dla Kassandry,* Jerzy Stempowski tak nań zareagował w liście do mnie: „Czuję się teraz jak kanonizowany za życia i niemal jak pochowany obok Stawara w Alei Zasłużonych. Być może lepiej było zostawić jakiś zapas, bo co Panowie napiszą o mnie po śmierci? Czuję się tym wszystkim bardzo wzruszony i zarazem zakłopotany, bo ambicją moją było raczej pozostanie w cieniu jak pan Chlewaski, co słusznie zauważył Jeleński. Bardzo się ucieszyłem że pisząc o mnie wspomniał Pan Frydego, którego dziś pewnie mało kto wspomina, a który najbardziej na to zasłużył".

Był w tym cały Stempowski: nawet w uśmiechu wzruszenia delikatny błysk ironii. Co Panowie napiszą o mnie po śmierci? Można by napisać jeszcze nie jedno, choć odczytując po latach czwórgłos w *Kulturze* widzę że powiedziano w nim rzeczywiście dość dużo, jeśli się zważy że tak mało z tego co Stempowski dał z siebie innym przeniknęło do druku. Był z natury konwersatorem (raczej monologistą) i epistolografem. Jego „życzliwy cień" towarzyszył licznym sprawom i ludziom, ale „wyjścia z milczenia" odbywały się rzadko. Wychodził zaś z milczenia najchętniej w rozmowach i w listach, uważając epistolografię za lepiej (przynajmniej we własnym wypadku) do celu trafiającą formę „czernienia papieru".

Istnieją setki a może i tysiące listów Stempowskiego do przyjaciół i znajomych, jest wśród nich wiele takich które zasługują na nazwę esejów dla przyjaciół i znajomych: bez żadnych skreśleń i retuszów mogłyby powędrować do drukarni jako uzupełnienie *Nowych marzeń samotnego wędrowca* i *Notatnika nieśpiesznego przechodnia.* Kiedyś — miejmy nadzieję — zostanie to wszystko

po przesianiu ułożone w grube tomisko. Tymczasem, nad świeżym grobem Pana Jerzego, chciałbym przytoczyć Jego pożegnalny list do mnie z 17 stycznia 1969 roku. Że był pożegnalny, wiem dopiero teraz.

Od dłuższego już czasu trudności panowania nad klawiaturą maszyny, związane z chorobą, sprawiły że dawał o sobie znać coraz rzadziej kartkami pokrytymi drukowanym ręcznie i ledwie czytelnym pismem. Wiedziałem jednak, że dostanę ten list styczniowy. Żeby wyjaśnić skąd taka pewność, trzeba zrobić małą dygresję.

Stempowski był fanatycznym wielbicielem i najpilniejszym chyba na świecie czytelnikiem wielkiego dziennika mediolańskiego *Corriere della Sera.* Uważał go za absolutnie niezawodne źródło informacji, lepsze nawet od *Le Monde* (co zresztą łączyło się jakoś z rosnącą wciąż niechęcią do Francuzów i starą, niekiedy wręcz zaślepioną miłością do Włochów), o jego współpracownikach i korespondentach mówił jak o dobrych znajomych, często przecinał z odcieniem irytacji skomplikowane kontrowersje krótkim i bezapelacyjnym: „W *Corriere* piszą". Pani Dieneke Tzaut, w której berneńskim domu spędził większą część życia na obczyźnie otoczony wzruszającą przyjaźnią obojga gospodarzy, opowiadała mi że zaczynał dzień w Bernie od kupna w południe świeżego *Corriere* i pogrążenia się w jego lekturze na minimum dwie godziny. 15 stycznia ukazał się w dzienniku mediolańskim mój pierwszy artykuł, zatytułowany *Il Momento Morale* i poświęcony opozycyjnej postawie inteligencji rosyjskiej od Siniawskiego po Sołżenicyna. W moim osobistym odczuciu był to również list do Pana Jerzego, na który nie mogła nie przyjść odpowiedź. I przyszła. Nie tak długa co prawda jak Jego dawne listy, ale jednak wystukana z wyraźnym wysiłkiem na maszynie. Kwitowała na wstępie z radością moją próbę „wytłumaczenia czytelnikom zachodnim" o co w istocie rzeczy chodzi, po czym (jak było zawsze w zwyczaju rasowego epistolografa) wymotywała z doświadczeń i lektur własny wątek myśli:

„Heroiczna postawa opozycyjnej inteligencji rosyjskiej, z gotowością do męczeństwa i być może z głęboką potrzebą męczeństwa, jest już od dawna jej rysem charakterystycznym. Pamiętam ją z carskich czasów. Opis jej znaleźć można w powieści Sawinkowa *To czewo nie było,* napisanej gdzieś między 1905 i pierwszym rozczarowaniem autora do terroryzmu a 1914. Jest dziś niesłusznie zapomnianym dokumentem. Odwagę w obliczu męczeństwa mogliśmy zresztą widzieć też u Mihajla Mihajlova, wnuka rosyjskich emigrantów. Mihajlov jak i Siniawskij i inni musieli zdawać sobie sprawę, że wystąpienia ich nie mogą mieć żadnych doraźnych skutków politycznych, chodziło więc im o danie świadectwa

prawdzie, o to co Pan słusznie określa jako zagadnienie moralne.

„W Rosji męczennicy są zapewne bardziej samotni niż gdzie indziej. Młodość kończy się tam koło 25-go roku życia, po którym pyknicy, stanowiący dziś na powierzchni życia przeważającą większość, zaczynają lekko łysieć i tyć, nastawieni wyłącznie prawie na *ziemnyje błaga.* Kiedy na festiwalu młodzieży w Wiedniu zobaczyłem 300 Rosjan w wieku 25-30 lat, którzy aby się tam znaleźć musieli zdać egzamin ze sprytu, ich pykniczny typ i praktyczne zachowanie się były dla mnie największą rewelacją. Wyglądali jak moi koledzy z odeskiego gimnazjum, których widziałem w kilka lat później. Sposób w jaki patrzyli na kaukaską parę tańczącą w upale i na entuzjazm komunistów zachodnich — *wot duraki* — wskazywał, że od tej strony rewolucja nic nie zmieniła, zmiotła tylko z powierzchni życia asteników, mniej praktycznych i skłonnych do marzycielstwa. Nie wydaje mi się aby widok Golgoty i jakiekolwiek zagadnienia moralne mogły poruszyć martwą masę tych kandydatów na profitariuszy. Samotność bohaterów musi tam być zupełna.

„Zachowanie się inteligencji rosyjskiej przypomina prześladowanych chrześcijan pierwszych wieków i prześladowanych przez nich później heretyków. Zjawiska te są niezrozumiałe dla „intelektualistów" zachodnich, wychodzących ze szkoły Epikura i Shaftesbury'ego. *Essays* Bacona zaczynają się od słów: *What is truth? said jesting Pilate and did not stand for the answer.* Tzw. zaangażowanie, głoszone przez Sartre'a i Grahama Greene'a, było tylko fanatyzmem komunizantów i nie zmieniło postawy inteligencji zachodniej.

„Nawet taki zapalony wielbiciel Lenina jak Georges Sorel nie mógł zrozumieć postawy chrześcijan gotowych do męczeństwa. W swej książce o upadku rzymskiego imperium Sorel wypowiada mniemanie, że liczba męczenników chrześcijańskich była ograniczona do kilku naiwnych fanatyków i została później pomnożona wielokrotnie dla celów propagandowych. Przypuszczenie to, nie oparte na żadnych dowodach, jest tylko odmową zrozumienia zjawisk, wychodzących poza taktyczne rozważania teoretyków przemocy. Pańska próba przedstawienia aspektów moralnych protestów pisarzy sowieckich jest dla czytelników zachodnich czymś nowym, odbiegającym od tradycji Zachodu".

List był pożegnalny, ale widziałem jeszcze Stempowskiego w kilka miesięcy później w domu *Kultury* w Maisons-Laffitte. Mówił głosem prawie niedosłyszalnym, cieniutkim jak niteczka która za chwilę pęknie. Któregoś dnia po kolacji wyciągnął mnie na „kawkę" do „Biszety", żeby „przedyskutować dwie ważne sprawy". Jedna z nich streszczała się w pytaniu, czy wobec idylli włosko-jugosłowiańskiej nie dałoby się w jakiś sposób przyjść

via Rzym z pomocą Mihajlovowi. Wizyta u Mihajlova w Zadarze, opisana tak żywo w roku 1966 w *Kulturze,* była ostatnią dużą wyprawą Samotnego Wędrowca. Życzliwy Cień krążył wciąż wokół młodego, uwięzionego wkrótce potem autora *Lata moskiewskiego,* który „gdyby nie różnica wieku mógłby być moim kolegą z rosyjskiego gimnazjum".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

"Pan Jerzy"

Śmierć jest narzucaniem dystansu nieodwołalnego, niemożliwego do przełamania, ostatecznego — można by to uważać za jedną z jej definicji. Śmierć Jerzego Stempowskiego w berneńskim osamotnieniu narzuca dystans jakby ze zdwojoną siłą. Jest to śmierć kogoś, kto za życia umiał się wznosić ponad życie, umiał na nie patrzeć jak człowiek z innej epoki lub człowiek z innej planety lub jak Swiftowski Grumdrypp, człowiek nieśmiertelny, kto z tego dystansu czerpał wiedzę cierpką i spokojną, trzeźwą i olśniewającą, która zdumiewała czytelników, a może jeszcze więcej rozmówców, milczących słuchaczy jego monologowania.

Odczucie dystansu w stosunku do Stempowskiego pociąga za sobą zasadnicze wahanie jak o nim pisać, co uznać w nim za istotne i ważne. Można by o nim napisać dwa eseje, dwie książki. Jedna z nich byłaby monografią czystej inteligencji, monografią ascety myśli, poszukującego *une netteté désespérée*, jak Monsieur Teste Valéry'ego. Druga z tych możliwych książek przeciwnie powinnaby jak najciaśniej uwikłać abstrakcję w konkret, powinnaby wpisać Stempowskiego w otocze społeczne, polityczne, gospodarcze, kulturalne, ujawnić sprawy osobiste konsekwentnie utajane za życia.

Stempowski sam oczywiście optowałby za pierwszą ideą, najpewniej zżymałby się na drugą. Gdybym miał wybierać między nimi, wahałbym się aż do niemożności decyzji z lęku, że każda z nich byłaby błędna i niepełna. Nie stoję w tej chwili przed takim wyborem. To co chcę napisać, należy do nieważkiego gatunku wspomnień osobistych z czterdziestu bez mała lat znajomości, zażyłości, czegoś bliskiego przyjaźni. Ale te wspomnienia będą nieuchronnie oscylowały między dwoma biegunami, między którymi rozpięła się w moim odczuciu osobowość Stempowskiego, między tymi dwiema książkami, które można o nim napisać.

Poznałem go w Warszawie w początkach trzeciego dziesiątka lat naszego burzliwego stulecia. Był wtedy urzędnikiem Banku Rolnego i — jak ja — profesorem Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Już ta kombinacja zatrudnień mogła się wydawać dziwaczna, była jedyna w swoim rodzaju. Ale i wtedy i teraz gdy do tego wracam, uderzało i uderza mnie coś innego: wstydliwość, dyskrecja na swój osobisty temat, powściągliwość emocjonalna. Napomknienia o sobie należą do największych rzadkości także w pisanym dorobku Stempowskiego. Jeśli powie, że w ósmym roku życia był „chłopcem nerwowym i krnąbrnym", cała reszta szkicu będzie poświęcona „dzieciom Warszawy w początkach XX wieku", ściślej, dzieciom w szkole rosyjskiej. Gdzieś indziej wspomni, że w młodości był „pojętnym brydżystą", jeszcze gdzieś indziej nazwie siebie „wiernym synem pozytywizmu", co zresztą nie wydaje się zupełnie ścisłe.

Zachowałem w pamięci tylko dwa obszerniejsze wypowiedzenia, które można uznać za osobiste lub pośrednio osobiste. Pierwsze znajduje się w zaczytanym do szczętu czy tylko zapomnianym wydawnictwie „Kraj lat dziecinnych", w jednej z najwcześniejszych książek, jakie ukazały się poza Polską (1942), drugie w innej pracy zbiorowej „Conrad żywy". Pierwsze jest mi niedostępne na antypodach, na których spisuję te uwagi, ale pamiętam, że wezwany do opowiedzenia o swoim kraju lat dziecinnych Stempowski dał zarys historii żywiołu polskiego na stepach ukrainnych. Drugi szkic nosi tytuł „Bagaż z Kalinówki" i dotyczy Conrada, lecz jest kryptowyznaniem osobistym, niestety zwięzłym do ostateczności, liczącym wszystkiego pięć kusych stroniczek. Można na nich obserwować odruch wyznawczy i jakby spłoszenie się, uchylenie w postawę *noli me tangere.*

Rzeczony esej zaczyna się tak: „Pochodzę z tych samych okolic co Conrad i słyszałem o nim od najwcześniejszej młodości, zanim autor „Korsarza" stał się u nas sławnym pisarzem". I dalej: „... część dzieciństwa spędziłem o kilka kilometrów od Chreptiowa i tamtejszy *genius loci* ukazał mi się po raz pierwszy w postaci rosnących koło naszego domu tysiącletnich drzew dereniu, otaczających grób z XI wieku, pod którym znajdował się inny, stary grób pogański". Było to bodaj w Szebutyńcach, miejscu urodzin, ale nie jestem tego pewny. Stempowski rodził się ze Stempowskiej, jak to bywało w ekskluzywnych rodzinach arystokratycznych. Pochodził z karmazynów, ale był zaprzeczeniem udręczającego, ośmieszającego nas snobizmu rodowego. Nigdy nie robił najmniejszych aluzji do swego pochodzenia.

To jest koniec końców tylko sprawa dobrego smaku. Kryło się w tym jednak coś bardziej poważnego i znaczącego — niespodziany aspekt conradowski. Jak Conrad, Stempowski zerwał ze

wszystkim co było poza nim, ale nosił to w sobie, zachował to w postaci wysublimowanej. Na takie rozpoznanie naprowadza wspomniany esej. Stempowski wiąże z Kalinówką, z której Conrad naprawdę czy rzekomo wyruszył na morza, jego zdolność wczuwania się w wewnętrzny świat ludzi przynależnych do rozmaitych ras, religii, kultur, zdolność tolerowania ich, rozumienia i smakowania. A oto pośrednie, po stempowsku zawoalowane, lecz niewątpliwe osobiste wyznanie: „Zachowane w pamięci niektórych Polaków fragmenty dawnego wzoru wolności dzielą ich od obcych i swoich skuteczniej i sekretniej, niż język i obediencja polityczna. Poszarpane na strzępy przez próby czasu i katastrofy historyczne resztki tego wzoru nie mieszczą się w pojęciach naszych współczesnych, trudno je opisać w terminach powszechnie zrozumiałych. Samo zachowanie ich w pamięci wymaga osnucia ich pajęczyną sofistyki uczuć, otoczenia odrębną skalą wartości złożoną z tysiąca omówień, porównań, zestawień, zbliżeń, peryfraz. Obecność w pamięci takiego wątku, zmuszającego do nieustannej pracy wyobraźni, jest zapewne ciężarem, przeszkodą w wykonywaniu większości zawodów oraz źródłem niezrozumiałych dla innych wrażliwości i obojętności".

Mawialiśmy o Stempowskim: liberał, kosmopolita, Paneuropejczyk; byli tacy, którzy określali go po prostu jako „masona". W istocie był to może ostatni Polak jagielloński, czujący i myślący kategoriami Rzeczypospolitej wielu narodów, jak kiedyś czuł i myślał Polak-„Litwin" Mickiewicz i Polak-„Ukrainiec" T. T. Jeż. Jest to uchwytne w „otwartości" Stempowskiego na ludzi, w jego potrzebie i umiejętności dialogu, jest utrwalone w wielu śladach dojść, spotkań, porozumień. Potwierdza to doskonale bezstronny artykuł o mniejszości ukraińskiej w jeszcze jednym niesłusznie zapomnianym, wielkim, trzytomowym wydawnictwie encyklopedycznym pt. „Pologne 1919-1939".

Całą tę sprawę osnuwa nigdy niewyznana, lecz uświadomiona w źródłach melancholia. Nasza inwestycja wschodnia, niesłychanie kosztowna i tragicznie źle przez nas samych zagospodarowana, stała się stratą niepowrotną. Tym większa racja, żebyśmy byli świadomi jej kulturalnych dywidend, nielicznych, ale cennych, takich jak Conrad i Stempowski — conradysta intelektualny.

Wspomniałem, że kolegowaliśmy z panem Jerzym w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej czyli jak się wtedy skrótem mówiło: w „Piście". Wszedł on do niego w rok po mnie, ale wykładał tylko na Wydziale Reżyserskim. Czynność wykładania, a także jego przedmiot były bardzo szczególne. W monumentalnie rozbudowanym programie Wydziału jego twórca i kierownik, Leon Schiller, przewidział okienko z przyciężko określonym przedmiotem: „Tło filozoficzne głównych epok teatru" i do nauczania tego przedmiotu zaprosił Stempowskiego. Właściwie trudno racjonalnie wytłumaczyć ten wybór. Stempowski był wtedy autorem bibliofilskiego druczku „Pielgrzym" wydanego pod pseudonimem B. Serafin aż w 30 egzemplarzach jako pierwszy numer „Biblioteki Pstrokońskiej" (wszystko to razem jest dla mnie nieczytelną krzyżówką), autorem kilku dających się policzyć na palcach jednej ręki choć kapitalnych esejów i oryginalnej, niewielkiej książki o „Panu Jowialskim". Najprawdopodobniej wybór podsunęła Schillerowi intuicja artystyczna, którą posiadał w stopniu sięgającym genialności. Mogło coś ważyć i to, że planował inscenizację najbardziej tajemniczej, kontrowersyjnej komedii Fredry i w prologu (zdaje się też w epilogu czy parabazie) zamierzał postawić sobie do oczu trzech jej ówczesnych krytyków: Eugeniusza Kucharskiego, Boya-Żeleńskiego i Stempowskiego. Do ostatniego z nich mogło Schillera pociągać domniemane ostrze antysanacyjne książki jakoby błyskające już w tytule: „Pan Jowialski i jego spadkobiercy. Rzecz o perspektywach śmiechu szlacheckiego". Ponowna, świeża lektura nie odsłoniła mi tego ostrza; jeśli było, zdołało zwietrzeć.

Do dzisiaj widzę Stempowskiego na nieistniejącym piętrze nieistniejącego budynku przy ul. Trębackiej. Po prawej stronie klatki schodowej Wydział Reżyserski miał trzy niepokalanie białe i gołe pokoje: dwa większe (jeden z pianinem i podium) oraz klitkę tuż przy drzwiach, w której wywnętrzali się przeważnie teoretycy — wszystko połączone dosyć wąskim korytarzem. Tam wymijałem się ze Stempowskim i ściśle go oplatającym wiankiem młodych ludzi. Wysoki, siwiejący stał z głową łagodnie pochyloną ku dołowi i długo po swojej lekcji, przez całą przerwę, dywagował cichym, ciurkającym głosem bez śladu modulacji. Jego przedmiot był sformułowany niezgrabnie, lecz elastycznie. Stempowski mógł mówić nie tylko o podłożu filozoficznym, ale i ogólnokulturalnym, społecznym, politycznym i ekonomicznym. Mówił o wszystkim co pomyślała jego głowa.

A była to głowa uposażona w jedyny, może niepowtarzalny sposób. Wiedzieliśmy, że studiował w Polsce, Niemczech i Szwajcarii historię, filologię klasyczną i medycynę, słuchał Vilfreda Pareto i Guglielma Ferrero, zagłębiał się w filozofię Spinozy. Dziś wiadomo, że w r. 1914 przedłożył na uniwersytecie zurykim tezę „Antike und christliche Geschichtsphilosophie im I-V Jahrhundert", ale przewód doktorski nie został z jakichś powodów zamknięty. Podobnie zahaczyły się przed metą pełne studia medyczne. Potem czy pomiędzy wypadło dłuższe unieruchomienie przez chorobę; jest ona gdzieś określona w sposób charakterystyczny dla Stempowskiego jako „okres szczególnie ubogi w rozrywki". Z jego formacji umysłowej, z procesu urobienia zdałem sobie

w pełni sprawę już w okresie powarszawskim. Stało się to na podstawie tego co Stempowski pisał i na podstawie drobnego lecz pamiętnego doświadczenia.

Gdzieś po r. 1950 spędziliśmy kilka tygodni w Monachium, w jednym z jego miast uniwersyteckich, jako członkowie jury literackiego. Mieszkaliśmy w jednym pensjonacie, bardzo *gemütlich,* na najwyższym (czwartym? piątym?) piętrze nowo i brzydko odbudowanej, biało tynkowanej kamienicy. Był to czas, w którym najwięcej z nim przebywałem i najwięcej go słuchałem na rozmaite tematy, również medyczne. M.in. Stempowski szczegółowo, klinicznie opisywał chorobę raka u osoby nienazwanej nawet z imienia — chodziło o kobietę jego życia, którą znałem w Warszawie; to zdaje się jej „cieniom" jest dedykowany „Esej o Kassandrze".

Kiedyś pół żartem, pół serio poprosiłem go, aby mnie — zbadał. Niedzielnego ranka, gdy nie musieliśmy się nigdzie śpieszyć, niczego czytać i oceniać pan Jerzy przyszedł do mego pokoju w pidżamie z płaszczem narzuconym na ramiona (nie miał szlafroka). Leżałem jeszcze w łóżku, pod odkopaną bawarską pierzynką z puchu, przypalającą chwilami żywym, piekielnym ogniem i tak się poddałem formalnemu, najbardziej detalicznemu badaniu. Przedtem i potem dotykały mnie niezliczone razy rozmaite ręce, wsłuchiwały się w moje tętno rozmaite uszy, ale nie pamiętam takiej delikatności dotknięcia, takiej przenikliwości wejrzenia, tak fascynującego komentarza do tego co widział, słyszał, stwierdzał w ciemnościach mego ciała ten lekarz bez dyplomu lekarskiego. Gdyby chciał być *a quack doctor,* mógłby był zrobić fortunę.

Nazywano Stempowskiego humanistą doskonałym, neohumanistą. Rzeczywiście czytał po grecku i po łacinie z równą swobodą, jak czytał w kilku językach nowożytnych. Klasycy, Tukidides czy Owidiusz, bywali dla niego autorami czytanymi do poduszki lub w pociągu. Wszystkie jego rozważania o literaturze, o kulturze mają swoje korzenie w przeszłości grecko-rzymskiej. Ale w rzeczy samej jego formacja intelektualna była podwójna: humanistyczna i przyrodnicza (wspomina gdzieś pracę w laboratorium). Niejako *avant la lettre* Stempowski znosił przeciwieństwo „dwu kultur", przeczył głośnej tezie C. P. Snowa o rozziewie między wiedzą o człowieku i wiedzą o przyrodzie. Był humanistą myślącym kategoriami nauk ścisłych, był *a scientist* o często oszołamiającej kulturze humanistycznej.

Ale i to nie jest wszystko. „Poważniejsze wykształcenie humanistyczne — stwierdził przy jakiejś sposobności — ma w sobie zawsze coś z kurzu bibliotek i coś z szlafroka". Intelektualizm Stempowskiego nie był szlafrokowy i nie pachniał kurzem. Łączył go z metodycznym studium życia, konfrontował z rzeczywistością i pogłębiał w tej konfrontacji; trafnie nazwał to kiedyś

„eksperymentalnym wykształceniem społecznym". Znał mnóstwo ludzi, lubił rozmawiać, umiał sensownie podróżować — jakby z reflektorem, lunetą i mikroskopem. Miał zdolność kojarzenia elementów obserwacji i spekulacji, teorii i doświadczalnego konkretu, wiedzy książkowej i wiedzy życia. Świadczą o tym jego dzienniki wydane osobno („Dziennik podróży do Austrii i Niemiec", 1946), drukowane tylko w *Kulturze* („Nowy dziennik podróży do Niemiec, 1949) i jeszcze nieogłoszone.

Stempowski umiał czytać, rozumieć, pamiętać książki, ale umiał też czytać ziemię, krajobraz, pejzaż kulturalny jak książkę. Z tej rzadkiej sprawności powstały eseje francuskie „Terre bernoise" (Genewa 1954), uwieńczone nagrodą literacką kantonu berneńskiego, lecz nie dosyć znane Polakom. Nawiasem mówiąc jest to książka pod wielu względami znamienna. Wstydliwy akt wdzięczności dla ziemi, która udzieliła Stempowskiemu schronienia. I — metafora tęsknoty za własną ziemią, daleką ukrainną i bliższą mazowiecką. Stempowski bronił się przed takim ujęciem: projektowany przeze mnie wywiad korespondencyjny nie doszedł do skutku; gdy doszło do rozmowy przed mikrofonem uchylał się od potwierdzenia moich domniemań. Zapewne uważał je za zbyt sentymentalne.

Właściwe Stempowskiemu krzyżowanie się, wzajemne oświetlanie rzeczywistości humanistycznej i pozahumanistycznej jest zaznaczone od razu w tytule głośnego studium z 1933 r. „Chimera jako zwierzę pociągowe. Próba interpretacji ekonomicznej futuryzmu i surrealizmu". Ten tytuł brzmi po marksistowsku, ale gdyby marksiści rozumowali z taką subtelnością i ostrożnością jak Stempowski, na pewno byłoby z nimi mniej kłopotu. W jego dorobku jest sporo esejów potwierdzających zmysł drobiazgowej obserwacji, umiejętność ankiety terenowej, zdolność do zasadnych uogólnień. Najbardziej typowe pod tym względem są „Obrazy z czasów kryzysu rolnego".

Cechowała Stempowskiego nieustanna czujność, nieograniczona chłonność, pasja, którą łacinnicy nazywają *novarum rerum studio.* Nigdy się nie spóźniał, ale też nie ulegał łatwo złudzeniom nowości. Kiedyś stanęliśmy do dyskusji o „końcu powieści". Potraktowałem poważnie ten temat nawracający jak legendarny potwór z Loch Ness, ale Stempowski otrzeźwił mnie przytoczeniem z głowy tytułów książek, które kilkanaście i kilkadziesiąt lat wcześniej wieściły zagładę gatunku powieściowego. Pisał o „antypowieści" bez świętego oburzenia i cielęcego zachwytu. Umiał przenikliwie spojrzeć na „Cmentarze" Hłaski.

Wrażliwość estetyczna Stempowskiego mogła się wydawać nieograniczona. Zajmował się przede wszystkim literaturą, ale żadna dziedzina sztuki nie była przed nim zamknięta. Pamiętam,

że w owym monachijskim pokoju pensjonatowym, w którym odbyła się opisana konsultacja lekarska, wisiały nad łóżkiem bardzo dobre reprodukcje obrazów Raoula Dufy; od jednego rzutu oka Stempowski miał do powiedzenia celne rzeczy o ich geometryzmie i linearyzmie. Drugiemu, krótszemu spotkaniu w Monachium zawdzięczam wykład o muzyce szwajcarskiej, który zachowałem w pamięci do dzisiaj. Powstał on przypadkiem, na marginesie nagrody muzycznej ufundowanej przez Polskie Oddziały Wartownicze (do jury tej nagrody obok Stempowskiego wchodzili Małcużyński, Ludwik Bronarski, Regamey i ja; zebranie odbyło się w domu Małcużyńskich „Le Pertit de Sonzier" w Chernex nad Montreux). W rozmaitych czasach Stempowski pisał o Strawińskim, o operze chińskiej, o balecie z Leningradu. W bibliografii jego esejów można znaleźć tytuł „Fantazje bywalca koncertowego".

Gdy tak z gruba zakreślam obręb zainteresowań Stempowskiego przychodzi mi na myśl, że był to jeden z ostatnich, może ostatni Polak — ze świadomością śródziemnomorską. W ciągu kilkunastu lat nie udało mi się go zwabić do Anglii. Nie był nigdy w Ameryce, choć znał dobrze literaturę amerykańską (Faulknera lepiej niż Hemingwaya) i dobrze orientował się w amerykańskim krajobrazie duchowym. Nie odbrzmiał na moje późne zapały afrykanologiczne. Był do końca przeświadczony, że źródło kultury zachodniej bije wokół brzegów Morza Śródziemnego i jej słońce odbija się w błękitnych falach tego morza. Nie znosił pragmatyzmu, żył bez pośpiechu, swoistym rytmem wewnętrznym. Nawet śmierć dostroiła się do tego rytmu, była powolnym gaśnięciem, powolnym zacichaniem, zeszła na niego we śnie. Stempowski-Śródziemnomorczyk może się wydać anachronizmem, ale jeśli jest to anachronizm, ma on taką samą cenę jak paradoksalnie kojarzący się z nim kompleks jagielloński rodem ze stepów Ukrainy. Ma walor wzorca.

W warszawskich latach naszej znajomości Stempowski wydawał się wielu obserwatorom człowiekiem o wielkiej dysproporcji między możliwościami i spełnieniami, zdolnym ale niewydarzonym, zdeklasowanym wielkim panem bałamucącym się intelektualnie, *il dilletante*. Sam wymyśliłem formułę: skrzyżowanie bałaguły z Montaignem i gdzieś ją chyba ogłosiłem. Ta formuła był to produkt mody; celował w takich błyskotliwych wynalazkach Stefan Napierski. Zawierała może nawet ziarno jakiejś racji, intuicję „ukraińskości" Stempowskiego, lecz wymagała komentarza historyczno-obyczajowego (bałaguła to jakby *hippie* pierwszej połowy XIX wieku, człowiek o szerokim geście, lekceważący konwencjonalne zwyczaje, „członek koniarsko-hulackiego stowarzyszenia", jak to określał Kraszewski). Ale jeszcze w czasach, w których

powstało wspomniane określenie, przekonałem się, że pod intelektualną rozpustą Stempowskiego kryją się głębsze pokłady.

Jakieś dwa lata przed wojną, już w epoce Ozonu, w Instytucie Sztuki Teatralnej, cieszącym się zasłużoną sławą liberalizmu i przesadzoną renomą „czerwoności", wybuchła awantura na tle rasowym. Wbrew statutowi szkoły, ówczesny dyrektor Stanisław Adamczewski, niezły polonista, lecz nie na swoim miejscu i na dobitkę człowiek słabego charakteru zwolnił dwóch naszych kolegów: Aleksandra Hertza, znakomitego socjologa i Mieczysława Wallisa, twórczego estetyka i historyka sztuki. Odbyło się burzliwe posiedzenie Rady Pedagogicznej, Schiller wyszedł trzasnąwszy drzwiami, w ślad za nim reszta „ciała profesorskiego" wypowiedziała posłuszeństwo. Wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że pod urzekającym igraniem Stempowskiego tai się grunt twardych przekonań. Nie tylko przyłączył się do buntu, ale odgrywał w nim ważną rolę jako główny redaktor protestów i memoriałów. Z reguły opierały się one na drabinie stwierdzeń, zaczynających się od słów: „zważywszy że" — *considérant que...*

Tę twarz pełną spokojnej, niesolennej stanowczości zachował Stempowski do końca, przez lat trzydzieści. Pozostawił w Warszawie wspaniały, wielojęzyczny księgozbiór, drugi z kolei jaki zebrał, i białą, cudownie długowłosą kotkę angorę. W r. 1940 oparł się samotnie w Szwajcarii i pozostał w niej do śmierci. Żył w ewangelicznym ubóstwie, o którym mało kto wiedział poza najbliższymi przyjaciółmi i opiekunami. Odsłoniło mi się ono drastycznym, wstydliwym błyskiem, gdy w monachijskim pensjonacie niechcący zobaczyłem, że nałożył spodnie na malinową pidżamę, bo nie miał zmiany bielizny.

Z pozoru nie zmienił swego bałagulskiego i sceptycznego sposobu bycia, zawsze nie lubił dogmatyków, ale był człowiekiem na swój sposób zaangażowanym. Nie znał kompromisów na jednym punkcie — wolności, niezależności, niepodległości duszy i ciała. Konsekwentnie przeciwstawiał się literaturze kierowanej w kraju, ale także niewinnym, bo pozbawionym instrumentów nacisku, próbom reglamentacji literatury poza krajem. Był szczególnie uwrażliwiony, uczulony na tę sprawę. W obronie swojej swobody wobec władz szwajcarskich przybrał pseudonim: Paweł Hostowiec (można tylko zgadywać, że powstał on przez połączenie ukraińskiego słowa *hostec* z polskim przyrostkiem jakby patronimicznym).

Na emigracji Stempowski-Hostowiec stał się pisarzem „zawodowym". Brał na siebie nawet trudy tłumacza; jego przekład „Doktora Żiwago" jest chyba najlepszym z istniejących, w każdym razie góruje o całe nieba nad drewnianym przekładem angielskim, nad suchym, pozbawionym ciepła przekładem francuskim.

To co napisał w ciągu tego czasu zebrane razem, złożyłoby się na kilka, pięć, sześć, może więcej tomów tej objętości jaką mają „Eseje dla Kassandry" (1961). Wobec stałej, trochę przymusowej profesji Stempowski zachował swój zwykły dystans. Nazywał ją „czernieniem papieru", tropił jej dwuznaczności i niebezpieczeństwa, dowodził, że „pisanie za wszystkich czasów było zajęciem *minorum gentium*". Ale spełnił się w nim całkowicie.

Niepostrzeżenie dla innych i dla siebie stał się sumieniem literatury emigracyjnej albo mówiąc prościej, ale ciągle jeszcze zbyt patetycznie, jej autorytetem moralnym — nienaznaczonym przez nikogo, niepomazanym, nie narzucającym się, a słuchanym. Nie miał ambicji przywódczych, nie zasiadał na sybillińskim trójnogu, nie propagował i nie nawracał. Nie był dawcą łatwych pocieszeń, szafarzem pochlebnych złudzeń. Jego naturalnym powołaniem było rozeznawanie się w chaosie, porządkowanie zjawisk, zażeganie światła w mroku. Utrafił tym w potrzebę czasu i formacji historycznej, do której należał przez ostatni okres życia. Jego rolę wśród niej można by określić słowem: antywieszcz. Ta postawa promieniowała daleko poza emigrację. Na wieść o śmierci Stempowskiego otrzymałem przejmujące słowa z kraju — napisał je człowiek młodszy ode mnie, który go bodaj nigdy nie widział na oczy, nigdy nie słyszał.

Emigracyjna „kariera" Stempowskiego wydaje się tym bardziej zadziwiająca, że był on człowiekiem monologu. Przed wojną samookreślił się w *Marchołcie* jako „samotny wędrowiec", przez lata zjawiał się w *Kulturze* jako „nieśpieszny przechodzień". Jego *soliloquia* znajdowały ujście w zetknięciach osobistych, których od opuszczenia Warszawy nie miał chyba zbyt wiele. Urodzony filozof perypatetyczny stał się eremitą. To może tłumaczy znaczenie korespondencji w jego życiu i pisarstwie.

Jest to jedna z osobliwości naszej emigracji, że wydała co najmniej trzech żywiołowych epistolografów: Wierzyńskiego, Bobkowskiego i Hostowca. Każdy z nich był inny. Wierzyński szukał przez listy łączności, ludzkiego ciepła, nasycał nimi swój głód wspólnoty. Bobkowski eksplodował w swoich listach jeszcze gwałtowniej niż w swojej krótkotrwałej twórczości; czytając je musiało się myśleć, że gdyby ich nie pisał, ciśnienie wewnętrzne rozerwałoby go w kawałki. Listy Stempowskiego można by określić jako gawędy epistolarne, gdyby słowo „gawęda" nie było zbyt sarmackie, zbyt zawiesiste. Jego listy zwłaszcza z wczesnego okresu, zanim związał się bliżej z *Kulturą,* są szkicami do esejów, często gotowymi esejami. Cechuje je bezinteresowność, wielkopańska rozrzutność intelektualna, rozdawanie siebie *pour mon bon plaisir*. Należy je zebrać i wydać, a raczej wydawać nie ambicjonując na punkcie kompletności. Zapewne będą one wypływać

na powierzchnię w ciągu długiego czasu i zjawiać się w niespodzianych miejscach.

Jako listopis i rozmówca był Stempowski zjawiskiem niepowtarzalnym. Współżył w nim polihistor i mędrzec. Jego wiedza wydawała się otchłanią bez dna i morzem bez granic. Ale nie był erudytą dla erudycji. Jeśli już — to dla zabawy, gdy witał mnie cytatą z Szekspirowskiego „Tymona Ateńczyka": „Daj nam trochę złota, Tymonie", albo: „Zrób z tego złoto, jesteś alchemistą". Jego magię intelektualną tworzyło otwieranie widoków za każdym przygodnym szczegółem: zapałką z masy papierowej, epidemią influenzy, przydrożnym drzewem. Miał niebywałą zdolność skojarzeń, zdolność perspektywicznego, jakby roentgenowskiego widzenia rzeczywistości, otwierania jej skrytek, przenikania pod jej powierzchnię. Była to zdolność właściwie poetycka, ale Stempowski, podobnie jak Edith Sitwell, przypisywał działanie magiczne poezji, prozie pozostawiając funkcję poznawczą i porządkującą.

Jego proza zasługuje na osobne studium. Jest to proza konwersacyjna, mówiona lecz osiągająca precyzję sylogizmu, przejrzystość powietrza górskiego, krystaliczność szkła. Można do niej zastosować to co mi się nasunęło w związku ze Stanisławem Strońskim: jest to najbardziej francuska polszczyzna jaką u nas pisano. Francuski był drugim językiem Stempowskiego, pisał w nim z równą sprawnością jak po polsku. Czasem wolał pisać; mam gdzieś w papierach jego memoriał naszkicowany w tym języku. Ale odrębnością pisanej polszczyzny Stempowskiego tak, zdawałoby się, na wskroś intelektualnej, w każdym atomie prześwietlonej myślą — jest podskórny prąd uczuciowy, kryptoliryzm. Urok estetyczny tej prozy płynie przede wszystkim z tego co było jej ambicją i wolą: z jasności, ale nieraz również z tego co było w niej tłumione, ściszone, wstydliwie ukryte: ze wzruszenia i uśmiechu.

Finezje myśli i finezje stylu nie odgradzały Stempowskiego od żywych ludzi. Umiał i lubił rozmawiać ze wszystkimi. W którymś eseju znajduje się opis spotkania z synami przemytników nakreślony z taką delikatnością jakby chodziło o pensjonarki z klasztornego internatu. A oto inna cytata, która utkwiła mi w pamięci: „Cała moja sympatia jest po stronie chłopca, który wykoleił się zobaczywszy Kalibana rządzącego na wyspie Prospera. Bardzo chciałbym go spotkać. Jeśli go nie spotkam, moja starość będzie straszliwie samotna".

Można w tym związku mówić o utożsamianiu się mądrości z dobrocią, choć znowu słowo „dobroć" zdaje się tu brzmieć trochę czułostkowo. Uderzało to innych ludzi nawet nieszczególnie uwrażliwionych i utalentowanych w tym zakresie. Wacław

Lednicki, który znał Stempowskiego dłużej ode mnie, stwierdza przy jakiejś okazji: „rzewny jego uśmiech robił na mnie zawsze wrażenie nieśmiałego cienia wstydliwej dobroci". Osobiście zapamiętałem go tylko jeden raz poruszonego gniewem, co się ujawniło w lekkim rumieńcu na bladej twarzy i w głosie odrobinę podniesionym ponad zwykły poziom wolno płynącej wody. Sprowokowała go czyjaś wątpliwość czy kompozytor Michał Spisak, już dziś nie żyjący, może być kandydatem do nagrody mając obywatelstwo francuskie.

Sekretu mądrości przeistaczającej się w dobroć dotknąłem raz bezpośrednio. Po owym monachijskim pensjonacie, tyle razy tu przywołanym, snuła się już mocno niemłoda służąca imieniem Else. Była czarna, mrukawa, nieprzystępna, patrzyła spode łba. Ale gdy Stempowski wyjeżdżał (jeden lub dwa dni przede mną) okazało się ku memu zdumieniu i jego zażenowaniu, że rzucił na nią urok. Stała pośrodku obszarnego hallu nad ubogimi bagażami, łamała ręce i powtarzając: *Mein Gott, Herr Jeschschy, Herr Jeschschy...* — zanosiła się od płaczu jakby gość o trudnym imieniu odjeżdżał nie taksówką na dworzec, ale karawanem na cmentarz.

Wyręczam się dziś tobą, brzydka Else z końską szczęką, choć pewnie bym cię nie poznał, gdyby przypadkiem znowu przecięły się nasze drogi.

Tymon TERLECKI

Wielki polski emigrant

Z Jerzym Stempowskim, który blisko trzydzieści lat mieszkał jako uchodźca polski w Szwajcarii, a zmarł niedawno w Bernie w wieku lat siedemdziesięciu pięciu, odszedł jeden z najznakomitszych przedstawicieli liberalnej pisarskiej polskiej tradycji. Uznany za najwspanialszego eseistę współczesnej Polski, łączył w sobie Stempowski bogaty, głęboki umysł, wyostrzoną inteligencję i mistrzostwo słowa z dojrzałym humanizmem o rzadko spotykanej dobroci i szlachetnej, pełnej uduchowienia prostocie. Odznaczał się zaletą, którą dziś spotyka się coraz rzadziej a którą zwano niegdyś wytwornością serca. Wyrażała się ona między innymi w serdecznym, pełnym zrozumienia i aktywnym zainteresowaniu twórczością innych, których praca i osiągnięcia radowały go bardziej niż jego własne sukcesy. O tych ostatnich w ogóle nie wspominał. Różnił się w tem w zgoła nienowoczesny sposób od jakże częstego dzisiaj gatunku literatów, którzy zużywają wszystkie siły na podkreślanie swojej własnej wartości i w centrum

wydarzeń upatrują samych siebie. Stempowski nie czynił nic, aby sobie zdobyć uznanie. Stało się ono przecież bardzo rychło i w coraz silniejszym stopniu jego udziałem w świecie znawców i wykroczyło daleko poza granice Polski.

Poznałem Stempowskiego w Polsce, na początku lat trzydziestych, kiedy to spędziliśmy wiele czasu razem, częściowo w Warszawie, częściowo nad Czeremoszem, w południowej Huculszczyźnie. Stempowski kochał długie, całodzienne wędrówki po owych samotnych dolinach i sielankowych wzgórzach, a znał ten górski świat jak mało kto. Ten wykładowca literatury w Państwowym Instytucie Teatralnym, wieloletni działacz na polu społeczno-reformatorskim, czuł się jak najściślej związany z twardym, artystycznie i muzycznie wysoce utalentowanym ludem huculskim wschodnich Karpat. Wśród tej społeczności, podówczas jeszcze w dużej mierze niepiśmiennej ale o jakże żywej inteligencji, zyskał sobie wielki mir, dzięki swemu prostemu, naturalnemu sposobowi bycia i dzięki aktywnemu zrozumieniu zarówno trosk i trudów jak i poetyckiej natury huculskich górali.

Wybuch wojny oderwał go od ojczyzny. Po długich wędrówkach znalazł wreszcie w Szwajcarii schronienie i trwałą przystań. Jak wielu innych tak i jego, głęboko związanego z własnym krajem, los emigracyjny doświadczył ciężko — a wiadomo, że nasza ówczesna polityka wobec uchodźców niewiele się przyczyniła do ulżenia doli zwłaszcza takich wysoce utalentowanych i twórczych natur. Ale Stempowski nie skapitulował. Jak tylu polskich emigrantów przed nim, jak Kościuszko, jak Mickiewicz który w Paryżu stworzył swój sławny epos narodowy, „Pana Tadeusza", jak Słowacki, jak Stanisław Vincenz, przezwyciężył swój los, czerpiąc zeń podnietę do intensywnej pracy w służbie i w duchu polskiej kultury i jej tradycji wolnościowych. Znalazł przy tym zrozumienie i szlachetną przyjaźń zamieszkałej w Bernie szwajcarsko-holenderskiej pary małżeńskiej, a w rezultacie prawdziwy dom, sprzyjający jego własnej pracy. Dzięki temu z biegiem lat nasz kraj stał mu się drugą ojczyzną. Rychło zadomowił się w Bernie. Kochał jego piękne stare miasto i jego wiejską okolicę. Niebawem nawiązał także kontakt z młodymi pisarzami, którym okazywał wiele życzliwości i zrozumienia, dając im poparcie, nie szczędząc jednak krytyki, gdy zachodziła potrzeba. Skarby jego encyklopedycznej wiedzy, obejmującej nawet nabyte w Monachium poważne wiadomości z dziedziny medycyny, były niemal niewyczerpane, niezwykle wszechstronne, a zarazem zdumiewająco precyzyjne, gruntowne i solidne. W jego dobroci nie było nic miękkiego, nic mdłego; umiał ją zaprawić ostrą ironią i wyzywającym sceptycyzmem, a stawała się przez to jeszcze autentyczniejsza, jeszcze bardziej ujmująca. W sprawach religijnych był spadkobiercą wielkich myślicieli Oświecenia, dalekim wszelkiemu ciasnemu dogmatyzmowi i wszelkiej zorganizowanej religii.

Ostrym i czujnym spojrzeniem ogarniał Stempowski bieg wydarzeń politycznych, społecznych i kulturalnych. Celnie demaskował podejrzane i ciemne intencje, które umiał zawsze przejrzeć

z nieubłaganą jasnością. Z temperamentu i namiętności był *un homme de lettres engagé*, nie czyniąc z tego oczywiście, wzorem dzisiejszej mody literackiej, programowej doktryny. Było dla niego rzeczą oczywistą, że człowiek intelektu broni zawsze i wszędzie wolności myśli i niezależności tworzenia. A że dążenie do najwyższej doskonałości formy było dla niego równie oczywiste, patrzył nieufnie i niechętnie na różne modne niechlujstwa stylu i na wszelką agitacyjną retorykę.

Będąc jednym z najszlachetniejszych przedstawicieli kultury polskiej był Stempowski jednocześnie humanistą w skali europejskiej, znakomitym znawcą tradycji Zachodu, a zarazem człowiekiem frondy, nieprzyjacielem wszelkiej pustej konwencji i bizantyńskiego akademizmu. Jego zapas olśniewających anegdot ze świata literatury był niewyczerpany. Znawca europejskiej kultury i jej języków — jak zresztą i języków starożytnych — operujący z równym mistrzostwem polskim, rosyjskim i francuskim (warto przypomnieć jego polski przekład „Doktora Żiwago"), w równiej mierze zadomowiony w niemieckim, angielskim, hiszpańskim, był w całym tego słowa znaczeniu kosmopolitą. Ten na wskróś polski a zarazem zachodni umysł związał się bardzo rychło serdecznym uczuciem z krajem swego azylu, a przede wszystkim z Bernem, które było jego miejscem zamieszkania. Z rozmiłowaniem wędrował po starych, pięknych ulicach, po pełnej uroku okolicy, stale obserwując, odkrywając powiązania które dotychczas uchodziły uwagi samych Berneńczyków. W małej książeczce, zatytułowanej „La terre bernoise" (Librairie Droz, Genewa 1954, wydanie dawno wyczerpane) wystawił naszemu miastu, jego duchowym tradycjom, jego typowej architekturze i krajobrazowi, pomnik tak subtelny, tak oryginalny i wierny, jaki rzadko można znaleźć u najlepszych Berneńczyków. Należałoby sobie życzyć, aby ta książeczka, nagrodzona przez komisję literacką kantonu berneńskiego, ukazała się w drugim wydaniu i aby udostępniono ją Berneńczykom także i w niemieckim przekładzie. Byłby to piękny gest, gdyby nasze władze miejskie mogły ją ofiarowywać jako szczególny dar oficjalnym gościom zagranicznym, którym tak chętnie daje się książki o Bernie; byłoby to w duchu kosmopolityzmu, jaki niegdyś wyróżniał najlepszych spośród naszego patrycjatu. Mało mamy równie przejmujących, jasnych i uczonych świadectw szczególnego charakteru naszego miasta i jego rozwoju, widzianego przez pryzmat subtelnego cudzoziemskiego spojrzenia. Chciał Stempowski, jak mi to kiedyś mówił, dać swej książeczce podtytuł: *„ce qu'elle raconte à un vieux vagabond"*, potem odrzucił ten pomysł jako zbyt osobisty. Pozostaje jednak fakt, że *un vieux vagabond*, reprezentujący ogromne doświadczenie i wielką kulturę dał nam w tej książce miniaturowy portret Berna, jakiego w tym rodzaju nigdy przedtem nie było. Miało to i swoje praktyczne rezultaty (czego o literaturze w berneńskim klimacie na ogół powiedzieć nie można). Gdy bowiem federalna dyrekcja budowlana postanowiła ściąć oba platany przed Wattenwylhaus (miejscem zamieszkania radcy federalnego Schaffnera), bo rzekomo „przeszkadzały i nie były stylowe", udało się zapobiec temu aktowi zniszczenia w oparciu o książeczkę Stempowskiego, w której tłumaczy on sens i znaczenie platanów w patrycjuszowskiej tradycji starego Berna. W twórczości jaką emigranci obdarzyli nasz kraj, to małe dzieło polskiego uchodźcy stanowi jeden z najpiękniejszych kwiatów wyrosłych na tragicznej glebie emigracyjnego losu.

Do końca utrzymywał Jerzy Stempowski bliskie stosunki z innymi krajami, zwłaszcza z Francją. Był częstym gościem w Paryżu, jako jeden z najbardziej poważanych współpracowników polskich pism emigracyjnych, przede wszystkim *Kultury*, gdzie pisał pod pseudonimem „Hostowiec". Był blisko związany z malarzem i pisarzem Józefem Czapskim, który w swoim czasie zdemaskował tajemnicę grobów katyńskich jako „dzieło" rosyjskie. Z zamieszkałym w Lozannie pisarzem i myślicielem Stanisławem Vincenzem, którego książka „Na wysokiej połoninie" uchodzi za klasyk polskiej prozy, łączyła go od młodych lat wielka przyjaźń. W ostatnim dziesięcioleciu zainteresowania i część prac badawczych Stempowskiego zwróciły się w szczególności ku życiu i dziełu Owidiusza, którego rodzinną Sulmonę we Włoszech wielokrotnie odwiedzał. Niestety, śmierć nie pozwoliła mu dokończyć tej bardzo już posuniętej pracy.

W szeregu wybitnych ludzi, którzy znaleźli azyl w naszym kraju, zajmie Jerzy Stempowski należne mu miejsce jako jedna z postaci najszlachetniejszych, literacko najwspanialszych, a jednocześnie, przez swoją cichą, pełną prostoty skromność, najbardziej imponujących. W pamięci zaś jego szwajcarskich przyjaciół pozostanie niezapomniana, niegasnąca wizja tego wyjątkowego, duchowo podniecającego, mądrego i światu otwartego człowieka. Swoją twórczością złożył krajowi swego azylu podziękowanie w sposób, który to z nas uczynił obdarowanych i który nas wszechstronnie wzbogacił.

Hans ZBINDEN

Hans ZBINDEN, pisarz, dr filozofii, emerytowany profesor socjologii kultury uniwersytetu berneńskiego, b. przewodniczący Związku pisarzy szwajcarskich, autor wielu dzieł i prac z dziedziny historii kultury, krytyki literackiej, socjologii kultury, etc., ostatnio książki „Polen einst und jetzt".

Archiwum polityczne

Rozmowy z młodymi

„Jestem młodym inżynierem i zarabiam zł. 4.000. Skromny samochód kosztuje zł. 60.000. Obliczyłem, że z moich oszczędności będę sobie mógł kupić samochód w 70-tym roku życia".

Mój rozmówca należy do „przelotnej" emigracji. Pracuje na West End jako „barman" i zarabia £ 20 tygodniowo. Po czterech tygodniach musi wrócić do Kraju. Takich „przelotników" w Londynie i na prowincji w okresach letnim i jesiennym jest bardzo wielu.

Wielu młodych mówiło mi, że przeżyli szok po przeczytaniu kilkunastu numerów *Kultury*. Po prostu nie wyobrażali sobie realnie, że takie polskie pismo może istnieć na świecie. Łatwiej zrozumieć ów szok jeżeli weźmiemy pod uwagę rolę jaką spełniają przemilczenia w polskim systemie społecznym. Wielu inteligentów średniego i starszego pokolenia przyjęło postawę określaną mianem „pozytywnych bezpartyjnych". Według ocen moich rozmówców „pozytywni bezpartyjni" profesorowie i docenci pełnili haniebne funkcje w okresie tzw. wydarzeń marcowych. Ci panowie są asekurowani na obie strony. Jeżeli jutro zaszłyby jakieś radykalne zmiany to powiedzą, że zawsze byli bezpartyjni. Jeżeli Gomułka będzie rządził przez następne 10 lat — ci panowie pozostaną „pozytywni" w stosunku do reżymu. Bywały wypadki, że partyjni komuniści głosowali wraz ze strajkującymi studentami, natomiast „pozytywni bezpartyjni" zaklinali młodzież, by przyjęła warunki... honorowej kapitulacji.

Filozofia „pozytywnych bezpartyjnych" polega na tym, że pewnych rzeczy nie widzą, nie słyszą a przede wszystkim, o pewnych rzeczach nie mówią.

Jeden z moich młodych znajomych opowiedział mi następujący epizod, który charakteryzuje atmosferę domu inteligenta „pozytywno-bezpartyjnego". W małej grupie studentów dyskutowano na temat Czechosłowacji. Ktoś powiedział, że inwazja Czechosłowacji była poprzedzona inną inwazją w dniu 17 września 1939 r.

Obecna przy tej rozmowie studentka pierwszego roku — otworzyła szeroko oczy i zapytała: „A cóż się stało 17 września 1939 roku?" Okazało się, że dziewczyna zdała wprawdzie maturę lecz nie wiedziała, że 17 września 1939 r. wkroczyli do Polski bolszewicy. Wyobrażała sobie, że Lwów i Wilno zostały po uwolnieniu przez Armię Sowiecką dobrowolnie oddane bratnim narodom. W jej domu o „takich rzeczach" nikt nie mówił, a w podręcznikach szkolnych nie ma słówka o jakiejkolwiek inwazji.

Młodzi pragną zmian nie z romantycznych lecz z konkretnych powodów. Inżynier, którego wspomniałem na wstępie — powiedział mi, że £ 20, które zarabia tygodniowo w Londynie jako „barman" mają większą siłę kupna niż zł. 4.000, które zarabia miesięcznie w Warszawie. Ponieważ pracują zarówno on jak i jego żona — uskładali po 6-ciu latach trochę gotówki, dopożyczyli resztę i kupili mieszkanie. Lecz w gruncie rzeczy to nie jest kupno tylko długo-terminowy wynajem. Gdyby ów inżynier zginął czy umarł — jego syn nie odziedziczyłby mieszkania kupionego z takim trudem — lecz miałby jedynie pierwszeństwo opcji w ponownym kupnie tego samego mieszkania. „Rachmanizmu" tych wymiarów nie obserwujemy w krajach Zachodu.

Można by wyliczać na dziesiątkach stron znane i mniej znane absurdy życia w PRL. Wszystkie te absurdy tworzą łącznie gigantyczny mur oddzielający młodego człowieka od perspektyw normalnego rozwoju i sukcesu. „Jeżeli nie nastąpią zmiany — przed nami nie ma żadnej przyszłości" — powtarzali wszyscy moi rozmówcy.

Znaczny procent młodych komunistów myśli podobnie. Trudno im się dziwić, ponieważ nawet dla młodego człowieka z legitymacją partyjną szanse kariery są znikome. Młodzi nie byli partyzantami ani nie walczyli w AL — nie budowali „zrębów ojczyzny ludowej" — jednym słowem nie byli w „legionach". Natomiast powtarza im się przy każdej okazji, że wszystko mają do zawdzięczenia Polsce Ludowej, która jednak w rzeczywistości ma im bardzo niewiele do zaoferowania.

Mołotow posiada specjalny gabinet w bibliotece moskiewskiego uniwersytetu i stałą sekretarkę do dyspozycji. Pozycja Ulbrichta w Moskwie jest wyjątkowa, ponieważ sędziwy przywódca NRD współpracował z Leninem i lubi wypowiadać opinie zaczynające się od sakramentalnej frazy: „wiem z ust Lenina, że...". Młodzi w bloku wschodnim stają *vis-à-vis* piramidy zasłużonych zaczynając od tych, którzy rozmawiali z Leninem i zdołali przeżyć wszystkie czystki — a skończywszy na tych, którzy walczyli w lesie w okresie ostatniej wojny światowej. Młodzi często cytują Putramenta. Pisarz drugorzędny lecz co za kariera. Komisarz polityczny armii, redaktor, poseł, ambasador, dygnitarz partyjny. Wielokrotnie zdolniejszy od niego młody człowiek z ukończonymi wyższymi studiami — nie ma żadnej szansy zdobycia połowy tego sukcesu, który osiągnął Putrament.

Dyskutowałem z młodymi o wydarzeniach marcowych. Zanotować można wspaniałe osiągnięcia organizacyjne. Na wydziale

elektronicznym U.W. zorganizowano podsłuch radiowy na krótkich falach, których używa milicja. Kierownictwo akcji studenckiej poinformowane było o każdym meldunku patrolujących samochodów milicji i o rozkazach nadawanych z komendy milicji. Nie zabrakło również manifestacji solidarności społecznej. W Warszawie zebrano jednego dnia 35.000 złotych i przekazano studentom. Jednak robotnicy nie wyszli na ulicę i Gierek nie poparł studentów — na co w pewnych kołach naiwnie liczono.

Kontakty studentów z robotnikami ograniczają się w praktyce do stosunków rodzinnych. W Polsce to nie jest bez znaczenia ponieważ spory procent studiującej młodzieży pochodzi z klasy robotniczej. Wielu moich młodych znajomych sądzi, że gdyby strajk trwał kilka dni dłużej — robotnicy w niedzielę wyszliby na ulicę, by zademonstrować swą solidarność ze studentami. Nie podzielam tego poglądu. Jeżeli robotnicy nie zdecydowali się na strajk w dniu roboczym — nie wyszliby na ulicę i w niedzielę.

Co więc należy robić i czy warto cokolwiek robić?

Na młodych deprymująco działa fakt, że Zachód *de facto* uznał podział Europy i dojrzał do oficjalnego ratyfikowania *status quo*.

Hans J. Morgenthau napisał, że polityka amerykańska przez ubiegłe dekady żyła z intelektualnego kapitału, wyprodukowanego w okresie 15-tu wiosennych tygodni 1947 r. W owym okresie politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych dynamizowały i kształtowały trzy potężne koncepcje: plan Marshalla, „Containment" i Doktryna Trumana. Ów kapitał intelektualno polityczny został wyczerpany. Dziś koncepcji nie ma, pozostała tylko rutyna.

Powyższe trzy doktryny stały się przeżytkiem — lecz nowej generacji politycznych koncepcji nie widać na horyzoncie. Świat wygląda dziś inaczej niż w 1947 r. i galwanizowanie przebrzmiałych doktryn, które w swoim czasie spełniły zadanie — nie prowadzi do niczego.

Polityka Zachodu ma na swym koncie znakomite osiągnięcia. Plan Marshalla — odbudowa Europy — „cudy gospodarcze" Niemiec i Japonii — likwidacja kolonializmu i przekreślenie nadziei Stalina na wielki kryzys gospodarczy, który miał — według ocen marksistowskich — wstrząsnąć od podstaw gospodarką kapitalistyczną w okresie przejścia z ekonomii wojennej na ekonomię pokojową.

Lecz równocześnie tym osiągnięciom w ostatniej dekadzie towarzyszy jałowość polityki. Być może i w tym wypadku jest to problem pokolenia. Ludzie, którzy są na szczycie — jak prez. Nixon — walczyli w czasie ubiegłej wojny — później organizowali i odbudowywali świat zachodni na nowych podstawach — a dziś owo pokolenie jest jak wyczerpany akumulator, który nie produkuje ani energii ani światła.

Spotykałem młodych, którzy twierdzą, że Polska — podobnie jak Izrael — w pewnej mierze jest zbędna, ponieważ można sobie doskonale wyobrazić poprawnie funkcjonujący system międzynarodowy bez Polski i bez Izraela. Ponieważ Polski niepodległej

nie było przez 200 lat a państwa żydowskiego przez tysiące lat — społeczność międzynarodowa nie uważa istnienia tych dwóch państw za dziejową konieczność. Według tej tezy Żydzi w diasporze znaczą niepomiernie więcej niż Izrael. Czy to nie jest i dla nas właściwa droga? Rozbudowywać i umacniać diasporę do momentu kiedy Polacy zagraniczni będą mieli większe wpływy i znaczenie w świecie niż nasi rodacy mieszkający nad Wisłą. Twórcami niepodległego Izraela byli Żydzi z diaspory i bez nich nie byłoby niepodległego państwa żydowskiego.

Tego typu poglądy wygłaszają młodzi ludzie, którzy uważają, że w PRL nie ma przed nimi ani przed ich dziećmi żadnej przyszłości. Ci ludzie zdecydowani są osiedlić się zagranicą i do Kraju nie wracać. To są opinie nie typowe i odosobnione — niemniej charakterystyczne dla nastrojów nurtujących wśród młodych. Młodzież techniczna — inżynierowie wszelkich specjalności — ukończeni i ci którzy kończą studia — zdają sobie doskonale sprawę, że Ameryka, Kanada czy Australia mają im daleko więcej do zaoferowania niż PRL.

Osobiście jestem przekonany, że — o ile nie nastąpią zasadnicze zmiany w Europie Wschodniej — emigrantów będzie przybywało z każdym rokiem. Lecz pomiędzy starą emigracją a nową emigracją nie ma do tej pory wspólnego języka. Odważniejsi młodzi ludzie z Kraju odwiedzają mnie jako „pupila" Gomułki i jako autora heretyckich książek a nie jako starego emigranta.

Po upadku polskiego Października proponowałem utworzenie zagranicą ośrodka, który skupiłby nową emigrację i kontynuował działalność reformatorską zdławioną w Kraju. Czesi i Słowacy po upadku reformacji w ich ojczyźnie — w ten właśnie sposób postąpili. Utworzyli komitet, który skupia nową emigrację i który zdecydowany jest kontynuować dzieło reformacji przeciwko kontrreformacji narzuconej w Czechosłowacji przez Sowiety. Komitet wydaje własny miesięcznik p.n. „Text 69".

Czech czy Słowak, który brał udział w czechosłowackiej reformacji — z chwilą gdy znajdzie się zagranicą może dołączyć do ruchu, który czasowo został stłumiony w jego ojczyźnie. Tylko tak pojmowana i tak zorganizowana emigracja polityczna ma sens i znaczenie. Emigracja, która jest depozytariuszem koncepcji politycznych sprzed pół wieku — jest antykwariatem historycznym i niczym więcej.

Dyskutowaliśmy rolę emigracji, politykę Zachodu a w szczególności Stanów Zjednoczonych — lecz w końcu w każdej rozmowie wracaliśmy do punktu wyjścia: co należy robić, by osiągnąć poprawę sytuacji w Kraju?

Niektórzy rozmówcy przyznawali, że w okresie wydarzeń marcowych liczyli na Gierka. Gdyby strajk studencki objął również fabryki i zakłady przemysłowe — gdyby równocześnie strajkowały dziesiątki tysięcy ludzi w głównych miastach Polski — wówczas, jeżeli obecne kierownictwo partyjne nie zdołałoby opanować kryzysu, w centralnych władzach partyjnych prawdopodobnie nastąpiłby rozłam. Partia zastosowałaby manewr z okresu Paździer-

nika. Wysunięto by na czoło powiedzmy Gierka, który obiecałby wszystko bez zamiaru dotrzymania czegokolwiek. Po dwóch, trzech miesiącach gdy fala by opadła — Gierek czy ktokolwiek inny, który zastąpiłby Gomułkę — zacząłby powoli przykręcać śrubę i mielibyśmy z powrotem „gomułkizm" tylko bez Gomułki.

Następujące dwa punkty uznać należy za pewniki:

I. Najbardziej imponujący strajk studentów i robotników — nie przemieni Cyrankiewicza, Gomułki czy Gierka w polskiego Dubczeka.

II. Strajk i protest — choćby podjęte na dużą skalę — nie rodzą programu. Strajk, protest, demonstracje — produkują slogany a nie program.

Mówiąc o programie trzeba zdać sobie sprawę do czego się zmierza. Czy do całkowitego obalenia systemu i jego likwidacji — czy do zdemokratyzowania istniejącego ustroju.

Na emigracji przeważa opinia, że celem rewolucji w Europie Wschodniej winna być całkowita likwidacja komunizmu. Muszę powiedzieć, że wśród dziesiątków Polaków z Kraju, którzy odwiedzają mnie każdego roku — nie spotkałem ani jednego, który uważałby likwidację komunizmu na drodze kontrrewolucji za propozycję realną w dającej się wymierzyć przyszłości.

To jest zrozumiałe. Studenci i młodzi robotnicy ani nie pamiętają ani nie znają demokracji typu zachodniego. Młodzi Polacy, którzy mieli okazję zapoznać się bliżej z demokracją zachodnią nie zawsze są nią zachwyceni. Wydaje się więc oczywiste, że punktem wyjścia musi być przebudowa obecnego ustroju — ponieważ rosnąca z każdym dniem większość nie zna innego ustroju.

Przekonałem się wielokrotnie, że nawet ci młodzi, którzy odrzucają nie tylko komunizm lecz i socjalizm — w dyskusjach na tematy ustrojowe i społeczne — operują kategoriami socjalistycznymi, ponieważ innych kategorii nie znają.

Czesi i Słowacy mimo poniesionej klęski — są w znacznie lepszej sytuacji niż my. Jeżeli za miesiąc czy za rok koniunktura ulegnie radykalnej zmianie — Czechosłowacy powołają Dubczeka i jego zwolenników by realizowali przerwany inwazją „Program Akcji". Wydaliśmy w książce „Program Akcji" przede wszystkim w tym celu by udostępnić go Polakom w Kraju. Z mojego wstępu do tej książki wyjmuję następujący fragment:

> „Istnieje podstawowa różnica pomiędzy antykomunizmem a rewizjonizmem. Wadą antykomunizmu jest jego negatywizm. Dżilas w swojej 'Nowej Klasie' dał nam niezmiernie wnikliwą krytykę systemu komunistycznego — lecz tej negatywnej krytyce nie odpowiada żaden pozytywny program.
>
> „Program Akcji", stopniowo wcielany w życie w Czechosłowacji do dnia najazdu sowieckiego — stanowił niezbity dowód, że komunizm jest zdolny do ewolucji. Owa ewolucja nie załamała się — lecz przeciwnie z każdym tygodniem przybliżała ustrój Czechosłowacji do modelu rzetelnej demokracji. Interwencja nastąpiła późno — ponieważ, jak dziś wiadomo — stalinowcy zarówno w Moskwie jak i w Pradze — liczyli, że nowy model zbankrutuje. Stalinowcy uważają wolność za synonim chaosu a decentralizację władzy za synonim kapitualacji. Moskwa zdecydowała się na zgniecenie reformacji przemocą ponieważ stało się oczywiste, że reformacja czechosłowacka jest sukcesem i zlikwidować ją mogą tylko czołgi lecz nie bankructwo wewnętrzne".

W polskich warunkach program alternatywny musi postulować uwłaszczenie robotników. Uwłaszczenie klasy robotniczej musiałoby oznaczać przekształcenie robotników we współwłaścicieli i współzarządców zakładów przemysłowych jak i współdysponentów towarów przez nich wyprodukowanych. Osiągnąć to można poprzez spółdzielczość i system rad robotniczych na wszystkich szczeblach struktury gospodarczej i przemysłowej.

Znaczny procent młodych z którymi rozmawiałem — nawet technicy i inżynierowie — zgodnie z tradycją polskiej inteligencji główny nacisk kładli na wolności humanistyczne, jak wolność słowa, wolność prasy, zniesienie cenzury w radio, telewizji, w teatrze itp. O zakazie wystawienia „Dziadów" co drugi młody inteligent z Kraju gotów jest dyskutować godzinami — lecz problem rad robotniczych nie budzi takiej pasji ani zainteresowań. To jest ów literacki — niemal młodopolski socjalizm, który u wielu inteligentów przetrwał do dziś. Zbędne dodawać, że tego typu podejście nie ułatwia budowy sojuszu pomiędzy inteligencją a robotnikami.

Prof. Schaff — który obecnie uznany został za „rewizjonistę" — od lat głosił tezę, że rewizjonizm jest pojęciem martwym. Polski Październik, powstanie węgierskie, wydarzenia marcowe, reformacja czechosłowacka — tego wszystkiego dokonali rewizjoniści.

W oparciu o doświadczenie i analizę ubiegłych 13 lat musi się dojść do wniosku, że główną siłą rewolucyjną w bloku wschodnim są rewizjoniści. Opozycja nie-marksistowska nie wypracowała żadnego programu alternatywnego i wskutek tego ta opozycja nie spowodowała żadnego kryzysu na miarę powstania węgierskiego czy reformacji czechosłowackiej. Były protesty jak list 34-ch — czy znane, nadzwyczajne zebranie Stowarzyszenia Literatów, na którym padło słowo „ciemniaki" — lecz na tym koniec. Te protesty dotyczyły wolności intelektualnej, spraw literackich — lecz nie ocierały się nawet o problematykę robotniczą.

Większość Polaków w Kraju nie chce ani restauracji przedwojennego obozu sanacyjnego, ani komunizmu w wydaniu Gomułki. Lecz to nie jest żaden program. To jest tylko gombrowiczowska, polska „niemożność".

W pierwszej części tego artykułu wspomniałem, że w okresie wydarzeń marcowych w licznych wypadkach młodzi komuniści

głosowali za rezolucjami uchwalanymi przez ich kolegów studentów nie komunistów. W moich rozmowach z młodymi ludźmi z Kraju sugerowałem, że nie powinni tracić energii na przekonywanie przekonanych. Całą energię i wszystkie argumenty należy skoncentrować na młodych komunistach. Nie należy namawiać ich by występowali z partii. Natomiast należy przekonać ich, że winni pracować nad zreformowaniem partii — tak by ci co z nimi dyskutują mogli uczciwie do partii wstąpić. Młody marksista, który kończy uniwersytet — powinien wchodzić w życie jako przekonany rewizjonista. Jeżeli tak się nie dzieje oznacza to, że nie-marksiści nie dorośli do swego zadania.

Inteligenci marksiści jeżeli rozmawia się z nimi w cztery oczy bez świadków — w większości okazują się potencjalnymi rewizjonistami. To jest w pewnym sensie oczywiste. Od żadnego inteligenta — marksisty czy nie-marksisty — nie można oczekiwać, że za swój ideał uzna „gomułkizm". Lecz inteligent w Kraju z chwilą gdy zostaje członkiem partii — nie przestaje być inteligentem i dzieli ze swoją warstwą kompleks „niemożności".

Wśród młodego i średniego pokolenia inteligentów-komunistów — potencjalni rewizjoniści stanowią znaczny odłam. Lecz ci ludzie są nieświadomi ani swojej liczebności ani swojej siły. Brak jest programu i przywódcy, który by ich ujawnił i skupił.

W Polsce istnieją dwie opozycje. Opozycja nie marksistowska, względnie anty-marksistowska — oraz opozycja rewizjonistyczna, socjalistyczna. Ani jedna ani druga opozycja nie ma zarysowanego programu.

W moim przekonaniu cel pierwszej z wymienionych opozycji, tj. likwidacja komunizmu, jest nie do osiągnięcia bez pomocy z zewnątrz. Musiałoby dojść do wojny i rozpadu Związku Sowieckiego — co w konsekwencji mogłoby oznaczać likwidację milionów ludzi nie tylko narodowości rosyjskiej. Bez pomocy z zewnątrz klasyczna kontrrewolucja nie jest możliwa ponieważ prawicowy przywódca nie zmobilizuje klasy robotniczej.

Opozycja lewicowa jest rozwarstwiona i w wielu wypadkach skłócona. Socjaldemokraci nigdy nie wyjaśnili swojego stosunku do rewizjonistów. Z drugiej strony rewizjoniści w przeważającej mierze zachowali nieufność z jaką komuniści traktują socjaldemokratów. W sumie — Stefan Kisielewski, który jest antysocjalistą — łatwiej porozumiałby się z socjalistami demokratycznymi na emigracji niż Leszek Kołakowski. Wielu socjaldemokratów podziela pogląd konserwatywnych kół emigracyjnych, że komunizm można tylko zlikwidować, lecz nie można go przebudować. Gdyby w ubiegłym roku kontrrewolucja odbudowała w Czechosłowacji choćby tylko na 8 miesięcy ustrój konserwatywno-demokratyczny — przyznałbym rację pp. Pragierowi i Stahlowi. Lecz jak wiemy w Czechosłowacji komunizmu nie likwidowano — tylko mozolnie przebudowywano go w system socjalistyczny z ludzkim obliczem.

Obłęd zachodniego antykomunizmu polega na tym, że sądzi się, że im ktoś jest bardziej prawicowy tym jest bardziej antykomunistyczny. To jest po prostu nonsens. Prawicowy antykomunizm jest politycznie bezużyteczny, ponieważ prawicowcy nie mają żadnej szansy pociągnięcia za sobą robotników i chłopów — a tym samym nie mają żadnej szansy obalenia komunizmu czy to na drodze rewolucyjnej czy reformatorskiej.

Powyższe uwagi stanowią margines przeznaczony dla Czytelników emigracyjnych. Młodzi ludzie z Kraju, z którymi rozmawiałem, uważali za rzecz nie podlegającą dyskusji, że alternatywą komunizmu może być tylko socjalizm. Obalić czy przekształcić komunizm może tylko zjednoczona lewica, bo tylko za programem lewicowym opowie się klasa robotnicza i większość pracującej inteligencji.

Polscy socjaliści na emigracji powinni się zjednoczyć i powinni szukać porozumienia z rewizjonistami nowej emigracji. Jeżeli nie porozumieją się z rewizjonistami przebywającymi zagranicą — jaka jest szansa, że porozumieją się z rewizjonistami w Kraju?

Jeszcze raz należy podkreślić fakt następujący. Ujawnionych rewizjonistów w Kraju jest niewielu, ponieważ są tępieni, więzieni i prześladowani. Lecz ci rewizjoniści stanowią tylko szczyt góry lodowej, której masa znajduje się pod powierzchnią. Potencjalnych rewizjonistów są dziesiątki tysięcy. Tylko ośrodek, który skupiałby zarówno socjaldemokratów jak i rewizjonistów z najnowszej emigracji — miałby możliwość wypracowania „polskiego Programu Akcji", który byłby przyjęty w Kraju.

Młodzi ludzie oceniali bardzo sceptycznie powyższy plan. Młodzi uważają, że PPS jest wyobcowana, nie rozumie „specyfiki" krajowej, utraciła dawno swą dynamikę rewolucyjną, żyje przeszłością itd. itp.

Argumentowałem, że PPS reprezentuje to — czego rewizjonistom jest brak, a mianowicie tradycję, wyrobienie polityczne, dziesiątki lat doświadczeń. Wśród rewizjonistów jest wielu ludzi wykształconych i bardzo utalentowanych — lecz niemal wszystkim rewizjonistom brak jest wyrobienia politycznego. W Polsce Ludowej tego wyrobienia nie mieli sposobności zdobyć.

Młodzi ludzie z Kraju — zwłaszcza ci, którzy czasowo przebywają zagranicą — skarżyli się przede mną, że z wyjątkiem szpiclów z ambasady PRL — nikt się nimi nie zajmuje.

Ośrodek polityczny, który skupiałby rewizjonistów z nowej emigracji i postępowych socjaldemokratów ze starej emigracji — miałby możliwość dotarcia do młodej emigracji stałej i przelotnej. Należałoby młodych z Kraju zapraszać na selektywnie zorganizowane dyskusje w prywatnych domach — udostępniać im książki o określonej tematyce — a z czasem należałoby dla nich wydawać specjalny biuletyn.

Nie chodzi w tym wypadku o „budowanie mostów". Chodzi o rzecz znacznie bardziej istotną a mianowicie o zbudowanie przyczółka politycznego w Kraju. Niech mi nikt nie tłumaczy, że to nie jest możliwe. Gdyby zespół paryskiej *Kultury* liczył nie kilka lecz kilkadziesiąt osób — byłoby to już dawno zrobione.

Demokratyczne lewice w Kraju i na emigracji choć różne i rozwarstwione — powinny szukać platformy porozumienia w celu wypracowania programu, który stanowiłby oś krystalizacyjną oporu.

Trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że stalinowcy górują nad nami nie tylko siłą, lecz przede wszystkim programem. Ci panowie mają określony i uzgodniony program utrzymania się przy władzy. My natomiast nie mamy żadnego programu jak stalinowców władzy pozbawić. Przykład Czechosłowacji wykazał, że Sowietom można tylko przeciwstawić program mobilizujący i jednoczący społeczeństwo. W imię ogólnikowych haseł jak wolność i niepodległość można zorganizować protest grupy inteligencji. Jednak do uzyskania poparcia klasy robotniczej trzeba czegoś więcej.

Tak jak po upadku pierwszej Rzeczypospolitej powstańcy nie zdobyli się na radykalny projekt reform społecznych, które należało przeciwstawić reakcyjnemu caratowi — tak my dziś nie potrafiliśmy również wypracować programu ustrojowego, który stanowiłby alternatywę ,o którą warto byłoby walczyć.

Walczyć należy o Polskę niepodległą — powtarzamy od 30 lat. Lecz nasza Polska niepodległa obejmowała Brześć i Berezę, Golędzinów i krwawe tłumienie strajków. Jak ktoś trafnie zauważył, w naszej Polsce oko pańskie tuczyło konia lecz nie fornala. W imię Drugiej Rzeczypospolitej nie zmobilizujemy ani chłopów ani robotników.

Dopóki lewica polska nie wypracuje programu — przebąkiwanie o rewolucji jest rzeczą śmieszną. Rewolucja różni się tym od powstania, że posiada określony program społeczno-ustrojowy. Dopiero program przekształca sytuację rewolucyjną — w rewolucję. Rewolucjoniści walczą o jasno określone Jutro — powstańcy walczą przeważnie o Wczoraj. Niestety, owego polskiego Jutra jeszcze nie widać.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ODPOWIEDŹ

W listopadowym numerze *Kultury* p. St. Zarzewski oraz pp. W. Czerwiński i K. Trębicki w liście do Redaktora *Kultury* dali wyraz oburzeniu, że wyniki ankiety londyńskich *Wiadomości* zaliczyłem do niezamkniętej księgi „Z Dziejów Głupoty w Polsce i na Emigracji".

P. Zarzewski zarzuca mi, że nie przytoczyłem żadnych argumentów, które usprawiedliwiałyby tego rodzaju opinię. Argumentów w tej sprawie dostarczyli uczestnicy omawianej imprezy.

Musi być wiadome nawet respondentom ankiety, że Polska leży pomiędzy

Rosją a Niemcami. Uczestnicy ankiety (1.713 osób) — w przytłaczającej większości wyłączają możliwość porozumienia się Polski zarówno z Rosją (90 %) jak i z Niemcami (92 %). To jest postawa polityczna nie tylko głupia lecz *samobójcza* i moim obowiązkiem jako publicysty było nazwać rzecz po imieniu.

Gdyby większość respondentów uważała, że należy szukać porozumienia z Niemcami przeciwko Rosji — byłbym przeciwny tego typu polityce lecz niewątpliwie byłaby to polityka w pewnej mierze logiczna. Natomiast polityka pod hasłem „ani z Rosją ani z Niemcami" stanowi odrzucenie tragicznych doświadczeń ubiegłych trzydziestu lat i wprowadzona w czyn wiodłaby do nowej katastrofy.

Przeciwnicy porozumienia Polski zarówno z Rosją jak i z Niemcami — rezygnują *de facto* z Ziem Odzyskanych — ponieważ tych ziem nie zdołamy nigdy obronić nie mając poparcia przynajmniej jednego z naszych sąsiadów.

Historia bije w głupców grochem o ścianę. Polityka „ani z Rosją ani z Niemcami" prowadziła w przeszłości nieuchronnie do porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Trudno uwierzyć, że ludzie, którzy pamiętają pakt Ribbentrop-Mołotow uważają za celowe uprawianie w dalszym ciągu polityki balansowania na linie rozciągniętej pomiędzy Moskwą a Berlinem. Polska z 1939 roku posiadała potężnych sojuszników na Zachodzie. Lecz dziś nie Polska tylko Niemcy posiadają potężnych sojuszników na Zachodzie. Jak mamy odbudować naszą niepodległość bez sojuszników na Zachodzie i bez porozumienia z naszymi sąsiadami? Polityka „ani z Rosją ani z Niemcami" nie jest polityką niepodległościową — jest tylko zaproszeniem do rozbioru i stwierdzeniem, że Polska jest niezdolna do niepodległego bytu.

Czytając wyniki ankiety dojść się musi do wniosku, że dla 90 % respondentów — Kampania Wrześniowa, Powstanie Warszawskie, Oświęcimy, Katynie, łagry — to wszystko poszło na marne, ponieważ panowie o których mowa nawet kosztem takich ofiar niczego się nie nauczyli.

Bismarck w liście do księcia Reuss pisał: „I cóż zrobimy pokonawszy Rosję? Wskrzesimy Polskę. Wtedy będziemy mogli po 20-tu latach odnowić związek trzech cesarstw dla dokonania czwartego rozbioru".

Gdyby cytowaną ankietę uznać za reprezentatywną w odniesieniu do całego narodu — trzeba by przysłowie „mądry Polak po szkodzie" wykreślić z mowy polskiej i pogrzebać. Na szczęście nie ma powodu tego czynić, bo tylko pewien odłam Polaków na emigracji nie nauczył się niczego. Polacy w Kraju zrozumieli lekcję Historii i program polityczny „ani z Rosją ani z Niemcami" w Polsce jest powszechnie potępiony i odrzucony.

Musimy dążyć usilnie do takich przemian, które umożliwiałyby rzetelne porozumienie polsko-rosyjskie. Jeżeli bowiem my nie porozumiemy się z Rosją — uczynią to Niemcy naszym kosztem. Polak, który tego nie rozumie — nie rozumie ubiegłych 300 lat historii swojego narodu.

Z ZAGADNIEŃ „OSTPOLITIK"

Dlaczego domagamy się od Bonn uznania granicy na Odrze i Nysie? Niemcy zachodnie nie mają wspólnej granicy z Polską — natomiast NRD z którą sąsiadujemy — uznaje granice na Odrze i Nysie. Układ graniczny

podpisany w Zgorzelcu 6 czerwca 1950 r. finalnie przypieczętował tę sprawę.

W aspekcie prawa międzynarodowego układ pomiędzy PRL a NRD podpisany w Zgorzelcu — byłby pełnoprawnym dokumentem tylko wówczas gdyby NRD została uznana jako prawnie istniejące państwo. Państwo, które nie jest uznane — nie posiada podmiotowości prawnej i nie może zawierać układów z mocą obowiązującą w sensie prawa międzynarodowego.

To nie są teoretyczne spekulacje lecz praktyczne rozważania. Gdyby zjednoczenie Niemiec nastąpiło bez uprzedniego oficjalnego uznania rządu NRD — wówczas rząd zjednoczonych Niemiec nie byłby związany układem w Zgorzelcu ani żadnym innym układem zawartym przez NRD.

Rząd w Bonn pragnie zjednoczenia Niemiec lecz wzbrania się uznać układ zawarty w Zgorzelcu za prawnie obowiązujący.

Czy z powyższego należy wysnuć wniosek, że leżałoby w polskim interesie by rząd w Bonn uznał Ulbrichta? Nie leży w polskim interesie by jeszcze jeden rząd stalinowski został uznany przez mocarstwa zachodnie. Natomiast leży w polskim interesie by zarówno rząd w Bonn jak i mocarstwa zachodnie uznały granicę na Odrze i Nysie.

Rząd w Bonn nie chce uznać naszej granicy zachodniej ponieważ według oficjalnego poglądu — sprawa granic zostanie ostatecznie ustalona w traktacie pokojowym. Lecz w rzeczywistości pogląd ten nie odpowiada prawdzie. Rząd zachodnioniemiecki nie czekając na mityczny traktat pokojowy — załatwił cały szereg spraw granicznych. NRF podpisała układy graniczne z Holandią, z Belgią, z Szwajcarią i z Francją. W pewnych wypadkach korektura granicy nastąpiła na korzyść Niemiec. Tak na przykład układ pomiędzy NRF a Holandią (3 kwietnia 1960) przywrócił niemal całkowicie stan z roku 1939. Widzimy więc, że argument o „traktacie pokojowym" jest fikcją, której rząd zachodnioniemiecki w praktyce nie podtrzymywał.

Nie ulega wątpliwości, że mocarstwa zachodnie są dziś bliższe uznania reżymu Ulbrichta niż kiedykolwiek w przeszłości. W poprzedniej Kronice angielskiej przytoczyłem charakterystyczne w tym względzie głosy prasy amerykańskiej. NRD stanowi składnik europejskiego *status quo*. W Zachodniej Europie nikt nie chce zmiany *status quo* w obawie, że każda zmiana mogłoby zagrozić pokojowi.

Ci, którzy utrzymują, że *status quo* i utrzymanie pokoju to są synonimy — będą wywierali nacisk w kierunku uznania reżymu Ulbrichta, ponieważ uznanie tego reżymu byłoby równoznaczne z uznaniem granicy na Odrze i Nysie. Uznanie tej granicy nie ma nic wspólnego z sympatią dla Polaków czy dla rządu PRL. Wielu polityków na Zachodzie uważa natomiast, że dopóki ta granica nie jest uznana — *status quo* a tym samym pokój są potencjalnie zagrożone. Dopóki Niemcy zgłaszają pretensje do polskich ziem zachodnich trudno jest również odeprzeć zarzut wysuwany przez państwa Paktu Warszawskiego, że NATO jest sojuszem odwetowym względnie imperialistycznym.

Gdyby Niemiecka Republika Federalna uznała oficjalnie granicę na Odrze i Nysie — pozbawiłaby głównego argumentu te koła na Zachodzie, które proponują uznanie reżymu Ulbrichta celem zabezpieczenia *status quo* i pokoju.

Główna siła Ulbrichta polega na tym, że podpisał układ w Zgorzelcu i tym samym nie zagraża *status quo* i pokojowi. NRF nie uznaje układu w Zgorzelcu za legalnie obowiązujący. Gdyby więc jutro, czy za rok nastąpiło zjednoczenie Niemiec — na linii Odry i Nysy powstałaby sytuacja wojenna. To potencjalne niebezpieczeństwo stanowi główny atut Ulbrichta w jego dążeniu do zdobycia międzynarodowego uznania dla reżymu NRD. Państwa zachodnioeuropejskie mogą nie mieć możliwości nakłonienia NRF do uznania granicy na Odrze i Nysie — mają natomiast możliwość uznania reżymu Ulbrichta co byłoby równoznaczne z uznaniem za prawnie obowiązujący układ w Zgorzelcu.

Gdyby Niemcy zachodnie uznały omawianą granicę — nie tylko pozbawiłyby Ulbrichta jego głównego atutu lecz przyhamowałyby wydatnie ewolucję na Zachodzie w kierunku uznania reżymu NRD.

Odmawiając uznania granicy nadodrzańskiej — Niemcy zachodnie wzmacniają tym samym reżym Ulbrichta i te koła na Zachodzie, które stopniowo skłaniają się ku uznaniu NRD. Jeżeli Niemcy zachodnie będą podtrzymywały swe pretensje terytorialne przez następne 10 lat — nie osiągną zjednoczenia — doczekają się natomiast uznania reżymu Ulbrichta przez większość państw zachodnioeuropejskich.

CENA CUDU

Jaką cenę zapłacili Niemcy za swój „cud gospodarczy"? Anthony Harris w swej pracy pt. „Reverse the Miracle" — twierdzi, że tą ceną był wzrost nierówności społecznej. Cyfry statystyczne w pełni popierają tezę Harrisa. W roku 1950 prywatni kapitaliści i ich firmy byli właścicielami 53,5 % ogólnego majątku Niemieckiej Republiki Federalnej. W roku 1967 udział kapitalistów w majątku NRF wyrażał się już cyfrą 72,5 %. Przedsiębiorcy, którzy w roku 1950 dzierżyli w swym ręku połowę majątku NRF — w siedemnaście lat później dzierżyli już trzy czwarte owego majątku. W omawianym okresie dochód przedsiębiorców wzrósł pięciokrotnie.

Na pracowników najemnych przypadało w roku 1950 — 40,5 % majątku NRF. Stan posiadania tej grupy społecznej skurczył się w roku 1967 do 23,9 %.

Dochód na głowę mieszkańca w roku 1950 w klasie przedsiębiorców wynosił DM 3.030 — w klasie zatrudnionych DM 2.544. W roku 1967 dochód *per capita* przedsiębiorców wzrósł do DM 15.106 — natomiast dochód zatrudnionych wzrósł tylko do DM 8.388.

Niemiecki „cud gospodarczy" oznacza więc rozrost majątków i dochodów przedsiębiorców kosztem wszystkich innych warstw społecznych, a w szczególności robotników. W sumie należy stwierdzić, że niemiecki „cud gospodarczy" stanowi w pewnej mierze odwrotność ideału równości i sprawiedliwości społecznej.

Niemcy zachodnie wydają bardzo mało na służby społeczne a w szczególności na oświatę. Na program kształcenia, kultury i oświaty Niemcy zachodnie poświęcają 3,5 % całkowitego dochodu narodowego *(Gross National Product)*. Wszystkie państwa „Wspólnego Rynku" wydają znacznie więcej na powyższe cele — nie wyłączając Włoch, które są niepomiernie uboższe od Niemiec. Wielka Brytania wydaje prawie dwukrotnie więcej na kształcenie swej młodzieży niż Niemcy. Wielu ekonomistów niemieckich wyraziło pogląd, że o ile NRF nie zwiększy inwestycji na program kształcenia młodzieży — niedobory w tej dziedzinie — zagrożą za kilkanaście lat „cudowi gospodarczemu". Należy jeszcze dodać — o czym wspomniałem w jednym

z poprzednich moich artykułów — że synowie i córki robotników stanowią tylko 5 % ogółu uniwersyteckiej młodzieży w NRF.

Niemcy nie rozumieją, że podział dochodu narodowego jest równie istotny jak produkcja dochodu narodowego. Nowoczesne państwo demokratyczne nie może być super-przedsiębiorstwem obliczonym wyłącznie na zysk. Państwo, które premiuje przedsiębiorców kosztem robotników, które nie rozbudowuje w dostatecznej mierze służb społecznych, które skąpi na oświatę i szkolnictwo — zmierza łącznie ze swym „cudem gospodarczym" ku głębokiemu kryzysowi.

Jaskrawa nierówność i niesprawiedliwość w podziale dochodu narodowego stanowiła w przeszłości, i stanowi dzisiaj, klasyczne źródło fermentu socjalnego. Przyzwyczailiśmy się uważać, że wyzysk oznacza płacę z której trudno jest przyzwoicie się utrzymać. Tradycyjnie wyzysk kojarzymy z nędzą. To są przesłanki często mylące. W rzeczywistości ofiarą wyzysku może być robotnik, który posiada dom i samochód. Wszędzie tam gdzie dochód i majątek przedsiębiorców rośnie dysproporcjonalnie szybciej niż dochód robotników — istnieje wyzysk.

Reżymowi Ulbrichta Niemcy zachodnie winny przeciwstawić ustrój realizujący program sprawiedliwości społecznej a nie państwo wiktoriańskiego kapitalizmu. Ufajmy, że nowy rząd Federalnej Republiki z socjaldemokratą na czele — zdaje sobie sprawę z zasięgu tych zagadnień.

BUNT PROWINCJI

Jestem przekonany, że gdyby zapytać min. Gromyki co sądzi o de-kolonizacji — odpowiedziałby, że de-kolonizacja postępuje znakomicie. W roku 1945 ONZ liczyła zaledwie 56 państw. W roku 1968 ONZ liczyła już 126 państw członkowskich. Specjaliści przedmiotu przewidują, że w latach siedemdziesiątych bieżącego stulecia — ONZ osiągnie imponującą cyfrę 200 państw członkowskich.

Lecz to jest tylko fragment interesującego nas zagadnienia. Powtarzamy do znudzenia, że nowoczesna technologia przydała światu nieznane dawniej poczucie jedności. Świat zmalał. Z Londynu do Warszawy leci się pasażerskim samolotem 90 minut. W nawiasach należy podkreślić, że nigdy nie było tak daleko z Londynu do Warszawy jak jest dziś.

Technologia rozwiązując jeden problem wytwarza automatycznie serię nowych problemów. Samochód — powiedzmy dla przykładu — zrodził daleko więcej zagadnień niż ich rozwiązał.

Kto ma rozwiązywać ową powódź narastających problemów? Oczywiście nowe ministerstwa, nowe instytucje administracyjne, nowe armie urzędników. Technologia produkuje nie tylko bogactwo lecz również biurokrację. Wszystkie biurokracje — bez względu na zabarwienie polityczne — wykazują tendencje centralistyczne. W pewnym sensie jest to zrozumiałe. Nie można planować przebudowy systemu kolejowego inaczej niż centralistycznie. Punkt widzenia centralistyczny często nie pokrywa się z lokalnym punktem widzenia. Zamyka się dany odcinek linii kolejowej, ponieważ przynosi deficyt. Lecz ten sam deficytowy odcinek linii kolejowej spełnia w pewnych wypadkach istotną funkcję socjalną, choć owa funkcja ma charakter czysto miejscowy.

W społeczeństwie demokratycznym polityka wewnętrzna i planowanie oparte są na analizie faktów. Ponieważ w epoce technologicznej fakty stają się coraz bardziej złożone — politycy opierają się na opinii rzeczoznawców. Żaden polityk nie wie czy należy budować samoloty pasażerskie typu Concorde — czy nie, czy należy słodzić setki gatunków lemoniad sztucznymi preparatami czy nie, czy należy budować autostrady kosztem zamykania linii kolejowych — czy nie. Transport, urbanistyka, automatyzacja, program energii atomowej, program zbrojeniowy, polityka socjalna jak np. „planowanie rodzinne" (środki zapobiegające ciąży) — to wszystko stanowi gąszcz problemów, w których rozeznać się mogą tylko rzeczoznawcy. Technologia wydała polityków w ręce ekspertów. Ten sam zespół ekspertów obsługuje w danym okresie rząd socjalistyczny a w innym okresie rząd konserwatywny. Z tej przyczyny w oczach obywatela zacierają się różnice pomiędzy dwoma wielkimi partiami brytyjskimi.

Powyższy proces budzi reakcję, którą należałoby nazwać „buntem prowincji" — względnie „buntem szczepowym". Szkoci, Walijczycy, Flamandowie, Baskowie, Bretończycy, mieszkańcy wysp w Kanale angielskim i dziesiątki innych szczepów europejskich — domagają się instytucji regionalnych, autonomii a w niektórych wypadkach nawet oddzielnych parlamentów.

Osobiście nie określiłbym tego procesu mianem drugiej de-kolonizacji — jak czyni to francuski pisarz Herbert Lüthy, który poświęcił temu zagadnieniu interesujący artykuł. Nie ulega jednak wątpliwości, że biurokratyczny centralizm, ujednolicenie, wielko-przestrzenne planowanie, niszczycielski pochód technologii poprzez wiejski krajobraz — wszystko to budzi tęsknotę za tradycją życia regionalnego, swoich pomiędzy swoimi i rządzonych przez swoich.

Tej jesieni na plaże szkockie i irlandzkie morze wyrzuciło tysiące martwych ptaków. Oblicza się, że wyginęło ponad 10.000 ptaków. Ludzie z nadmorskich okolic nic nie wiedzą o gigantach fabrycznych, które w głębi kraju produkują bogactwo i śmierć. Trudno się dziwić, że ludzie ci pragną bronić swojego krajobrazu i tradycyjnej modły życia, zagrożonych przez współczesną technologię i biurokratyczny centralizm.

Wydaje się, że najbliższe lata cechować będzie rozkwit regionalizmu. Ów rozkwit wyrazi się rozbudową autonomii regionalnych w sferze administracji oraz ożywieniem kultur regionalno-szczepowych. Poprzez splot więzi lokalnych ludzie bronić będą swojej identyczności w epoce wszechwładzy skomputeryzowanej biurokracji.

ODWIECZNY PROBLEM

Naukowcy dzielą się na dwa obozy. Pierwsi twierdzą, że człowiek jest maszyną — drudzy utrzymują, że człowiek jest maszyną, w którą wbudowany jest tajemniczy element określany mianem duszy czy ducha. Przyrodnicy wszystkich specjalności w znacznym procencie należą do pierwszego obozu. Trzeba jednak podkreślić, że i wśród przyrodników znajdują się uczeni reprezentujący pogląd, że to co określamy w języku angielskim słowem *mind* — nie jest w całości wytłumaczalne aparaturą nauk ścisłych.

Oczywiście jeżeli człowiek jest tylko maszyną — wolna wola jest złu-

dzeniem. Postępowanie człowieka jest zdeterminowane mechanizmem przyczynowym.

To wszystko nie jest problemem ściśle naukowym i akademickim. Socjologowie bowiem są doradcami różnych instytucji przemysłowych, rządowych i wojskowych. Geoffrey Hawthorn — którego studium dostarczyło mi bodźca do napisania niniejszej noty — twierdzi, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych jest największym w świecie patronem i gwarantem badań socjologicznych. Wpływ i liczebność socjologów w kompleksie rządowo-wojskowym Ameryki stale wzrasta i choćby z tej przyczyny jest rzeczą ważną wiedzieć co ci panowie myślą.

Ponieważ człowiek wyewoluował z niższych form zwierzęcych — socjologowie behawioryści sądzą, że pewne analogie i prawidłowości odnoszące się do naszego gatunku można wyłuskać z analizy zachowania się małp czy szczurów. Ponieważ zwierzętom odmawiamy posiadania duszy i wolnej woli — redukujemy je do poziomu żywych maszyn. Jeżeli przyjmujemy pogląd, że i człowiek nie ma duszy — różnica pomiędzy nim a zwierzęciem jest tylko różnicą w stopniu ewolucji. W takiej sytuacji operowanie analogiami wydaje się w całości usprawiedliwione.

Nikt nie neguje, że zarówno człowiek jak i społeczeństwa ludzkie podlegają prawom skutku i przyczyny. Wiadomo na przykład, że w społeczeństwach, które nie zabezpieczają losu starych ludzi — przeważają rodziny z dużą ilością dzieci. Jeżeli państwo nie zapewnia żadnej opieki starcom — ludzie starają się mieć dużo dzieci w nadziei, że przynajmniej jedno z nich zaopiekuje się nimi na starość. Wniosek stąd, że jedną z dróg wiodących do ograniczenia ilości urodzin — jest wydatna opieka nad starymi ludźmi.

Lecz co innego jest powiedzieć, że 90 % procesów społecznych jest zdeterminowanych — a co innego jest twierdzić, że wszystko jest zdeterminowane i wszystko z czasem będzie wytłumaczalne. Jeżeli mozolnie rozbierzemy na części zegar Historii i odkryjemy co powoduje jego „tykanie" — będziemy mogli ów zegar regulować i nastawiać zgodnie z planem rządu i Pentagonu. Powyższa analogia stanowi wielkie uproszczenie — lecz niewątpliwie u dna cytowanego poglądu leży przekonanie, że przed nauką nie ma granic. Z czasem wszystko będzie wytłumaczalne a tym samym podatne planowanej manipulacji.

Warto na marginesie podkreślić, że zdecydowanym przeciwnikiem deterministycznej interpretacji dziejów jest Arthur Koestler. W swoich najnowszych pracach Koestler poddał szkołę behawiorystyczną surowej krytyce.

W przeciwieństwie do Koestlera nie jestem z wykształcenia inżynierem i fizykiem. Wydaje mi się jednak, że gdyby socjologia dotyczyła wyłącznie przyczyn i skutków, bodźców i reakcji — przewidywania następnego cyklu wydarzeń byłyby nie tylko możliwe lecz i w większości wypadków trafne. Socjologowie przewidują co nas czeka w roku 2000 lecz nie przewidzieli wydarzeń, których byliśmy świadkami w ubiegłych kilku latach. Socjologowie nie przewidzieli rewolucji młodzieży, która jest zjawiskiem międzynarodowym — nie przewidzieli rewolucji we Francji, która była czymś więcej niż generalnym strajkiem — nie przewidzieli reformacji w Czechosłowacji ani nie przewidzieli interwencji sowieckiej. Amerykańscy socjologowie nie przewidzieli reakcji społeczeństwa w stosunku do wojny wietnamskiej — a jeżeli chodzi o amerykańską rewolucję studencką — wyprodukowali dziesiątki interpretacji — które w wielu wypadkach są ze sobą sprzeczne.

Wydaje mi się również, że racjonalizm nie polega na budowaniu racjonalistycznych modeli — tylko na koegzystencji ze sprzecznościami. Zdrowy rozsądek, doświadczenie i obserwacja uczą nas, że człowiek jest zarówno zdeterminowany jak i wyposażony w wolną wolę, czyli w możliwość wyboru. To jest model niespójny osobowości ludzkiej, niemniej, pokrywający się z faktami. Na to by wybierać — trzeba mieć z czego wybierać. Im ludzie będą lepiej wykształceni — im będą mieli szerszy dostęp do informacji tym ów element wolnej woli — czyli decyzji wyboru akcentować się będzie coraz silniej.

Jesteśmy częściowo zdeterminowani — częściowo wolni — lecz nie jesteśmy racjonalni i na tym polega dramat. Gdyby człowiek był racjonalną maszyną wszystkie alarmy na temat apoklipsy atomowej byłyby bezpodstawne. Szczury czy małpy nie podejmą nigdy żadnej akcji, która zagroziłaby gatunkowi jako całości. Boimy się zagłady nuklearnej, ponieważ na dnie duszy uważamy za możliwe, że pewni panowie mając do wyboru wojnę czy pokój — wybiorą wojnę atomową. Zwierzęta na ogół są obliczalne natomiast człowiek jest nieobliczalny. Małpy człekokształtne nie produkują Stalinów i Hitlerów.

Wolna wola bez dostatecznego racjonalizmu jest bardzo wątpliwym darem Bożym. Człowiek musi się uracjonalnić w tym celu, by mógł podejmować słuszne decyzje — to znaczy dokonywać właściwego wyboru. Tylko wówczas współczesna technologia przestanie być mieczem w ręku szalonego.

POLITYCZNE KWIATY

Marszałkowie sowieccy obsypali doktora Husaka kwiatami w czasie bankietu na Kremlu. Tego samego dnia (27. X. br.) dr Husak — w przemówieniu wygłoszonym w Pałacu Kongresowym w Moskwie — podziękował rządowi sowieckiemu za interwencję zbrojną, która uratowała Czechosłowację przed katastrofą.

Dla stalinistów, którzy chcieliby się odegrać za poniesioną klęskę — Husak jest za mało stalinowski. Dla reformistów i postępowców Husak jest zbyt stalinowski. W oczach społeczeństwa, a zwłaszcza w opinii klasy robotniczej — jest kolaborantem.

Korespondenci amerykańskiego *Time* i angielskiego *The Guardian* odmalowują ponury obraz sytuacji w Czechosłowacji. Reformy gospodarcze nie przydadzą się na nic jeżeli ludzie nie chcą pracować. Absenteizm w przemyśle budowlanym wynosi ponad 20 %. W innych gałęziach przemysłu sprawa wygląda jeszcze gorzej. W biurach nie można niczego załatwić, ponieważ urzędnicy pracują po dwie lub trzy godziny dziennie. Brak jest węgla — w sklepach półki świecą pustkami. Sprowadzono brygady robotników polskich, jugosłowiańskich i węgierskich — co osobiście uważam za ryzykowne posunięcie. Robotnicy ci mogą się bowiem „zarazić" czeskim reformizmem, a w każdym razie dowiedzą się od Czechów jak to wszystko naprawdę wyglądało.

Nie jest wykluczone, że Husak podjął się rozwiązania kwadratury koła.

Nie jest wykluczone, że nie będzie w stanie zrealizować sowieckiego „zamówienia społecznego". Co wówczas?

Jeden z moich znajomych Czechów z najnowszej emigracji na powyższe pytanie odpowiedział następująco: Rosjanie nie mogą dopuścić do bankructwa neo-stalinowskiego modelu w Czechosłowacji. Jeżeli Czesi i Słowacy będą sabotować gospodarkę w skali jaką obserwujemy obecnie — Sowiety nie będą miały innego wyjścia jak tylko brak pracy Czechów zastąpić pracą obcych robotników a brak pieniędzy czechosłowackich zastąpić poważnym zastrzykiem gotówki z kasy Kremla. Narzucenie reżymu okupacyjno-wojskowego z generałami sowieckimi jako jedyną władzą w kraju — byłoby równoznaczne z przyznaniem się do całkowitej klęski.

Wiązanki kwiatów składane każdej niedzieli na mogile Jana Palacha mówią więcej o Czechach i Słowakach niż kwiaty, którymi obsypano dra Husaka — choć tak jedne jak i drugie przysłaniają grób.

LONDYŃCZYK

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub $ 5,00, F. 25,00.

Sąsiedzi

Strategiczne możliwości ZSSR

Sowiecka armia jest wychowana w duchu przyjaźni dla człowieka i międzynarodowej wspólnoty proletariatu. Ten duch proletariackiej solidarności, przyjaźni i wzajemnej pomocy stanowi istotę naszej armii.

Szef Sztabu
Marszałek M. V. Zacharow
Sowietskaja Rossija (23 lutego 1969)

Zgodnie z oficjalnym sowieckim określeniem, doktryna wojskowa stanowi podstawowe ramy zapewniające środki i metody rozstrzygania wojskowych problemów na korzyść polityki. Jej podstawowe zasady są ustalane przez kierownictwo polityczne[1], czyli, w rzeczywistości przez komunistyczną partię. Wpływ na doktrynę mają: położenie geograficzne, narodowe cechy ludności, gospodarcze zasoby, ideologie, polityka zagraniczna. Strategia jest podporządkowana doktrynie, bowiem ta ostatnia ustala polityczną linię postępowania i podstawowe zasady.

Wychodząc z tych ogólnych wytycznych, sowieccy wojskowi stratedzy opracowują problemy dotyczące charakteru wojny w przyszłości, przygotowań do rozmaitych odmian konfliktu, organizacji sił zbrojnych i metod prowadzenia działań wojennych. Marszałek Związku Sowieckiego V. D. Sokołowskij i współauto-

Autor, Richard F. Staar, jest podpułkownikiem rez. Marine Corps St. Zj., jest kierownikiem I-go Plutonu, 4-ej Grupy Spraw Cywilnych w Waszyngtonie D.C. Był profesorem zagadnień zagranicznych w Akademii Wojskowej (National War College) (1967-1969) a od 1 lipca 1969 został profesorem nadzwyczajnym Hoover'owskiego Zakładu Wojny, Rewolucji i Pokoju uniwersytetu Stanford. Napisał, między innymi: „Reżymy komunistyczne w Europie Wschodniej" (1967) i „Aspekty nowoczesnego komunizmu" (1968), tę ostatnią książkę jako współautor i redaktor.

1. W. D. Sokołowskij (naczelny redaktor), *Wojenna strategia* (Moskwa, 1968), 3-cie wydanie, str. 42 angielskiego tłumaczenia.

rzy „Wojennej strategii" (3-cie wydanie, 1968) niewątpliwie przesadzają jednak, twierdząc że[2]:

„Kierunek sowieckiej strategii wojskowej nadają: postępowa, rozumna i całkowicie naukowa teoria Marksizmu-Leninizmu; filozofia dialektyczna i historyczny materializm, które pozwalają na naukowe badania i należyte zastosowanie prawideł przesądzających o zwycięstwie w nowoczesnej wojnie".

Dobrze znane i często powtarzane powiedzenie, że „wojna jest przedłużeniem polityki innymi „gwałtownymi środkami" pochodzi od Karola von Clausewitz (1780-1831) a nie od Marksa lub Lenina, chociaż ten drugi zapożyczył je sobie. Zachodni dziennikarze podają jako względnie nowe określenie „międzynarodowe obowiązki" ciążące na sowieckich siłach zbrojnych. Jednak, na pięć dni przed najazdem Czechosłowacji, dziennik ministerstwa obrony ZSSR cytował przemówienie Lenina, przed frontem wojsk maszerujących na Polskę w 1920 roku, o ich „międzynarodowych obowiązkach"[3].

Zaledwie trzy tygodnie później, to samo pismo podało na pierwszej stronie fotografię sowieckich czołgów i załóg z komentarzem, że „wypełniają one międzynarodowy obowiązek pomocy bratniemu czechosłowackiemu narodowi w utrzymaniu socjalistycznych osiągnięć przeciw kontrrewolucyjnym zamachom"[4]. Wiele podobnych przykładów można znaleźć na przestrzeni ostatnich 50 lat. Było również redakcyjne oświadczenie w *Prawdzie* (26 września 1968) tej treści, że formalne założenia suwerenności i narodowej niepodległości nie przeszkodzą wkroczeniu ZSSR w wypadku zagrożenia komunistycznie rządzonych państw przez „kontrrewolucjonistów" (tak zwana Doktryna Breżniewa).

Różne odmiany wojny

Poza działaniami policyjnymi typu czechosłowackiego, rzadko wspominanymi jako możliwe, sowieccy pisarze wojskowi przewidują trzy możliwe odmiany wojen: (1) ogólna, czyli światowa wojna; (2) lokalna, czyli geograficznie ograniczona wojna; (3) narodowo-wyzwoleńcza lub wojna cywilna. Zależnie od jego charakteru, konflikt może być uznany za sprawiedliwy lub niesprawiedliwy. Co najmniej w jednej z wojen oba przymiotniki miały zastosowanie kolejno. Tak, w czasie trwania paktu Hitler-Stalin (1939-1941) światowy konflikt był określany jako „niesprawiedliwy" i zachodni alianci jako imperialistyczni napastnicy. Z dnia na dzień, 22 czerwca 1941, wojna nagle stała się „sprawiedliwą" a Anglicy z Francuzami (również Amerykanie po Pearl Harbour) odtąd i aż po maj 1945 roku — pomocnikami w obronie Rosji.

W bieżącej „epoce", sowieccy miarodajni pisarze wojskowi podkreślają konieczność unikania światowej wojny drogą stosowania polityki pokojowej koegzystencji, jak to potwierdziło kierownictwo polityczne na ostatnim (23-im) kongresie Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Jednak, wedle marszałka Sokołowskiego[5],

„zasada pokojowej koegzystencji nie odnosi się do wewnętrznych procesów walk o klasowe i narodowe wyzwolenie w kapitalistycznych państwach i koloniach. Walka między dwoma ustrojami społecznymi jest i musi być prowadzona środkami pokojowymi — gospodarczymi, politycznymi, ideologicznymi, ale *nie* wojskowymi".

To ustępliwe stanowisko Sowietów może ulec zmianie gdy kierownictwo polityczne uzna, że bezwzględna przewaga wojskowa została osiągnięta. Kluczem do takiej sytuacji może być przyszła potężna naukowo-technologiczna i przemysłowa rozbudowa na którą obecnie kładzie nacisk Partia.

Sowieccy pisarze omawiający zagadnienia strategiczne podkreślają, że wśród głównych środków, zastosowanych w wojnie powszechnej, znajdą się formacje pocisków nuklearnych, to jest ICBM *(Intercontinental Ballistic Missile)*[6]. Ta broń masowego zniszczenia ma rzekomo umożliwić bezpośrednie osiągnięcie postawionych sobie celów. Ale, natychmiast wysuwa się zastrzeżenie: osiągnięcie ostatecznego zwycięstwa wymaga użycia wszelkich innych rodzajów sił zbrojnych, jak armii lądowej, lotnictwa, marynarki i przeciwpowietrznej obrony *(anti-missile defense)*. Potrzeby wielkich mas wojsk wymagają przygotowania równie wielkich rezerw, tak do natychmiastowej walki, jak i dalszych uzupełnień. Dojdzie do nich, w czasie wojny, zmobilizowana cała ludność.

Z pewnością, strategiczne cele ZSSR obejmują jednocześnie zniszczenie sił zbrojnych nieprzyjaciela i jego polityczno-militarnych ośrodków na zapleczu. Oczywiście, główny wysiłek Sowietów będzie skierowany na te drugie, w celu pozbawienia nieprzyjaciela możliwości kierowania i prowadzenia wojny. W konflikcie o charakterze wojny nuklearnej, początkowy okres ma specjalne znaczenie, bowiem ZSSR przewiduje przypuszczalnie użycie w tym

2. Jak wyżej, str. 50.

3. Gen. płk. S. Wasiagin, artykuł o „Obowiązku międzynarodowej lojalności", w *Krasnaja Zwiezda* (15 sierpnia 1968), str. 3; Moskwa. Gdyby Warszawa padła w 1920 r., nic nie zatrzymałoby Czerwonej Armii przed zajęciem Niemiec.

4. *Krasnaja Zwiezda* (8 września 1968), str. 1. Według wiarygodnych informatorów ilość sowieckich dywizji w Czechosłowacji została powiększona o trzy podnosząc ogólną cyfrę do 115.000 ludzi. *The Washington Post* (5 kwietnia 1969 r.), str. A 16.

5. Sokołowskij, jak wyżej, str. 180. Patrz. również uwagę o pokojowej koezgystencji jako przeszłości w „Naukowy komunizm" W. G. Afanasjewa, (Moskwa: Wydawnictwo Politycznej Literatury, 1969), str. 152-153.

6. Pułkownik saperów P. T. Astaszenkow, *Sowieckie wojska rakietowe*, (Moskwa: Wojskowe Wydawnictwo Ministerstwa Obrony ZSSR, 1967), str. 274-277.

Patrz. również artykuł generała-majora Jerzego Nowikowa zatytułowany: „Nie całkowite rozwiązanie", *Krasnaja Zwiezda* (28 czerwca 1968), str. 4, który omawia nową książkę o „Broniach nuklearnych i rozwoju taktyki".

czasie maksymalnej ilości pocisków atomowych i rzucenie do boju większości swych wojsk. Stąd, operacje wojenne tej początkowej fazy będą najbardziej niszczące[7]. Jednak, biorąc pod uwagę potencjalne możliwości, wytrwałość i stanowczość Stanów Zjednoczonych, inni sowieccy autorzy wskazują na konieczność liczenia się z długą i przewlekłą wojną.

Wojna powszechna

Chociaż komentatorzy w ZSSR mają nadzieję uniknięcia wojny atomowej, stwierdzają, jednak, że amerykańska polityka może ją spowodować z któregoś z wielu powodów: (1) fałszywa ocena, że Organizacja Paktu Warszawskiego zamierza uderzyć; (2) ostre zderzenie, w którym NATO przekroczy tę niewidoczną linię w poczuciu zagrożenia swego prestiżu; (3) rozwinięcie się z wojny lokalnej, dzięki wzajemnej sprzeczności żywotnych interesów; (4) przypadek powstały dzięki mylnemu zrozumieniu rozkazu; psychicznemu załamaniu, lub wojskowemu zamachowi stanu.

Niespodziewane uderzenie Zachodu spowodowane jednym z podanych wyżej wypadków, ma znaczenie niezwykłej doniosłości, ponieważ może decydować o wyniku wojny. A zatem, zgodnie z tą sowiecką logiką, należy wyprzedzić ten amerykański atak przez zaskoczenie i charakterze nuklearnego ciosu. Siły zbrojne ZSSR nie tylko muszą być zdolne do reagowania, z kolei, własnym uderzeniem ale, według pewnych wojskowych pisarzy, winny likwidować w zarodku amerykański atak uprzedzającym go ciosem[8].

Ponieważ zaistnieje pilna konieczność decydującego działania, wypływająca z usiłowania przejęcia strategicznej inicjatywy, niektórzy sowieccy autorzy wojskowi uważają za konieczne, by ZSSR uderzył pierwszy. Następujące uszeregowanie wybieranych celów wydaje się prawdopodobne: (1) obszar główny o największym wojennym i gospodarczym potencjale, tj. Stany Zjednoczone, w szczególności północno-wschodnie i zachodnie wybrzeża; (2) najsilniejsze z kolei państwo czyli Niemiecka Republika Federalna, która jest następną po Stanach Zjednoczonych jako potęga przemysłowa; i (3) trzecia pod względem ważności wojennej — Brytania z jej wykwalifikowanymi rezerwami ludzkimi. Jednocześnie z tymi międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi (ICBM), uderzają pociski balistyczne średniego zasięgu (MRBM)

7. Artykuł gen.-mjra W. Zemskowa: „Czynnik czasu i przygotowanie wojska do walki". *Krasnaja Zwiezda* (11 października 1968), str. 2-3.

8. Artykuł na Dzień Sił Zbrojnych, ministra obrony Andrzeja Greczko, zatytułowany: „Zawsze w pogotowiu", *Prawda* (23 lutego 1969), str. 3, zarzucający Stanom Zjednoczonym przygotowania do pogrążenia „świata w otchłań trzeciej wojny światowej".

Pamiętajmy wywiad z Sekretarzem Obrony Melvin R. Laird i stwierdzenie, że ZSSR rozwija możliwości pierwszego uderzenia swymi ICBM. *U.S. News & World Report* (7 kwietnia 1969), str. 33-36.

i pośredniego zasięgu pociski balistyczne (IRBM), oraz podjęte zostaną działania zespołowe szybkich broni konwencjonalnych w celu zdobycia i opanowania zachodnioeuropejskiego przedmościa. Ta inwazja może iść dwoma drogami[9]: (1) przez północnoeuropejską nizinę z Warszawy przez Berlin po Kanał Angielski, lub (2) południem, po osi: Budapeszt-Wiedeń-Monachium[10].

Zajęcie zachodniej Europy (jeśliby miało miejsce), przypuszczalnie byłoby w celu: zniszczenia głównych sił NATO; pozbawienie Stanów Zjednoczonych przyczółka, ułatwiającego późniejszy powrót; opanowanie zasobów dla zastąpienia zniszczonych w ciężko bombardowanym ZSSR; i umieszczenie sowieckich wojsk na bezpiecznym obszarze w wypadku gdyby Stany Zjednoczone wahały się użyć broni atomowej przeciw miastom takim jak Berlin, Paryż lub Rzym. Jasne, że takie operacje wymagają przekroczenia Wschodniej Europy, albo nawet wykorzystanie sił zbrojnych Paktu Warszawskiego do najazdu na Europę Zachodnią.

Do niedawna, większość rozważań na temat paktu Warszawskiego, przyjmowała tak zwane Północne Wiązanie (składające się ze Wschodnich Niemiec, Polski i Czechosłowacji), zupełnie pewne z sowieckiego punktu widzenia. Od czasu gdy 650.000 wojsk wkroczyło do Czechosłowacji w sierpniu 1968 r., lojalność tego państwa jest wysoce wątpliwa. Propaganda ZSSR nie ustaje w przedstawianiu Niemieckiej Republiki Federalnej następująco[11]: Z pomocą swych amerykańskich protektorów, zachodnioniemieccy odwetowcy czynią wielkie wysiłki w celu otrzymania broni atomowych, mając nadzieję wykorzystania ich dla skorygowania istniejących granic w Europie.

Same Niemcy Zachodnie, bez czyjegoś poparcia, z ich sześćdziesięcioma milionami ludności, przedstawiają stosunkowo małe zagrożenie dla ZSSR. Jednak, w oczach Sowietów, Czerwone Chiny i Niemiecka Republika Federalna dążą do wciągnięcia Wschodniej Europy w skład potencjalnej, dwu-frontowej koalicji przeciwko ZSSR. We wczesnych latach sześćdziesiątych, Pekin próbował wykorzystać niezadowolenie wschodnioniemieckiego kierownictwa z chwiejnej polityki Chruszczowa odnośnie Berlina. Radio Pekin atakowało Związek Sowiecki za inwazję Czechosło-

9. Andro Gabelić: „Czy równowaga została zakłócona?", *Borba* (7 września 1968), str. 8; Belgrad. Są to jugosłowiańskie uwagi nie koniecznie pokrywające się z sowieckim sposobem myślenia.

10. Decyzja Stałego utrzymywania na czechosłowackiej granicy z Niemiecką Republiką Federalną, wojsk sowieckich, wzmacnia silnie południowe skrzydło Paktu Warszawskiego. Umowa dotycząca tych wojsk nie wymienia ilości dywizji trzymanych w Czechosłowacji. Tekst umowy podany w *Krasnaja Zwiezda* (19 października 1968), str. 1.

11. Przemówienie radiowe generała armii Iwana G. Pawłowskiego, naczelnego dowódcy wojsk naziemnych, zatytułowane „Na straży pokoju", nadane przez Radio Moskwa (22 lutego 1969), 12.15 czasu średniego zachodnioeuropejskiego.

Brak tego przemówienia w „Apelu" wydanym przez dziesiąte zebranie Politycznego Komitetu Doradczego Organizacji Paktu Warszawskiego w Budapeszcie. Tekst podany w *Krasnaja Zwiezda* (18 marca 1969), str. 1.

wacji i chwaliło antysowieckie demonstracje w tym kraju w audycjach w języku czeskim, polskim, rumuńskim i słowackim[12].

Stąd, obawa dwustronnego zagrożenia wywodząca się z chińskich i zachodnioniemieckich wysiłków (niekoniecznie uzgodnionych) oderwania wschodnioeuropejskich państw od Warszawskiego Paktu i rozbudzenia w nich utajonych terytorialnych pretensji w stosunku do ZSSR. Już w 1964 r., Mao Tse-tung na pytanie o wyspy Kurylskie, postawione mu przez wizytujących japońskich parlamentarzystów z partii socjalistycznej, wyliczył prócz Kurylów, Karelię, trzy państwa bałtyckie, byłe Prusy Wschodnie, wschodnią część Polski, Ruś Zakarpacką, Besarabię i północną Bukowinę, jako te, które winny być zwrócone przez Rosję. Wspomniał własne pretensje, nie wymienione i nie ustalone, do obszarów zagarniętych Chinom przez carską i bolszewicką Rosję. W pięć lat potem, w kwietniu 1969 r., chińska komunistyczna ambasada w Londynie zaczęła rozpowszechniać mapę, na której przedstawiono 400.000 mil kwadratowych obszarów w granicach ZSSR jako oderwanych od Chin drogą „nierównych układów"[13].

Wojny ograniczone

Naturalnie, żaden z wojskowych specjalistów ZSSR nie wysuwa możliwości narodowej wojny mającej na celu oswobodzenie wyżej wymienionych sowieckich zaborów, (takie możliwości są zastrzeżone dla Ameryki Łacińskiej, Afryki, Środkowego Wschodu i Azji przez sowieckich pisarzy). Ten rodzaj wojny jest uznany za „ograniczony" dzięki faktowi, że od 1945 r. ponad 70 konfliktów i interwencji miało miejsce i żaden nie pociągnął za sobą poważnego zatargu między dwoma super-mocarstwami. Komunistyczni pisarze wojskowi dopuszczają możliwość lokalnej czy ograniczonej wojny toczonej w Europie Środkowej, pod warunkiem, że NATO nie użyje w takiej wojnie broni nuklearnych. Użycie tych broni nawet na taktycznym szczeblu, spowoduje szybkie rozprzestrzenienie się konfliktu[14].

Narodowe wojny o wolność miały miejsce, jak dotąd, jedynie w tak zwanym Trzecim Świecie. Kierownicy polityki ZSSR zdają sobie sprawę z trudności jakie spotykają Zachód w prowadzeniu takich wojen. Wskazuje się na Algierię, z której Francja wycofała się po siedmiu latach walki i na Wietnam, gdzie Amerykanie są zaangażowani od 1961 r. — jako przykłady niepowodzenia. W sowieckiej opinii, Zachód nie może wygrywać tych wojen szybko, ponosząc jednocześnie wielkie straty w ludziach i pieniądzach[15]. Zachód traci także na obniżeniu politycznego prestiżu na całym świecie.

Dodatkowo, narodowe wojny o wyzwolenie dają ograniczone możliwości wydajnego zastosowania nowoczesnej broni jak czołgi, ciężka artyleria i samoloty. Wreszcie, ZSSR wierzy przypuszczalnie, że taktyczna broń nuklearna nie będzie użyta w takich wojnach z obawy rozszerzenia się konfliktu, z braku odpowiednich celów i z obawy, że cofnięte w rozwoju państwa (nawet te z Ameryki Łacińskiej) zwrócą się przeciw Stanom Zjednoczonym.

Wojskowe możliwości ZSSR

Jak wspomniano poprzednio, sowieckie naczelne dowództwo przewiduje użycie wszystkich pięciu rodzajów sił zbrojnych w wypadku wojny powszechnej. Najpotężniejsze z pięciu są Wojska Pocisków Kierowanych Strategicznego Przeznaczenia *(Missile Troops for Strategic Designation)*, powstałe w październiku 1961 roku jako oddzielny rodzaj sił zbrojnych. W ciągu czterech lat, czterech kolejnych dowódców stało na ich czele (marszałkowie: Niedielin, Moskalenko, Biriuzow, a bieżąco Mikołaj I. Kryłow). Te częste zmiany mogły wskazywać na niezadowolenie z rezultatów ze strony Chruszczowa, wzrastanie przypisywanego tym wojskom znaczenia, lub oba czynniki razem.

W każdym razie, ocenia się Rakietowe Siły Strategiczne *(Strategic Rocket Forces)* na około 200.000 ludzi dysponujących 1 września 1968 r. około 900 międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi (ICBM), czyli prawie tyle co Stany Zjednoczone[16].

(patrz: uwaga 4 tłumacza)

Ponadto, przypuszcza się, że Strategiczne Wojska Kierowanych Pocisków posiadają około 750 MRBM i IRBM (znaczenie tych skrótów — patrz. wyżej) o zasięgu 1.100 i 2.000 mil, przypuszczalnie nastawionych na Niemiecką Republikę Federalną, Brytanię a nawet Francję. Mogą one by, wspomagane przez zdolne do zmiany stanowisk pociski o stałym paliwie, których zdjęcia ukazują się od czasu do czasu w sowieckich wojskowych dziennikach i periodykach. Największą, spośród rodzajów sił zbrojnych, jest

12. Radio Moskwa (31 marca 1969), wewnętrzny serwis po rosyjsku. Także, artykuł A. Grigoriansa zatytułowany: „W jednym szeregu z dwulicową reakcją: komu Pekin schlebia; nuklearny wrzask nad Renem", w *Trud* (11 marca 1969), str. 1; Moskwa.

13. *The Washington Post* (5 kwietnia 1969), str. A 5.

14. Artykuł Wolfgang Wuenschke, zatytułowany: „Dla wspólnej obrony socjalizmu", *Neues Deutschland* (23 listopada 1968), str. 5; Wschodni Berlin.

15. ZSSR i Czerwone Chiny podpisały umowy pomocy dla Północnego Wietnamu, sięgające podobno po miliardzie dolarów na rok 1969. *Süddeutsche Zeitung* (26 lipca 1968); Monachium.

16. Instytut Studiów Strategicznych, „Równowaga wojskowa 1968-1969 (Londyn, wrzesień 1968), str. 5. Użycie przez niniejszego autora statystyk z tej publikacji nie oznacza potwierdzenia przez niego ścisłości podanych liczb.

Patrz., jednak, 1970 budżet Obrony i Program Obrony na budżetowe lata 1970-1974; Departament Obrony (Waszyngton, D.C., 15 styczeń 1969), str. 42, który podaje te same liczby ICBM. Pamiętajmy też o oświadczeniu sekretarza obrony Laird przed senacką komisją spraw zagranicznych (podkomitet rozbrojenia) z dnia 21 marca 1969.

armia naziemna licząca dwa miliony ludzi w 140 dywizjach. Chruszczow skasował jej oddzielne dowództwo i widocznie podporządkował ją bezpośrednio Szefowi Sztabu. Po jego wyeliminowaniu w 1964, powrócono do poprzedniej organizacji i dowodzi obecnie armią generał armii Iwan G. Pawłowski, który był od kwietnia 1967 r. jednym z wiceministrów obrony ZSSR. Został on zidentyfikowany[17] jako dowódca wojsk okupacyjnych sowieckich wkraczających do Czechosłowacji.

Ocenia się, że około połowy 140 dywizji posiada pełne stany, czwarta część całości wymaga poważnych uzupełnień, a reszta potrzebuje tylko krótkiego czasu by stanąć w gotowości bojowej. Ciekawe jest rozmieszczenie wojsk naziemnych: zwykle jakieś 30 dywizji kwateruje w Europie Wschodniej (Zachodnie Niemcy twierdzą, że w październiku 1968, 42 sowieckie dywizje stacjonowały na zachód od Wisły), z nich, 20 stoi w Niemczech Wschodnich, po cztery w Czechosłowacji i na Węgrzech, i dwie w Polsce; około 59 dywizji w europejskiej części Związku Sowieckiego; około ośmiu w środkowym ZSSR; jakieś 28 dywizji na południu ZSSR (Kaukaz i sowiecka Azja Centralna); i 15 dywizji na sowieckim Dalekim Wschodzie (tj. na wschód od jeziora Bajkał)[18]. Jest jasne, że olbrzymia większość, czyli co najmniej 89 ze 140 dywizji, nastawiona jest przeciw NATO; więc NATO wydaje się stanowić w oczach ZSSR główne niebezpieczeństwo a nie, jak to zakładano, Czerwone Chiny. Zatargi wzdłuż syberyjskiej granicy w marcu 1969 roku nie zmieniły powyższej oceny.

Jakieś 43 z sowieckich dywizji są pancerne; stacjonujące we Wschodniej Europie wspólnie z innymi siłami Paktu Warszawskiego (WTO) posiadają dwukrotnie więcej czołgów niż NATO. Są one uważane za główną siłę uderzeniową, dzięki ich ruchliwości i sile ognia oraz zdolności posuwania się w terenie zarażonym radioaktywnie. Według marszałka „en chef" *(Chief Marshal)* wojsk pancernych ZSSR Pawła F. Rotmistrowa,

> Niewrażliwość czołgów na (taktyczne) atomowe działanie i zdolność przekraczania zakażonych obszarów i wodnych przeszkód, czyni z nich (czołgów) naziemną broń o największych możliwościach. A jeżeli się uprzytomni, że lotnictwo jest zdolne do wsparcia działania czołgów z powietrza, nie jest trudno zrozumieć jak ważne są obecnie zgrane działania broni pancernej i lotnictwa..."[19].

Czołgi 43 dywizji pancernych będą użyte do wykorzystania sowieckich uderzeń atomowych.

Mimo że większość sił naziemnych (88 na 140 dywizji) stanowią zmotoryzowane dywizje piechoty, ZSSR posiada także siedem dywizji powietrzno-desantowych, w sumie 50.000 spadochroniarzy. Przy obecnych możliwościach przewozu powietrznego, tylko trzy z tych jednostek z formacjami wsparcia mogą być jednocześnie przewiezione na krótkie lub średnie odległości. Jednak, latający na pokazach lotniczych w Moskwie, w lipcu 1967 r., wielki AN(tonow)-22 „powietrzny autobus" może zwiększyć te możliwości, kiedy zacznie opuszczać fabryki w większych ilościach. W operacji czechosłowackiej 21 sierpnia 1968 r., sowiecki most lotniczy zademonstrował lądowanie 250 cztero-silnikowych transportowców w odstępach 50 sekund, przewożąc na lotnisko Rużyne koło Pragi pełną dywizję.

Ze strategicznego punktu widzenia, bardziej interesujące są inne rodzaje lotnictwa ZSSR dowodzonego przez marszałka Pawła S. Kutachowa. Lotnictwo dalekiego zasięgu dysponuje około 155 międzykontynentalnymi bombowcami[20], również 50 tankowców może być użyte do tego samego celu. Dodatkowo, około 750 średniego zasięgu bombowców może osiągnąć cele w Stanach Zjednoczonych ale pod warunkiem uzupełnienia paliwa w przelocie i bez możliwości powrotu. TU(polew)-144 ponaddźwiękowy transportowiec cywilny wykonał swój pierwszy lot 31 grudnia 1968 r. i możliwe, że po przystosowaniu, będzie mógł służyć jako bombowiec w wypadku wojny. Około 150 długo-dystansowych samolotów pasażerskich Aerofłotu obecnie w użyciu, może być przystosowane do wojennego użycia w celach strategicznych. Siedem nowych typów sowieckich samolotów latało na moskiewskich pokazach lotniczych w 1967 r.

Sowiecka marynarka sformowała operacyjnie niezależne floty na dwu morzach i dwu oceanach. Pod względem tonażu ustępuje jedynie Stanom Zjednoczonym i posiada 1.326 okrętów plus dalszych 1.000 pomocniczych i specjalnych statków. Dowodzi admirał floty Związku Sowieckiego, Sergiusz G. Gorszkow. Marynarka ZSSR nie posiada lotniskowców i tylko jeden okręt-matka dla helikopterów (Moskwa, obecnie na morzu Śródziemnym) jest w służbie, a drugi, Leningrad, przechodzi morskie próby. Ostatni krążownik zbudowano w 1957 r., ale ten typ okrętów został zmodernizowany i wyposażony w pociski balistyczne: powierzchnia-powierzchnia i powierzchnia-powietrze. Uwaga skupia się na okrętach podwodnych liczących obecnie 380, lecz tylko 50 o napędzie nuklearnym[21].

Cztery podwodne floty są rozmieszczone następująco: około

17. *The New York Times* (28 września 1968), str. 15.

18. „Równowaga wojskowa 1968-1969, str. 6; skorygowane w marcu 1969. Minister obrony Federalnej Republiki Gerhard Schröder był przytaczany przez *The New York Times* (9 października 1968).

19. Artykuł w *Izwiestia* pisany na „dzień czołgisty", (8 września 1968), str. 1; Moskwa.

20. Patrz. Senat St. Zj., Komitet Sił Zbrojnych: „Program taktycznych sił powietrznych St. Zj." (Waszyngton, D.C., 4 października 1968), str. 3; uwagi o lotnictwie ZSSR.

1 kwietnia 1969, osiem do dziesięciu TU-16 dwusilnikowe turbo-odrzutowce „Borsuki" przelatywały w odległości 65 mil od Alaski. Był to jeden z 36 podobnych wypadków w pobliżu Północnej Ameryki w ostatnich 15 miesiącach. *The New York Times* (9 kwietnia 1969), str. 3.

21. „Przypuszcza się, że sowieckie stocznie okrętów podwodnych są zdolne do budowy ponad 20 okrętów nuklearnych na rok", według: Komitetu

70 okrętów na Bałtyku, 170 na oceanie Lodowatym, 40 na morzu Czarnym i 100 na Pacyfiku[22]. Nowy typ okrętu podwodnego, podobny do amerykańskiej Polaris, jest budowany w tempie jednego lub dwóch na miesiąc. Będzie wyposażony w 16 pocisków w porównaniu z trzema w jakie przeciętnie są uzbrojone, 13 nuklearnych i 30 zwykłych okrętów zdolnych do odpalenia pocisku z zanurzenia. Dodatkowo, następnych 25 nuklearnych i 30 zwykłych okrętów posiadają, przeciętnie, sześć przeciw-żeglugowych pocisków kierowanych (anti-shipping cruise missiles) o zasięgu 300 mil[23]. Ostatnie mogą być również uważane za potencjalne zagrożenie, nie tylko dla żeglugi, ale i amerykańskich instalacji nadbrzeżnych.

Należy tu przynajmniej wspomnieć o piechocie morskiej ZSSR, liczącej zaledwie 8.000 ludzi w porównaniu do pół miliona czasu drugiej wojny światowej. Została ona odtworzona i wyposażona w specjalne statki transportowe oraz w 100 amfibijnych łodzi do lądowania, wzorowanych na używanych przez Marine Corps Stanów Zjednoczonych. Formacje piechoty morskiej przydzielone są do wszystkich czterech flot sowieckich. Nowe statki do lądowania czołgów pojawiły się w 1967 r. i pewna ich ilość znajduje się obecnie na wchodnim morzu Śródziemnym[24].

Jedną ze słabych stron sowieckiej marynarki i jej piechoty morskiej jest brak dobrze bronionych baz, położonych poza „Blokiem" i wypływająca stąd konieczność długodystansowych operacji. Należy pamiętać o możliwości zaradzenia temu przy pomocy, przede wszystkim, Zjednoczonej Republiki Arabskiej i Algierii. Odpalane w zanurzeniu pociski balistyczne są w tyle za amerykańskimi pod względem ilości, jakości i zasięgu, ale te cechy ulegają prawdopodobnie poprawie. Dwie z czterech flot (Czarnomorska i Bałtycka) mają ograniczone możliwości operowania, chyba że sforsują Bosfor-Dardanele, względnie Kattegat-Skagerrak. Wreszcie, ogromna granica morska tworzy trudność jej obrony.

W skład sił zbrojnych wchodzi także PWO-Strany czyli Przeciwpowietrzna i Przeciwpociskowa Obrona Kraju. Powstała w końcu 1959 r. jako samodzielny rodzaj sił zbrojnych, dowodzona jest przez marszałka Związku Sowieckiego Pawła F. Batytskij. Pociski ziemia-powietrze używane przez PWO-Kraju i poddane próbom w Północnym Wietnamie, strąciły, jak mówią sprawozdania, zaledwie 76 samolotów St. Zj. na 4.000 pierwotnie wystrzelonych[25].

Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów, „Stan okrętów Wojennych" (Waszyngton, D.C., 1969), str. 227; oświadczenie marynarki St. Zj.

22. „Aerospace International", IV, No 6 (listopad-grudzień 1968), str. 14; cytuje *The Military Balance 1968-1969*, str. 7.

23. „Program okrętów podwodnych St. Zj. „senackiego Komitetu Sił Zbrojnych (Waszyngton, D.C., 23 września 1968), str. 1-2, podaje szczegóły sowieckiej rozbudowy.

24. Świetna analiza wiceadmirała Fryderyka Ruge: „Dążenie Sowietów do ciepłych mórz", *Die Wehrkunde*, XVII, No 7, (lipiec 1968), str. 338-342.

Ze strategicznego punktu widzenia, ważniejsze są przeciwbalistyczne pociski (ABM) rozmieszczone wokoło Moskwy. Stosowane tam wielofazowe pociski „Galosz" o stałym paliwie, mają przypuszczalnie głowice bojowe o jednym do dwu megatonów i zasięg kilkuset mil[26].

Wnioski

Chociaż dążenia i cele są trudne do ustalenia z jakąkolwiek dokładnością, autor jest zdania, że czynniki decydujące na Kremlu kładą więcej nacisku na osiągnięcia zaczepnej strategii. Jednocześnie z ilościowym wzrostem pocisków między-kontynentalnych, istnieje system bombardowania „w ułamku orbity" (fractional orbit ombardement system — FOBS) wspominany przez obecnego ministra obrony St. Zj., Melvin R. Laird, w lutym 1969 roku na konferencji prasowej i przed senackim komitetem spraw zagranicznych. 13-ta próba FOBS miała mieć miejsce w dniu 2 października 1968 r. pod przykrywką wystrzelenia Cosmos-244[27].

Inny niebezpieczny objaw, od czasu usunięcia Chruszczowa, można zaobserwować w budżecie obrony Związku Sowieckiego.

SOWIECKI BUDŻET OBRONY, 1965-1969
(w miliardach rubli)

Rok	*Budżet wojskowy*	*% budżetu państwowego*	*W ocenie amerykańskiej (w dolarach) jedynie badania wynoszą:*
1965	12,8	(12,6)	5,4
1966	13,4	(12,7)	6,5
1967	14,5	(13,2)	7,2
1968	16,7	(13,5)	13,0 (przypuszczalna ocena)
1969	17,7	(13,2)	13,0-17,0 (—— " ——)

Suma budżetu wojskowego winna być może potrojona dla właściwego zobrazowania faktycznych wydatków. Na przykład, nie jest wykazany koszt bojowych głowic nuklearnych, ukryty w budżecie ministerstwa średniego przemysłu. Kierownik działu badań w Pentagonie, dr John S. Foster jr., ocenił, że w roku 1968 ZSSR wyda równowartość trzynastu miliardów dolarów amerykańskich jedynie tylko na badania związane z obroną, zagadnieniami nuklearnymi i przestrzenią kosmiczną. W porównaniu Sta-

25. *The New York Times* (2 października 1967).

26. *Aerospace International*, jak wyżej, str. 12.

27. *The New York Times* (9 października 1968); *U.S. News And World Report* (3 marca 1969), str. 12.

Kosmos-276 i 277 zostały wystrzelone 4 kwietnia 1969, oba w tym samym dniu. *Krasnaja Zwiezda* (5 kwietnia 1969), str. 1.

ny Zjednoczone wydały na powyższe dziewięć miliardów. Wnioski z powyższego są oczywiste[28].

Richard F. STAAR

(Przełożył z angielskiego Tadeusz NOWACKI)

UWAGI TŁUMACZA:

Wydaje się niezbędne podać parę uwag wyjaśniających:

Uwaga 1) — Artykuł powyższy ukazał się w czerwcu 1969 r. w „Marine Corps Gazette" (fachowy periodyk dla Marines Stanów Zjednoczonych).

Uwaga 2) — Świadomie unikałem tłumaczenia terminu: Marine Corps. Dawniej przyjęte określenie: piechota marynarki (francuskie: l'infanterie de marine, rosyjskie: morskaja piechota) a dotąd stosowane w ludowym wojsku w Polsce — nie odpowiada prawdzie w wypadku amerykańskim. Amerykańscy Marines tworzą szereg całkowitych dywizji o wszelkich rodzajach broni i służb, oraz posiadają własne lotnictwo.

Uwaga 3) — Ze zrozumiałych powodów, dawny termin: obrona przeciwlotnicza zastąpiono nowym: obrona przeciwpowietrzna jako obejmującym, prócz lotnictwa, pociski balistyczne.

Uwaga 4) — Wykres podany w artykule obrazuje wzajemny ilościowy stosunek ICBM Stanów Zjednoczonych i ZSSR. Nagłówek wykresu: Rosja nadrabia różnicę w ilości ICBM. Wykres wykazuje: stosunek ilościowy od roku 1966: 934 (St. Zj.) — 340 (ZSSR); 1967 r.: 1,054 - 720; 1969: równowaga obu stron — 1.035; przewidywania na rok 1972: ZSSR — 1.250 przy St. Zj. cyfrze z 1969 r. — 1.054.

Komentarz przy wykresie: kierownicy wywiadu przewidują, że jeżeli tempo produkcji pozostanie takie same, do 1972 r. Zw. Sowiecki wysunie się znacznie naprzód przed Stany Zjednoczone w ilości ICBM na wyrzutniach. Prezydent Nixon musi zadecydować czy współzawodniczyć z Sowietami w ICBM czy oprzeć się o inne wymiary siły nuklearnej dla przedstawienia wojennej przewagi jaką, jego zdaniem, posiada nad Rosją.

28. Senacka Komisja Sił Zbrojnych: „Oświadczenie dra John S. Foster jr., Dyrektora Obrony", „Przesłuchania na temat stanu strategicznej mocy St. Zj." (Waszyngton, D.C., wrzesień 1968), str. 90. Cyfra odnośnie do Stanów Zjednoczonych figuruje w *The Washington Post* (6 stycznia 1969), str. A 13.

W sowieckiej prasie

Przegląd prasy sowieckiej za ostatnie dwa miesiące należy zacząć od nowej powieści Wsiewołoda Koczetowa, zajmującej czołowe miejsce w 9 i 10 numerach *Oktiabra*. Trzeba zacząć od tej powieści naturalnie nie dlatego, że jest to wybitne dzieło literackie. Literatury tu w ogóle nie ma. Nowe dzieło Koczetowa jest jeszcze gorsze, w literackim tego słowa znaczeniu (jeśli to w ogóle możliwe), od jego poprzedniej powieści „Kąt odbicia", która pretendowała do tegorocznej leninowskiej nagrody. Ale po raz pierwszy w ciągu ostatnich 25 lat pojawił się w literaturze

sowieckiej utwór, w którym tak otwarcie, tak bezwstydnie i tak do końca został wyłożony program najbardziej rozpasanego stalinizmu. Powieść Koczetowa nie jest jeszcze zakończona. Ostatnia część będzie opublikowana w numerze listopadowym, ale na koniec można nie czekać — wszystko zostało już powiedziane.

Koczetow jawnie i gwałtownie atakuje tzw. liberałów i, co jest nowością — tzw. słowianofilów, których przystanią stała się *Młoda gwardia*.

„Czego ty chcesz?" — tak brzmi tytuł tej powieści. Przede wszystkim Koczetow opowiada czego chce „Nowy Świat". Głównym tematem powieści jest przyjazd do Związku Sowieckiego grupy imperialistycznych szpiegów: Amerykanka, Niemiec — były faszysta i rosyjski emigrant służący w armii hitlerowskiej — wysłany przez angielskie wydawnictwo *Nowy świat. (Nowyj Mir)*. Co prawda w tekście wydawnictwo to nazywa się po angielsku: *New World*. A więc czego chce *Nowyj Mir*, onże *New World?* „Rozkład, poderwanie ideologicznych i moralnych podstaw sowieckiego społeczeństwa — oto na co w Londynie... zdecydowano się wydać kilka dziesiątków tysięcy funtów sterlingów".

Ze szpiegami, a w każdym razie z zachodnim światem, nawiązują kontakt i „Słowianofile". Karykaturalnie jest przedstawiony jeden z ideologów słowianofilstwa, znany i w Polsce (była tam jego wystawa), artysta-malarz Ilja Głazunow. U Koczetowa — Antonin Swiesznikow. (W powieści jest dużo łatwo rozpoznawalnych moskiewskich pisarzy i artystów).

A czego chce sam Koczetow? Tu dochodzimy do sedna sprawy. Rozmawia dwóch pozytywnych bohaterów: kierownik jednego z ministerstw ciężkiego przemysłu, Siergiej Antropowicz, i jego syn, inżynier Feliks.

Syn: — Stalin nie przygotował się do wojny. Został zaskoczony.

Ojciec: — Nie powtarzaj świadomych oszczerstw jednych i wulgarnych uproszczeń filistrów. Zrobiono wszystko to, co najważniejsze: do wojny, do masowej produkcji najbardziej nowoczesnej broni nasz przemysł był przygotowany a produkująca chleb gospodarka wiejska wykazała nadzwyczaj wytrzymałość — dlatego, że była całkowicie skolektywizowana. I że nie było żadnej „piątej kolumny", gdyż w swoim czasie został zlikwidowany kułak i rozgromiono wszystkie ślady opozycji w partii.

Przekreślając decyzje XX i XXII Zjazdów — Koczetow chce powrotu do najgorszych metod stalinowskiego reżymu, przede wszystkim jeśli idzie o likwidację „piątej kolumny". Wy czujecie się bezpiecznie, mówi do syna Siergiej Antropowicz, wyraźnie zapatrzony w „wiadome organy". „Wy zbytnio zawierzyliście syrenom pokoju, i zagranicznym i naszym własnym. Waszym symbolem stał się biblijny gołąb z oliwną gałązką w dziobie. A któż go wam podsunął zamiast sierpa i młota? Gołąb jest z biblii a nie z marksizmu". Mimochodem zauważmy, że tutaj Koczetow-Siergiej Antropowicz idzie dalej od samego Stalina, który przecież „zatwierdził" gołębia, co prawda tylko „na eksport".

Wszystko było dobre w dawnych czasach, a główna bohaterka powieści, nieszczęsna ofiara włoskiego komunisty-rewizjonisty, niekochającego Związku Sowieckiego, uważa, że wszystkie jej nieszczęścia są związane ze zniesieniem stalinowskiego zakazu małżeństw z cudzoziemcami.

I jeszcze jedna sprawa przyciąga uwagę w powieści „Czego ty chcesz?" Prawie na dwóch stronach Koczetow wylicza rosyjskie emigracyjne pisma wychodzące w Nowym Jorku, Paryżu, Monachium, nazwiska redaktorów i czołowych współpracowników. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich 30 lat pojawiła się w sowieckiej prasie tak szczegółowa informacja o wydawnictwach emigracyjnych. Czego chce Koczetow? Można przypuszczać, że rosyjska prasa emigracyjna w znacznie większym stopniu niż poprzednio zaczęła docierać do ZSSR. Stosunkowo do niedawna w Moskwie patrzono na to przez palce. Wrzucając wszystkie emigracyjne wydawnictwa do jednego worka, ogłaszając je organami amerykańskiego wywiadu — Koczetow wzywa do czujności wszystkich wiernych stalinowców. Śledźcie czytających szpiegowskie książki, donoście na nich!

Trzeba zaznaczyć, że Koczetow w tym wypadku, jak i we wszystkich innych, wypełnia kolejne „zamówienie społeczne". W sowieckich pismach i periodykach pojawiła się ostatnio ogromna ilość materiału o emigracji, o jej dywersyjnej działalności. Wystarczy stwierdzić, że tylko w oficjalnym, rządowym organie *Izwiestia* w ciągu sześciu tygodni — we wrześniu i do połowy października — ukazały się trzy opracowania poświęcone emigracji.

Stalinowcy rosną w siłę, ale jeszcze nie można powiedzieć, że uzyskali decydujące zwycięstwo. Nie udało im się, na przykład, zlikwidować miesięcznika *Nowyj Mir*, mimo gwałtownych ataków wysuwanych latem bieżącego roku. Atak na naczelnego redaktora tego pisma, Aleksandra Twardowskiego, prowadzono ze wszystkich stron: od *Prawdy*, *Sowieckoj Rossiji* do *Socjalisticzeskoj Industrii* i *Ogońka*. W *Socjalisticzeskoj Industrii* wystąpił jakiś prosty, sowiecki człowiek, robotnik fabryczny, oskarżający *Nowyj Mir* o publikowanie „brudnych, bezideowych utworów", „antypatriotycznych opracowań" itd. Potem wyjaśniło się, że ten prosty, sowiecki robotnik był kandydatem na członka Centralnego Komitetu. W *Ogonkie* jedenastu pisarzy domagało się zmian w *Nowym Mirze*, a w ich liczbie było szereg członków redakcji *Młodej Gwardii*.

Mimo to *Nowyj Mir* wytrzymał; odpowiedział w numerze lipcowym, podpisanym do druku 29 sierpnia, w redakcyjnym artykule, w którym poradził, by nie uczyć go patriotyzmu, i zaczął wychodzić bardziej regularnie niż poprzednio. Widocznie wśród sowieckiego kierownictwa znaleźli się wpływowi opiekunowie Twardowskiego, chcący mieć możność nieoficjalnego odpowiadania stalinistom typu Koczetowa, „słowianofilom" typu Sołouchina i Czałmajewa.

Nowyj Mir już dawno przestał być interesujący jako pismo

literackie. Ciekawego materiału należy szukać w drugiej części miesięcznika, w dziale krytyki, bibliografii, itd. W ostatnim, 8-mym numerze tego pisma jedynym ciekawym materiałem jest duży artykuł Ju. Czerniczenki pt. „Kłos południa". Z tej, zdawałoby się, fachowej pracy czytelnik dowiaduje się o żywiołowej katastrofie, która nawiedziła Ukrainę i najbardziej urodzajne ziemie Rosji — czarnoziemny Kubań. W prasie prawie nie było o tym wzmianek, jakkolwiek gazety starały się zmniejszyć rozmiary katastrofy. 25 marca rb. gazeta *Sowieckaja Rossija* podała: „Rezonans w Rosji o burzach piaskowych, które dotknęły Kubań, okazał się znacznie silniejszy od samej burzy i jej następstw. Główne nasze bogactwo — czarnoziem Kubania, jest cały — calutki. Zmiecenie górnej warstwy nie przekraczało kilku centymetrów". Czerniczenko komentuje to optymistyczne oświadczenie: „Utrata każdego centymetra czarnoziemu oznacza, że hektar ziemi traci 80 kg. fosfatu, 390 kg. azotu, około 6 ton organicznych pierwiastków" i dodaje: „Żeby utworzyły się 3 centymetry czarnoziemu przyrodzie potrzeba na to od 3 do 10 wieków". Czerniczenko pisze, że w rejonach Kubania, w ciągu tygodnia, zmiotło powierzchnię o 7-8 centymetrów". „Zawiało sady, płoty, zawiało domy — do okien, a gdzieniegdzie do dachów".

W drugim numerze miesięcznika *Młoda gwardia* (1968 rok) poeta i członek redakcji pisma, W. Cziwilichin, ogłosił artykuł pt. „Ziemia w nieszczęściu". Pisał w nim o Ukrainie, która traci rok rocznie dziesiątki tysięcy hektarów urodzajnej ziemi, zmywanej sztucznymi morzami, które powstały w trakcie wykonywania gigantycznych „planów przekształcania przyrody". Co prawda **Cziwilichin całą winę za katastrofę**, która nawiedziła Ukrainę, przypisuje „okresowi gospodarczych wahań, w którym wykonywanie planu zostało zahamowane". Cziwilichin ma na myśli znamienity stalinowski plan zalesiania. „Nie bez racji wielu uważa" — pisze on — „że gdyby wszystko odbywało się normalnie, to możliwe, że w portach Odessy, Nikołajewa, Chersonia i Noworosyjska nie trzeba byłoby rozładowywać zamorskiego ziarna, a czerwone złoto nie leżałoby obecnie w amerykańskich safe'ach".

Czerniczenko zgadza się z Cziwilichinem w ustaleniu rozmiarów klęski. Ale powątpiewa czy wykonanie planu zalesienia mogłoby uratować sytuację. Przede wszystkim — pisze Czerniczenko — trzeba wyjaśnić co rozumiemy pod słowem „normalne" i wylicza błędne wytyczne stalinowskiego kierownictwa gospodarstwem wiejskim.

„Nie" — pisze Czerniczenko — „nie były normalnymi stosunki między państwem a kołchozem i tu leży główne źródło katastrofy. Z tego powodu, w konsekwencji, powstały burze piaskowe, gigantyczna erozja powierzchni ziemi na milionach hektarów, w Kazachstanie, na Ukrainie i Kubaniu.

I jednocześnie razem z tym strasznym obrazem planowego niszczenia urodzajności ziemi, sowiecka prasa zamieszcza równie straszny obraz planowego niszczenia zebranego zboża. W roku bieżącym ziemie dziewicze dały niezły urodzaj. Ale oto co pisze

3 listopada w *Izwiestiach* urzędnik odpowiedzialny za dostawy zboża: „Elewatory i punkty zbiorcze są zawalone ziarnem ale nie możemy ich rozładować zgodnie z planem — nie ma wagonów. We wrześniu kierownictwo Kazachskiej Kolei powinno było wywieźć 2 miliony ton zboża, a wywieziono tylko połowę". W przekładzie na język normalny oznacza to, że milion ton zboża czeka pod deszczem i śniegiem na załadunek do „zaplanowanych" wagonów, których nie ma.

◆

6 września *Izwiestia* zamieściła artykuł „zasłużonego działacza sztuk", reżysera teatralnego W. Komisarzewskiego, w którym domaga się on, aby w bieżącym sezonie teatralnym główne miejsce w repertuarze zajęły sztuki o Leninie i utwory o ofiarach chińskiej prowokacji. Jeszcze 11 października ta sama gazeta opublikowała „dokumenty o zbrojnych prowokacjach Chin na granicy sowiecko-chińskiej" z fotografiami i koszmarnymi szczegółami. Ale następnego dnia ukazała się krótka wzmianka o spotkaniu Kosygina z Czu En Lai i Chiny zniknęły ze szpalt pism sowieckich.

◆

Sowiecka prasa wybiła rocznicę wejścia w życie nowego prawa o powszechnej służbie wojskowej. Te nowe przepisy przewidują obowiązkowe przygotowanie wojskowe młodzieży jeszcze przed właściwą służbą wojskową. Młodzież winna zapoznać się z regulaminami, obchodzeniem się z bronią, nauką strzelania, ale główny nacisk winien być położony na „ideowo-patriotyczne wychowanie podrastającego pokolenia, moralno-polityczne przygotowanie młodzieży do wypełnienia zaszczytnego obowiązku wojskowego, zaszczepienie w niej miłości do ojczyzny i stałej gotowości do obrony interesów socjalistycznego państwa". Ten oficjalny żargon rozszyfrowuje podpułkownik B. Demin w artykule zamieszczonym w wojskowym piśmie *Kommunist Woorużennych Sił* (Nr 13, 1969) pt.: „Nienawiść do wroga — nieodzowna strona patriotyzmu sowieckich żołnierzy". I okazuje się — zupełnie jak u Orwella — że miłość to nienawiść. „Sprawiedliwa, godna pochwały nienawiść do imperialistycznych agresorów" — pisze Demin — „i dzisiaj jest najwyższym dowodem miłości ojczyzny". Ppłk Demin martwi się, że młode pokolenie sowieckie nie przeszło „szkoły nienawiści" i dlatego w ZSSR spotyka się niedojrzałych w sensie politycznym młodzieńców, którzy „podzielają rozkładowe poglądy o humanizmie". Ciekawe, że pracując nad swoim artykułem B. Demin nie mógł jeszcze znać świetnej formuły Koczetowa o szkodliwym „biblijnym" gołębiu pokoju.

Artykulik Demina ukazał się, przed spotkaniem Kosygin - Czu En Lai dlatego czytamy w nim: „Uczucie nienawiści narodu sowieckiego przejawia się w stosunku do wszystkich reakcjonistów i ich zwolenników, usiłujących — na wzór maoistów — zahamować wzrost sił światowego socjalizmu. Mao Tse-tung i jego pachołki, zerwawszy z marksizmem-leninizmem i proletariackim internacjonalizmem zwąchali się z imperialistami w prowokacyjnych atakach na Związek Sowiecki".

Trzeba przyznać, że apele podpułkowników Deminych nie pozostają bez echa, wychowanie w nienawiści wydaje swoje owoce. „Nowy sowiecki człowiek" przyzwyczaja się reagować na wszystko co mu się osobiście nie podoba w sposób jednakowy: zniszczyć, zlikwidować, zakazać.

W *Literaturnoj Gaziecie* z 29 października pisarz A. Raskin nawiązuje do swego felietonu, zamieszczonego latem w tym samym piśmie. W międzyczasie otrzymał on wiele listów od czytelników. Felieton nie poruszał spraw politycznych czy spraw państwowej wagi. Raskin pisał o stosunku do kobiet, o modzie kobiecej, a specjalnie o mini-spódniczkach. Pisał, że jemu osobiście mini-spódniczki raczej się nie podobają, ale młode dziewczyny mogą sobie na to pozwolić. Czytelnicy w ogromnej większości skrytykowali kompromisowe stanowisko felietonisty do imperialistycznego wymysłu. Zażądali, by zakazano noszenia mini-spódniczek w Związku Sowieckim, a ktoś, wychowany w duchu miłości do ojczyzny i w nienawiści do wrogów, zażądał wierszem:

I żeby moda
nie hańbiła nas
Trzeba tę importowaną modę likwidować jako klasę.

Adam KRUCZEK

Lenin za gumę do żucia (2)

Ulica Roosevelta w Jałcie

Lotnisko w Symferopolu, na którym ląduje nasz samolot z olbrzymim napisem *„Aerofłot"*, obsługuje większą część półwyspu krymskiego, a więc i Jałtę, do której udajemy się z lotniska wspaniałym autokarem „Inturista". W prostej linii jest do Jałty około 60 km., ale ponieważ trzeba ominąć pasmo gór, więc podróż zajmuje około dwie i pół godziny. Mimo bólu w uszach (regulacja ciśnienia w samolotach „Aerofłot'u" pozostawia wiele do życzenia) śpiewamy na cały głos. Kiedy dochodzimy do rosyjskich piosenek, kierowca też się włącza tubalnym basem, przy czym o mało nie wpada na jakąś „Wołgę".

Jałta — to miasteczko malutkie, zapełnione turystami. Nie ma w ogóle sloganów partyjnych na ulicach, ale za to są automaty z wodą sodową — o jeden krok lepiej niż w Polsce, gdzie tę

samą wodę sodową sprzedają jeszcze proletariuszki w specjalnych budkach na kółkach. Nasza *gostinica* znajduje się właśnie niedaleko takiego automatu, na ulicy Roosevelta. Jest stara i ponura. Po otrzymaniu w recepcji specjalnego kwitka, upoważniającego nas do zajęcia pokoju, z dwoma kolegami (pokoje są na trzy osoby) udaję się na górę. Tym razem *dyżurnyje* nie siedzą w pokojach; biurka ich są wystawione na korytarz, żeby nie było wątpliwości co do ich czułej opieki nad nami. W zamian za kwitek, „nasza" dyżurna daje nam klucz, pytając przy tym, dlaczego nie mamy walizek. Odpowiadamy, że bagaż jechał osobno z lotniska i jeszcze go nie ma. Dyżurna mruczy coś pod nosem sceptycznie, dodając, żebyśmy nie hałasowali w nocy, a następnie prowadzi nas do pokoju, podobnego do pokoju w *„Jarosławskiej"*. Na stole leży sterta broszur „Inturista". Mówimy dyżurnej, że *„komnata priekrasnaja"* i szybko zbiegamy na dół po walizki. Ponieważ bagażu jeszcze nie przywieziono, więc rozglądamy się po hall'u wejściowym — na jednej ścianie afisz „Inturista", na drugiej portret Lenina. Wkrótce przed hotel zajeżdża *gruzowik* z walizkami, które wyładowujemy w obecności tłumu lokalnych gapiów, w którym znajdują się nieodzowni *biznesmieni*. Żałujemy, że nasz zasób gumy i długopisów jest już prawie wyczerpany bo wybór znaczków staje się bardziej różnorodny: do zwykłego Lenina dochodzi Lenin z profilu i Lenin jako dwuletnie dziecko (wyjątkowo bez brody, ale za to oprawiony w czerwoną gwiazdę). Któryś z chłopców nawet dostaje znaczek z dwoma brodaczami, których Tania identyfikuje jako Marksa i Engelsa; jeśli chodzi o Marksa, to mamy ogólne pojęcie co on za jeden, natomiast z Engelsem jest nie lepiej niż z tym Kalininem spod Kremla. Zresztą w tym momencie bardziej nas obchodzą walizki niż jakiś Engels, ponieważ chcemy jak najprędzej się zadomowić w hotelu i zjeść kolację. Nie mamy niestety w okolicy szkoły specjalnej, więc na zwiedzanie zmuszeni jesteśmy poczekać do jutra.

Siedziba wszechmogącej trójcy

Czwartek, 14. Na rano jest oczywiście zaplanowana ogólna tura po mieście. Przed hotelem kręci się jakaś wystraszona pani, która na nasz widok najpierw chce uciec, ale zatrzymuje ją Tania. Chcąc nie chcąc, podchodzi do naszej grupy i przedstawia się jako Gala, czy coś w tym rodzaju, a następnie zaprasza nas grzecznie do czekającego autokaru. Ku jej niezadowoleniu, Tania też wchodzi. Rola Tani, czyli kontrola nad lokalnymi przewodniczkami, jest naiwnie oczywista. Gala rzuca w stronę kierowcy: *„Nu, tak pojechali"*, i autokar rusza.

Tura po mieście potwierdza tylko nasze pierwsze wrażenie: wszędzie roi się od turystów i maszyn z wodą sodową. Hotel, okazuje się, jest w centrum miasta; nieopodal jest plac z główną pocztą i pomnikiem Lenina, nieco dalej jest przystań i plaża. Całość jest raczej niepozorna i wracamy do hotelu specjalnie nie zachwyceni. Bardziej nas podnieca prospekt meczu piłki nożnej — co prawda miał być z Pionierami, ale Gala mówi, ze tego się nie da urządzić, więc możemy grać tylko z lokalną drużyną młodzików. Ale to ma być dopiero jutro.

Po obiedzie jedziemy do miejsca gdzie odbyła się w lutym 1945 roku sławna Jałtańska Konferencja. Jest to teraz — a może było i wtedy — jakieś sanatorium i historyczny aspekt budynku jest drugorzędny. Gala chce przede wszystkim pochwalić się jego zaletami dla kuracjuszy. Konferencja jako taka jest upamiętniona dwoma tabliczkami metalowymi przy wejściu, na których wyryto — na jednej po rosyjsku, na drugiej po ukraińsku — dane dotyczące Konferencji, czyli datę i nazwiska biorących udział. Z tych „biorących udział", Churchill jest najmniej ważny — Gala kilka razy mówi „Stalin i Roosevelt" i musimy jej o nim przypominać. Wreszcie, żeby nas przekonać, że ona też pamięta o Churchillu, Gala mówi: „A to jest ulubiona ławka Churchilla". Osobiście w to nie wierzę, bo ławek takich jest pełno w okolicy, a poza tym trudno byłoby wymyślić bardziej niewygodną ławkę niż ta, ale wszyscy patriotycznie ustawiają się w kolejce żeby na niej usiąść. W dodatku ktoś odkrywa pod ławką małą brązową plamę i krzyczy, że to popiół z cygara Churchilla. Gala z rozpaczą w głosie stara się zwrócić naszą uwagę na niski koszt kuracji, a my po kolei oglądamy brązową plamę. Co nas obchodzą jakieś kuracje, jeśli tu palił cygaro największy angielski mąż stanu.

Osobiście tylko pół-siadam na ławce i pół-patrzę na plamę, ponieważ moje „patriotyczne uczucia" są raczej mieszane. Rozglądam się przy tym za maszyną z wodą sodową, ponieważ upał jest nie do wytrzymania. Gali wreszcie udaje się oderwać wszystkich od plamy, ale ja z małą grupą oddalam się w celu znalezienia automatu z wodą. Znajdujemy go nawet dosyć szybko. Za jedną kopiejkę można napić się zwykłej wody sodowej, za trzy, automat dodaje do niej soku. System papierowych kubków, używany w podobnych maszynach na Zachodzie, nie istnieje, zamiast tego jest jedna szklanka dla wszystkich, którą płucze się przy pomocy jakiejś podejrzanej fontanny w maszynie. Nie zważając jednak na takie drobnostki, pijemy po kolei wodę z sokiem (zresztą bardzo dobrą) po czym stwierdzamy, żeśmy się zgubili — po naszej grupie ani śladu. Nawet nam to odpowiada; wracamy do autokaru osobno. Reszty jeszcze nie ma, ale wcale im nie zazdrościmy pogadanki o wspaniałych warunkach dla partyjnych,

korzystających z uzdrowiska; siedzimy w autokarze i rozmawiamy z Tanią, która też się znudziła oglądaniem budynku. Dowiadujemy się z rozmowy, że jest w Jałcie jakiś cyrk, i prosimy ją, żeby nam jak najprędzej zorganizowała bilety, bo inaczej zanudzimy się na śmierć tym zwiedzaniem. Reszta grupy też widocznie się tego obawia, bo wkrótce wszyscy wpadają do autokaru. Jest za gorąco nawet na śpiewanie. Gali *pojechali* jest już mniej energiczne. W hotelu na kolację dostajemy gorący barszcz i gorącą kurę, czego prawie nikt nie dotyka. Pożeramy tylko lody i limoniadę w zawrotnym tempie. Pod wieczór już się trochę ochłodziło. Po krótkim spacerze po okolicy wracamy do hotelu, gdzie spędzamy cały czas na omawianiu taktyk piłkarskich w jutrzejszym meczu międzynarodowym. Walne zebranie przerywa mniej więcej o północy dyżurna. Nie pozostaje nic innego jak czekać do jutra.

Lenin u Czechowa

Piątek, 15. Rano jedziemy do jakiegoś domu, w którym podobno urzędował pisarz rosyjski Czechow, a który teraz został przerobiony na muzeum. Uzbrojeni w monety trzy-kopiejkowe (upał trwa nadal) wsiadamy do autokaru. Tania tym razem decyduje się nie jechać.

W domu Czechowa trzeba wkładać filcowe kapcie, aby nie uszkodzić posadzki i prawie nigdzie nie wolno wchodzić. Poza tym wycieczek takich jak nasza jest chyba z dziesięć i trzeba długo czekać, żeby się dostać do poszczególnych pokoi. Gala znowu nam podpada, bo mówi, że George Bernard Shaw był amerykańskim pisarzem. Gdy przechodzimy przez jeden z pokoi, kilku chłopców, w tym i mnie zatrzymuje jakiś woźny.

— *You English, yes?*
— *Yes.*
— *You have pen, yes?*
— *Yes.*
— *You me it give, yes?*
— *Yes.*

Chcąc nie chcąc, jeden z chłopaków wyjmuje z kieszeni długopis. Woźny podchodzi do biurka, na którym Czechow pisał sztukę „Wiśniowy Sad", i z szuflady wyjmuje kilka znaczków, które następnie rozdaje. Mnie przypada znaczek wyjątkowo rzadki, z Leninem na tle lokomotywy, która ciągnęła wagon z jego trumną bodajże w 1924 roku. Woźny bierze kartkę jakiegoś rękopisu, chyba Czechowa, i próbuje czy długopis jest dobry. W tym momencie wpada z powrotem Gala, szukając nas. Woźny znika

jak zmyty z długopisem, a Gala chwali nas żeśmy zostali, żeby podziwiać pokój.

Segregacja

Po południu zaplanowany jest odpoczynek od zwiedzania, mianowicie autokar zawieźć ma nas na plażę. W letnich koszulkach i szortach, z ręcznikami i majtkami kąpielowymi pod pachą, śpiewając zgodnie „Rule Britannia", jesteśmy zupełnym uosobieniem turyzmu. Co prawda spódnica Gali zachodzi jej aż po kolana, ale za to Tania jest w sukience prawie że „mini". Kierowca nie czeka już na *pojechali* Gali, tylko rusza od razu wtórując nam po drodze w „Kalince".

Po kilku minutach przyjeżdżamy wreszcie na plażę, której widok napełnia nas przerażeniem: ludzie leżą, jak przysłowiowe śledzie, skupieni w jedną różnokolorową masę, w której nie można nawet stanąć, nie mówiąc już o położeniu się. Nie na darmo broszura „Inturista" nazywa Jałtę „miejscem letniskowym światowej sławy". Autokar nie zatrzymuje się jednak przy głównym wejściu, tylko jedzie nieco dalej. Wysiadamy przy jakimś innym wejściu z napisem „Inturist" wymalowanym brudno-czerwonymi literami. Wchodzimy. Na plaży jest zupełnie luźno, pełno miejsca. W prawym końcu jest parkan z drutu, dzielący nas od „ubogiego ludu", który spoziera na nas z zazdrością. Lekko oszołomieni tym niespodziewanym zjawiskiem, wkraczamy dostojnie na plażę, nie oznajmiając nawet naszego *entrée* „Międzynarodówką", jak to mamy w zwyczaju.

Plaża jest kamyczkowa, co jest jej zasadniczą wadą, ale za to woda bardzo ciepła. Przebieramy się w budkach, składających się z czterech słupków, do których przybito kilka poprzecznych desek, a następnie rzucamy się do wody, albo kładziemy się na specjalnych deskach plażowych. Jakaś Rosjanka, zdaje się z Leningradu, bardzo interesuje się skąd jestem i do której klasy chodzę, ale dowiedziawszy się, że nasza przewodniczka znajduje się w pobliżu, szybko znika z horyzontu. Upał jest nie do wytrzymania, więc idę na plażę „masową", ponieważ widziałem tam budkę z *morożienymi*. Gdy tylko się tam pokazuję, osacza mnie tłum młodych interesantów, którym do głowy nie przychodzi, że mogę nie mieć przy sobie ani *chewing gum* ani długopisów, ponieważ jestem w samych tylko kąpielówkach. Lodów zresztą też nie mogę dostać, bo kolejka do budki jest taka, jak do Mauzoleum w Moskwie. Wracam więc na „moją" plażę, odrzucając po drodze ofertę jakiegoś szczególnie przedsiębiorczego *biznesmiena* na moje kąpielówki. I tak długo na plaży przebywać nie możemy, bo o piątej ma być najważniejsze wydarzenie całej wycieczki — mecz.

Porażka imperializmu

Na stadion jedziemy pełni zapału, śpiewając różne piosenki angielskich chuliganów futbolowych i skandując stosowne slogany. Gala, która zdaje się miała przygotowany jakiś wykład na temat Jałty, w celu urozmaicenia podróży, odkłada ze zrezygnowaniem mikrofon i zatyka uszy. My natomiast oznajmiamy całej Jałcie — ba, całej Rosji — że nic nie może przewyższyć angielskiego futbolu.

Z tym okrzykiem wbiegamy na stadion, i nagle — jak to mówią — okrzyk zamiera nam na ustach. Pośrodku stadionu czeka już na nas drużyna młodzików jałtańskich, ponumerowana i ubrana w przepisowe czerwone koszulki. Przy nich nasza drużyna wygląda raczej komicznie — w kąpielówkach, owinięci ręcznikami, jeden nawet jest boso. W dodatku, cała chyba Jałta zwaliła się na tę historyczną okazję. Ale drużyna nasza dzielnie ustawia się na swoich pozycjach. Sędzia (lokalny) daje gwizdek.

W pierwszej połowie jałtańczycy biją nas 3 : 0.

Trochę to nas wytrąca z równowagi, zwłaszcza że na sędziego narzekać nie można, na nasze faule patrzy przez palce.

Kapitan drużyny jałtańskiej współczuje nam, wyraźnie jest zażenowany, że pobili kapitalistycznych gości w sposób dość niegościnny, i sugeruje że drugą połowę meczu jego drużyna ustąpi drużynie dziesięciolatków, żeby naprawić ten stan rzeczy.

Dziesięciolatki biją nas 4 : 0.

Kapitan bardzo nas przeprasza, że to jakaś pomyłka, że tak być nie powinno. Najbardziej pokrzywdzony czuje się jeden z naszych chłopaków, który zmarnował 30 zdjęć z meczu, które chciał posłać gazetom angielskim jako świadectwo „Triumfu Wielkiej Brytanii". Tymczasem Brytania, okazuje się jest wyjątkowo Mała, i wracamy do hotelu jak niepyszni, z głowami w piasku. Gala bardzo się cieszy, nie dlatego że Jałta wygrała mecz, tylko że nasz markotny nastrój w autokarze pozwala jej na wygłoszenie dłuższego referatu na temat historii Jałty. Na pewno mecz ten zapisze się w tej historii jako najtragiczniejsza (dla Wielkiej Brytanii) bitwa trwającej nadal Wojny Krymskiej.

Dziesięć kilo za kilo

W sobotę rano sensacja — w hotelu zjawiła się niespodziewanie grupa studentów ze Stanów Zjednoczonych, którzy za jeden tysiąc dolarów od osoby zorganizowali sobie wycieczkę po całej Europie i ZSSR. Będąc amatorami gumy do żucia, nie mieli trud-

ności w zdobyciu setek znaczków, w tym jeden rzadki okaz z Leninem na tle komina fabrycznego. Jak zwykle, nie mamy zbyt wiele czasu na rozmowę z nimi, bo Gala już stoi w drzwiach, w swojej ultra-długiej spódnicy. Wychodzimy więc na ulicę wsiadamy do autokaru, z którego Gala nas po chwili wyrzuca; okazuje się, że wyjątkowo idziemy pieszo. Kierujemy się w stronę przystani ponieważ mamy mieć dzisiaj rejs po morzu Czarnym.

Na przystani potęga „Inturista" nagle znika. Ustawiamy się — ku naszemu oburzeniu — na końcu kolejki, łódki motorowe przyjeżdżają i odjeżdżają zupełnie się nami nie przejmując. Nie podoba nam się takie naruszenie naszych przywilejów, ale co robić — czekamy. Wreszcie jakaś litościwa motorówka wpuszcza nas na pokład, przy czym Gala, nie mogąc się poruszać swobodnie w swojej długiej *plat'je,* o mało nie wpada do wody. Usadawiamy się na ławkach, niewiele wygodniejszych od tych w sanatorium i wszyscy, nauczeni przykładem ostatnich dni, zabieramy się do czytania książek. Cóż bowiem jest do oglądania na morzu Czarnym — *krugom wacha i wacha,* jakby powiedział Wiech.

Przerywam na chwilę lekturę, żeby coś powiedzieć kolegom, na co jakiś młody człowiek, siedzący przed nami, nagle odzywa się do swojego towarzysza: *Słuszaj, Aliosza, angliczanie,* na co ja dodaję od siebie mimochodem: *Kapitalisticzeskije angliczanie.* Na to on wybucha śmiechem, a następnie odwraca się, wyciąga paczkę *„Tu-144"* i częstuje nas *papirosoj.* Mówię, że nie palimy ale za to pijemy. *A czto p'jotie? Wodku, konieczno.* Nasz współpasażer zapala papierosa, rozgląda się naokoło, a następnie tonem quasi-poufnym pyta: „A umiecie sami wódkę robić?". Nie czekając na odpowiedź, wygłasza dłuższą pogadankę o sposobach robienia czystej wyborowej u siebie w domu. Najpierw, o ile mogę się zorientować, bierze się dziesięć kilo cukru na kilo drożdży, potem następują jakieś manipulacje ze szczelnym pojemnikiem, rurką gumową i skraplaniem. Drugi osobnik, Aliosza, jest trochę przestraszony, próbuje powstrzymać towarzysza w toku objaśnień a następnie wtyka nos w *Izwiestia* (w dodatku trzymane do góry nogami) i udaje, że nic nie słyszy. Nasz ekspert dodaje na końcu: „Tylko, że cały ten proces się nie opłaca. Wódka to właśnie jedyna rzecz którą można dostać w sklepach, chociaż najlepsze wódki sprzedają *inostrancam* za dolary. *Wot eto żizń".*

Niestety, motorówka przybija z powrotem do przystani w Jałcie i musimy się pożegnać z towarzyszem podróży, któremu daję — rzecz jasna — długopis. Alioszy natomiast wręczam znaczek z Leninem-dziecię, i wszyscy się ulatniamy w celu nabycia — jeśli nie za rubla to za dewizy — drożdży i cukru.

Sowiecki kapitalizm

W ZSSR dewizy powinno się zmieniać na ruble tylko po to żeby kupować lody, wodę sodową i — jeśli ktoś nie ma ani długopisów ani gumy do żucia, a jest zagorzałym komunistą — znaczki z Leninem. Oprócz tego zmienia się dewizy wyłącznie po to, aby państwo miało ich więcej na swoim koncie, bo wszystko inne albo można za nie kupić albo jest nie warte kupowania. A w dodatku, pod koniec podróży, nie łatwo jest niewydane ruble wymienić z powrotem i trzeba je wydać.

Tak więc ci, którzy już w Brześciu pochopnie rzucili się do biura „Inturista" i powymieniali swoje funty na walutę sowiecką, nazajutrz w Moskwie gorzko pożałowali tego kroku. Ci natomiast, którzy wtedy byli bardziej roztropni albo zmęczeni i wstrzymali się z wymianą pieniędzy dopóki nie odkryli o co dokładnie chodzi, mogą teraz używać tego gościnnego kraju ile dusza zapragnie.

Nasza zbiorowa dusza zapragnęła, na przykład, pójść do cyrku. Nic prostszego. Za równowartość dwóch rubli (niecały funt), dostajemy dosłownie najlepsze miejsca, zamówione przez Tanię w recepcji hotelowej tylko jeden dzień naprzód. Jeśli pomyśleć, że biedni tubylcy stoją kilka tygodni w kolejce po kiepskie miejsca, to w bogatym turyście z biednego Zachodu przeważają dwa uczucia: winy i wyższości. Zwłaszcza wyższości.

C y r k

Wieczorem więc udajemy się do cyrku, z wyższością nieco niższą niż normalnie, bo jeszcze liżemy rany po wczorajszym meczu. Idziemy częściowo trotuarem, częściowo główną jezdnią, ale *milicjoner* pilnujący ruchu na skrzyżowaniu nie zwraca nam uwagi, tylko zatrzymuje wszystkie samochody i puszcza nas, uchylając nam przy tym grzecznie pałki. W cyrku jest klown, który dostał pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie klownów, tresowane lwy i skecze, których nie możemy zrozumieć, ale po przesadnej intonacji słów i śmiechu widzów sądzę, że są „satyryczne". Podczas przerwy wychodzę, żeby kupić *morożienoje*. Chociaż nie ma specjalnej budki dla *inostrancew*, wystarczy pokazać znaczek z napisem *„Wilson for ex-premier"* i już się jest przy okienku. Wszyscy z respektem patrzą na turystę w nylonowej koszulce, udekorowanej Leninami i znaczkiem z mistycznym hasłem *„Wilson for ex-premier"*, którego to hasła nikt nie może zrozumieć (a jeśli rozumie, to myśli, że wolałbym Kosygina od Wilsona). I znowu to poczucie wyższości. Ale czy zastanawianie się nad

tym coś komu pomoże? Po to jest Rosja, żeby zagraniczny turysta czuł się w niej panem.

Pionierzy — kosmonauci

Niedziela, 17. Dzisiaj nasz ostatni dzień w Jałcie i autokar, który już czeka na ulicy Roosevelta z Galą w środku, ma nas zawieźć do obozu pionierskiego w Arteku, który znajduje się gdzieś pod Jałtą.

W obozie tym, jak informuje nas z zapałem Gala przez mikrofon podczas jazdy, przebywa jednocześnie 35 (czy może 45) Pionierów, którzy się co pewien czas zmieniają. My właśnie podobno trafiliśmy na taką zmianę i dlatego nie mogliśmy mieć z nimi meczu (na co odzywają się głosy: „Gdybyśmy z nimi grali, to byśmy ich pobili!" „Nie oni nas 7 : 0, a my ich 70 : 0!", itp.). Pionierzy są wybierani z wszystkich republik i tylko najlepszych spotyka zaszczyt pobytu w Arteku. Mieszkają nie w namiotach a w domkach. Te i różne inne niepotrzebne fakty podaje nam Gala ze słabnącym entuzjazmem, tak że gdy dojeżdżamy do samego obozu, recytuje dane dotyczące obszaru Arteku zupełnie monotonnie.

Cały zresztą obóz jest dosyć monotonny: te domki, o których była mowa, są ustawione w równe szeregi, wszystkie jednakowo szarego koloru. Zjazd z szosy, zwłaszcza autokarem, jest wyjątkowo niebezpieczny, bo dróżka zakręca i spada gwałtownie, nie mówiąc już o tym, że jest bardzo wąska. Nasz kierowca jednak jakoś daje sobie z tym wszystkim radę i z wielką ulgą wysiadamy przy jakimś niepozornym budynku, położonym wyżej niż sam obóz. W budynku spotyka nas podejrzanie wyglądający osobnik, z szyją ozdobioną czerwoną chustą. Mówi tylko po rosyjsku, tak że Gala musi nam wszystko tłumaczyć. Trochę to nas oburza — czyżby „Inturist" nie mógł sobie pozwolić na jakiegoś angielskomówiącego przewodnika? A dlaczego Gala nie może nas oprowadzić? Widocznie jednak są ku temu jakieś powody. Nasz samozwańczy przewodnik prosi nas więc, za pośrednictwem Gali, do „sali kosmonautycznej".

W „sali kosmonautycznej" Pionierzy mają widocznie „przysposobienie kosmonautyczne" — wszędzie są jakieś ekrany, instrumenty, guziki. Czerwona Chusta prosi o ochotnika na zademonstrowanie siły odśrodkowej. Znajduje się wreszcie jeden desperat, któremu na życiu już widać nie zależy, i sadowi się na jakimś foteliku. Przewodnik naciska gdzieś guzik i fotelik zaczyna się obracać w przerażającym tempie. Trwa to chyba z pół minuty. Potem przewodnik nagle wyłącza motor, fotel-wirówka staje,

a chłopak wylatuje głową naprzód. Na szczęście udaje nam się go złapać zanim uderza o podłogę.

Z pewnym niesmakiem oglądamy następne przyrządy tortur i już nikt nie odważa się ich wypróbować, mimo nalegań Czerwonej Chusty. Przechodzimy więc do jakiejś innej sali, gdzie są fotografie wszystkich kosmonautów sowieckich. Czerwona Chusta zmusza nas do obejrzenia każdej fotografii po kolei, a następnie wyprowadza nas z powrotem na zewnątrz. Zanim jednak wychodzę, uwagę moją przyciąga napis na ścianie, którego treść brzmi mniej więcej:

> *„Dnia 21 lipca 1969 roku stanął na księżycu pierwszy człowiek, Neal Armstrong, dzięki współpracy sowieckich i amerykańskich uczonych".*

Która godzina?

Po obejrzeniu maszyn kosmo-wybrykowych schodzimy na dół do samego obozu, gdzie Czerwona Chusta — ku naszemu zdziwieniu i nawet zadowoleniu — oddaje nas w ręce Gali. Okazuje się jednak, że nie miał właściwie po co nas jej oddawać, ponieważ z niewiadomych powodów nie oglądamy obozu z bliska, tylko udajemy się w stronę plaży, specjalnie przeznaczonej dla Pionierów i zagranicznych turystów. Kręcą się tam nawet jacyś prawdziwi Pionierzy, ale stronią od nas, chociaż kusząco wyciągamy długopisy. Nie przejmując się więc nimi, przebieramy się w budkach podobnych do tych na plaży „Inturista", a następnie układamy się na deskach plażowych.

Decyduję się wejść na chwilę do wody, bo upał jest nie do zniesienia. Zdejmuję więc zegarek i kładę go do kieszeni spodni, które położyłem na swoim ręczniku. Zanurzam się na chwilę w wodzie, ale zaraz wracam na swoje miejsce. Sięgam po zegarek... nie ma. Sprawdzam w drugiej kieszeni, naokoło — ciągle nie ma. Nie ma również grupki Pionierów, która kręciła się przed chwilą na plaży. Pytam się kolegi, który leży obok mnie (i też właśnie wrócił z wody), która godzina. Ten sięga do swojego ubrania, a następnie mówi niepewnym głosem: „To dziwne, zegarek mi znikł".

A więc któryś z tych trzydziestu-pięciu najlepszych Pionierów z całego Związku Sowieckiego zdobył dodatkową sprawność. No i przy tym wzbogacił ZSSR o dwa zegarki.

Neo-imperializm na lotnisku

Po obiedzie pakujemy pośpiesznie walizki i po raz ostatni

wręczamy dyżurnej klucz z uroczym *pożałujsta,* przy czym ona, jak zwykle, zapisuje coś szybko na kartce. Schodzimy szybko na dół; na zewnątrz czeka autokar, ale już bez Gali. Śpiewając na całą ulicę Roosevelta „It's a long way to Simferopol" wsiadamy do autokaru. Tym razem Tania daje sygnał *pojechali!,* i autokar rusza.

Według rozkładu, odlot z Symferopolu do Odessy (numer 3308) ma być o 17.35. Na lotnisku siadamy w wygodnych fotelach w sali „Inturista", przeglądając różne książeczki o zabawnych tytułach („Imperializm a komunizm — analiza wypowiedzi Lenina"; „Neo-imperializm w Chinach"), których cała masa (w różnych językach) leży na stolikach. Znajduję nawet polską publikację „Mechanizm propagandy syjonistycznej", w której ktoś napisał olbrzymimi literami (po polsku) „DUBCZEK-SWOBODA".

Gdy o siódmej jesteśmy ciągle w poczekalni, zgadujemy, że coś nawaliło. Tania mówi, że jeszcze „trzeba trochę poczekać", co też robimy. Niektórzy grają w karty, inni czytają propagandową lekturę, jeszcze inni próbują zasnąć. Ja natomiast, z kilkoma kolegami, rozmawiam (pół po angielsku, pół po rosyjsku) z Murzynem-studentem chyba z Tanganiki, który studiuje w Moskwie („Studenci z Azji, Afryki i Ameryki Południowej... są przyjmowani bez względu na rasę, obywatelstwo i wiarę", informuje książeczka *„Visit the USSR").* O wpół do ósmej przenosimy się do restauracji, gdzie dostajemy obfitą kolację, chociaż według programu mieliśmy ją zjeść już w Odessie, po czym wracamy z powrotem do poczekalni. Wszystko razem przypomina nam trochę pierwszą noc w Brześciu. Wreszcie Tania, usłyszawszy jakiś komunikat przez głośnik, zarządza ogólny alarm. Wszyscy zrywamy się i z hałasem zbiegamy na dół. Bezkarnie przechodzimy przez całe lotnisko, pod nosami samolotów, idąc wzdłuż pasów startowych. Dochodzimy wreszcie do jakiegoś punktu na środku lotniska, gdzie zatrzymuje nas stewardessa „Aerofłotu". Po kilku minutach przyjeżdża samolot i staje obok nas niczym taksówka. Oprócz nas są jeszcze inni ludzie, ale ci muszą poczekać aż nasza grupa wejdzie do środka.

Samolot jest mały i ciasny; odczuwa się bardzo brak wentylacji i regulacji ciśnienia. Poza tym jest wspaniały. Po półgodzinnym locie, podczas którego dostajemy dwa cukierki i jeden kieliszek *gazirowannoj wody,* jesteśmy już w Odessie.

Konrad BRODZIŃSKI

(Dokończenie nastąpi)

Kraj

Polska droga do... (dok.)

VI

Przygotowania do IV zjazdu PZPR odbywały się w atmosferze wzmożonego napięcia wewnętrznego. Nieomylnym tego objawem był wzrost walk frakcyjnych w łonie partii, czy też, jak kto woli, walk w dużym stopniu pozorowanych. Wzmogła się aktywność dawnych „natolińców" spod znaku Mijala, znaczne ożywienie nastąpiło w szeregach „partyzantów", tych spod znaku Moczara. Rzeczywiste, czy też reżyserowane zza kulis walki frakcyjne nie mogły wszak przysłonić rzeczy najważniejszej — *nasilenia frustracji społecznej, rosnącego zniecierpliwienia.*

W celu rozładowania napięć partia i władze starały się zmylić opinię publiczną przy pomocy fałszowanej statystyki, bądź przy pomocy fałszywej jej interpretacji żywiąc naiwne zgoła przekonanie, że magia liczb w skali makroekonomicznej zdoła wyperswadować Polakom niewesołe myśli, krytykę polityki partii. Usiłowano np. wmówić społeczeństwu, że sytuacja mieszkaniowa, w wyniku „pomyślnego rozwoju planu pięcioletniego", ulega radykalnej poprawie. „W okresie 1961-1965 oddanych zostanie do użytku 750 tys. mieszkań, co stanowi wzrost o 21 % w stosunku do poprzedniego pięciolecia" — głosiła propaganda partyjna. Była to przysłowiowa pół-prawda. Cała bowiem prawda przedstawiała się całkiem inaczej. Po pierwsze, w latach 1961-1965 planowano budowę 905 tys. mieszkań, a więc do wykonania planu zabraknie — i tak się właśnie stało — 155 tys. mieszkań. Po wtóre, jak wskazują liczby, powierzchnia użytkowa ogółu nowych mieszkań, zamiast wzrastać, malała! Z obliczeń dokonanych w 1966 r. będzie wynikało, że w 1960 r. na 1000 ludności oddano do użytku 272 m² powierzchni użytkowej mieszkań, a w 1965 r. tylko 263 m². O stosunku partii do tego jakże nabrzmiałego od lat problemu świadczy chyba najwymowniej fakt, iż udział nakładów

na budownictwo mieszkaniowe w nakładach inwestycyjnych gospodarki narodowej, spadł z 20 % w 1960 r. do 15,3 % w 1965 r.[27]

Jeszcze jeden przykład zakłamania władz. Jak wiadomo, problemem, o który partia stale się potyka, jest... mięso. Ciągle brak mięsa, chociaż jego cena nieustannie rośnie, szybciej od wielu innych artykułów. Tymczasem propaganda z uporem twierdziła, iż mimo „przejściowych" trudności, spożycie mięsa „jednak rośnie". A usłużna statystyka fakt ten „niezbicie" potwierdzała. Na podstawie komunikatów Głównego Urzędu Statystycznego przeciętny Polak mógł się więc dowiedzieć, że w 1960 r. spożył 42,5 kg mięsa, a w 1964 r. o 4,5 kg więcej, czyli 47,1 kg[28]. Ludzie znający się na mięsie i na statystyce mieli zupełnie inne zdanie — poziom spożycia maleje! I na udowodnienie przytaczali dwa niezbite argumenty. Pierwszy. Statystycy zaliczają na konto spożycia mięsa to, czego żadna szanująca się gospodyni przy najlepszych chęciach za mięso uznać nie jest w stanie, np nóżki wieprzowe. I drugi. W latach 1958-1964 ludność Polski wzrosła o 2,3 mln osób, ale w tym samym czasie przyrost ludności wiejskiej był zgoła nieznaczny, natomiast liczba ludności miejskiej powiększyła się o 2 mln osób, czyli prawie o 20 %. A zatem wzrost konsumentów mięsa był o wiele szybszy od wzrostu ogółu ludności. Tymczasem sprzedaż mięsa w uspołecznionej sieci handlu miejskiego powiększyła się w omawianym okresie z 630 tysięcy ton do zaledwie 650 tysięcy ton, to znaczy zaledwie o ok. 3 procent! Inaczej mówiąc, dostawy mięsa w przeliczeniu na 1 mieszkańca miast uległy zmniejszeniu z ok. 47 kg na ok. 42 kg[29]. Nastąpił tedy *bezwzględny spadek poziomu spożycia mięsa w miastach!* A przecież mięso, to przykład nie odosobniony, podobnie działo się w dziedzinie dostaw i spożycia wielu innych artykułów rynkowych. Oto, gdzie tkwiły przyczyny frustracji społecznej, której ani zwalczyć ani ukryć partia nie była w stanie.

◆

Tak więc sytuacja przed IV zjazdem PZPR była niewesoła. Wydawało się, że Gomułka, zgodnie ze znaną formułą Lenina, postanowił dokonać kroku wstecz, ustąpić przed naporem mas i przystąpić wreszcie do reformy systemu zarządzania i planowania. W samej rzeczy w uchwale IV zjazdu poświęcono cały rozdział kierunkom realizacji reformy gospodarczej w latach 1966-1970.

---

27. Wszystkie dane dotyczące budownictwa mieszkaniowego pochodzą z artykułu pt. „Budownictwo mieszkaniowe w latach 1961-1965", T. Żarskiego, zamieszczonego w *Życiu Gospodarczym*, nr 16, 1966 r.

28. *Rocznik Statystyczny 1968*. Wyd. cyt.

29. G. Pisarski, artykuł pt. „Perspektywiczne i doraźne kierunki działania", *Życie Gospodarcze* nr 43, 1965 r.

W uchwale zjazd domagał się (prawdę powiedziawszy, nie bardzo wiadomo od kogo...) „zwiększenia roli rachunku ekonomicznego", a w pierwszym rzędzie „uelastycznienia polityki cen", „oprocentowania środków trwałych", „udoskonalenia zasad podziału zysku" oraz — i to było najbardziej obiecujące — zmniejszenia liczby wskaźników dyrektywnych, przy pomocy których władze nadrzędne kierowały dotychczas pracą przedsiębiorstw. Uchwała postulowała także wzrost kompetencji i roli samorządu robotniczego, samodzielności przedsiębiorstw. Partia obiecała na zjeździe, że tym razem nie popełni dawnych błędów w trakcie opracowania planu pięcioletniego, zwłaszcza w dziedzinie inwestycji, gdzie zastosowano nowe zasady, które pomogą ukrócić marnotrawstwo inwestycyjne. Partia oświadczyła wreszcie, że pięciolecie 1966-1970 stanie się „pięciolatką jakości, nowoczesności, modernizacji i zmiany struktury przemysłu". Buńczucznie i... bez zastanowienia.

◆

IV zjazd PZPR opracował następujące założenia planu na lata 1966-1970; wzrost dochodu narodowego wyniesie 30 %, część dochodu przeznaczona na spożycie zwiększy się o 27 %, wydatki inwestycyjne o 36-38 %, produkcja przemysłowa o 45-47 % i płace realne o 10 %[30]. Zgodnie z przyjętym zwyczajem założenia te uległy modyfikacji w dwa lata później i były zatwierdzone uchwałą Sejmu. W czasie jednego z posiedzeń komisji sejmowej nad rządowym projektem 5-letniego planu rozwoju gospodarki narodowej Stefan Jędrychowski i Zenon Kliszko stwierdzili z całą powagą, że tym razem:

„... prace nad bieżącym planem 5-letnim oparte były o znacznie większą niż to miało miejsce w ubiegłych planach wieloletnich ilość materiałów analistycznych, naukowych i planistycznych oraz oparte były o liczne uwagi, wnioski i postulaty zgłoszone przez załogi i inne zespoły...".

i że:

„... wszechstronna ocena projektu planu pozwala na sformułowanie właściwych poprawek do projektu planu oraz dezyderatów dotyczących sposobów jego realizacji[31]".

Tak więc partia obiecała przystąpić do reformy systemu, a realizacji tego zamierzenia sprzyjać miał wnikliwie opracowany plan gospodarczy. Reforma bowiem, jak twierdzono w otoczeniu Gomułki, wymaga spokoju, stabilizacji gospodarczej i politycznej, takie zaś warunki miały zaistnieć w latach 1966-1970. Gomułka

30. *Nowe Drogi*. „IV Zjazd PZPR", nr 6, 1964 r.

31. Tamże.

wiedział jednak dobrze, że nowe pięciolecie będzie trudniejsze od poprzedniego. I nie tylko on...

◆

IV plenum KC zwołane w lipcu 1965 umocniło iluzje zasiane uchwałą IV zjazdu — przedmiotem obrad były „kierunki zmian w systemie planowania i zarządzania". Już sam fakt, że zwołano takie plenum budził duże nadzieje wśród zwolenników reform. Co prawda, nastrój ich pogorszył się po podjęciu ograniczonej uchwały jakże dalekiej w swych pryncypiach od idei Października, tym niemniej, jak sądzono, będzie to mimo wszystko krok do przodu. Uchwała określiła nawet dokładny termin (bodaj czerwiec 1968) zakończenia prac nad wprowadzeniem nowych, doskonalszych wskaźników dyrektywnych... Był to, jak się okaże, jeszcze jeden wybieg, Gomułka chciał wygrać na czasie! Iluzje reformatorów, względnie idealistów z prawdziwego zdarzenia, prysły już na następnym, V plenum KC. Zajęło się ono wyłącznie problemami handlu zagranicznego, a więc jedną z ważnych dziedzin gospodarczych. O dziwo, na plenum tym niewiele jednak mówiono o uchwale poprzedniego plenum, jak gdyby do niczego nie zobowiązywała, a w nowych wytycznych partia położyła główny nacisk na administracyjno-biurokratyczne metody działania. Uchwała nakazywała organizacjom partyjnym, wzmożenie kontroli nad działalnością administracji w dziedzinie produkcji na eksport, a dyrektorów przedsiębiorstw zobowiązano do składania sprawozdań przed tymi organizacjami. Po kilku miesiącach odbyło się jeszcze jedno plenum KC, VI z kolei, poświęcone realizacji planów inwestycyjnych. I znów nad uchwałą IV plenum zaległa cisza, natomiast w uchwale VI plenum postawiono zadania już całkowicie jawnie sprzeczne z duchem i literą wytycznych IV zjazdu. Były to bowiem zadania obliczone na likwidację *skutków, a nie przyczyn*. Uchwała nakazywała racjonalne wykorzystanie maszyn, wymianę przestarzałych maszyn na nowocześniejsze, modernizację procesów technologicznych itd. Wszystkie te cele partia nakazywała zrealizować przy pomocy tradycyjnych metod, tzn. metod odgórnego komenderowania partyjno-administracyjnego aparatu.

W końcu 1966 roku Gomułka zwołał VII plenum KC. Porządek dzienny brzmiał: „Kierunki zmian w organizacji zarządzania przedsiębiorstw". Czyżby powrót do pomijanej dotychczas uchwały IV plenum? A więc jednak jeszcze raz sprawa reformy? Nic z tych rzeczy, partia zastosowała prymitywny chwyt handlarza starzyzną — wystawiła szyld z napisem „nowości", a na straganie wyłożyła stare, dawno odrzucone przez klientów rupiecie. Jak pamiętamy, realizacji planów pięcioletnich towarzyszyły różne akcje. Widocznie partia uznała, iż przyszedł już czas odpowiedniej akcji „dla lat" 1966-1970. Tej właśnie sprawie poświęcone było VII plenum KC. Otóż na mocy specjalnej uchwały i pod pretekstem

„zmian kierunków", powołano do życia tzw. zakładowe komisje usprawnienia organizacji pracy. A dalej Czytelnicy już wiedzą... Tak, delegowano do komisji kilkadziesiąt tysięcy specjalistów: technologów, konstruktorów, planistów, ekonomistów i działaczy partyjnych również. Co nastąpiło potem, Czytelnicy również się domyślają. A więc ludzi tych oderwano na okres ośmiu miesięcy od warsztatów pracy oraz skierowano do zakładów i zjednoczeń. I postawiono przed nimi zadanie: zebrać twórcze wnioski załóg mające na celu usprawnienie organizacji pracy. Akcja zbierania wniosków, zgodnie z uchwałą plenum, miała być zakończona w czerwcu 1967 — zwróćmy uwagę na tę datę, to bardzo ważne! Po tym terminie zakłady i zjednoczenia winny opracować tzw. ramowe programy zawierające krótkoterminowe i długofalowe przedsięwzięcia. Cele — jak dawniej: zahamować nadmierny wzrost zatrudnienia, przyspieszyć zbyt wolne tempo wzrostu wydajności pracy, poprawić jakość produkcji, zapewnić szybszy postęp unowocześnienia wyrobów, stworzyć warunki modernizacji itd. itp. Znamy to już z poprzednich akcji.

Od końca 1966 r. rozpoczął się szaleńczy wyścig pomiędzy komisjami — która zbierze więcej wniosków... W maju 1967 r. partia opublikowała w prasie, radiu i telewizji „wstępne" wyniki akcji: w wyniku energicznego działania komisji oraz czynnego i świadomego współdziałania załóg pracowniczych udało się zgromadzić w samym tylko przemyśle ponad 100.000 twórczych wniosków, akcja trwa... Był to jeden z największych bluffów partii w okresie dwudziestolecia! Wszycy wiedzieli, że akcja przekształciła się w szopkę, że załogi zadrwiły z niej, a sami członkowie komisji też mieli nie gorszą zabawę. Oto typowy zbiór wniosków w zakładzie, a każdy taki zestaw liczył od kilkuset do kilku tysięcy: punkt pierwszy — dokonać zmian w systemie zarządzania i planowania; punkt drugi — zakupić 3 żarówki dla hali montażowej; punkt trzeci — zapewnić rytmiczną dostawę materiałów; punkt czwarty — zasadzić kwiatki przed wejściem do dyrekcji; punkt piąty — stworzyć warunki wzrostu udziału załogi w zarządzaniu zakładem itd. w tym samym duchu. Robotnicy kpili sobie na potęgę i klęli partię oraz „takie zaf... porządki".

Potem były jeszcze dwa posiedzenia plenarne KC poświęcone sprawom gospodarczym: IX na temat produkcji rolniczej i X, na którym omówiono krytyczną sytuację na rynku wewnętrznym. Uchwała goniła uchwałę, spiętrzały się zadania, zagęszczały się terminy, rosła na papierze partyjnym odpowiedzialność anonimowych w gruncie rzeczy adresatów uchwał. Najnieprzyjemniejszy wszak był smak klęski poniesionej w tej ostatniej akcji, a klęska była kompletna. Nowe wcielenie „NTU" i „R" zakończyło się absolutnym fiaskiem — metoda „dopychania planu kolanem" zawiodła, zwyczaj wymuszania na robotnikach nieopłaconego wzrostu wydajności pracy okazał się już zawodny. Tymczasem zbliżał się termin V zjazdu partii i czas wyborów do Sejmu i rad narodowych. Sytuacja ekipy rządzącej stawała się, delikatnie mówiąc, trudna. *Bardzo!* Zwłaszcza, że w sąsiedniej Czechosłowacji zaczęły dziać się rzeczy zgoła niepokojące — *komunistyczna partia czechosłowacji odsunęła od władzy Nowotnego i postanowiła wprowadzić daleko idące zmiany w partii, w gospodarce, w życiu publicznym.*

VII

Ekipa rządząca zdobywa się na jeszcze jeden zryw — podejmuje decyzję przeprowadzenia jeszcze jednej akcji, ale akcji nieco odmiennej od poprzednich. Będzie to jedna z ostatnich kart atutowych. Gomułka, który po wypadkach poznańskich nie zawahał się stwierdzić publicznie, iż:

„Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać, ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej[32]"

— jesienią 1967 z trybuny Kongresu Związków Zawodowych ogłasza *urbi et orbi:* w Polsce działa „syjonistyczna piąta kolumna". Po czym moczarowcy, przez długie lata przygotowujący się i oczekujący tej chwili, rozpoczynają nagonkę antysemicką, jakiej nie udało się zorganizować w latach przedwojennych Bolesławowi Piaseckiemu i innym ówczesnym elementom faszyzującym.

Potem nadszedł marzec 1968. Potem? Któż to z boku podszeptuje, podpowiada usłużnie, iż po owej jesieni nastąpił od razu marzec? Nieprawda! Akcja dopiero co rozpoczęła się. Trzeba przecież było zastosować sankcje wobec krnąbrnej klasy robotniczej, która tak jawnie wykpiła komisje powołane przez VII plenum; należało „docisnąć" realizację planu pięcioletniego. W końcu 1967 r. rozszalała się publiczna kampania w związku z rzekomym i jakoby nagłym wzrostem nieusprawiedliwionej nieobecności *robotników* (w pracy), powiększeniem się liczby godzin nadliczbowych *robotników*, osłabieniem dyscypliny pracy również *robotników*. Nowy akt starej akcji zainaugurowany został zwołaną w końcu roku naradą gospodarczą w urzędzie Rady Ministrów. Wystąpił na niej m.in. Józef Cyrankiewicz, sekretarz KC Bolesław Jaszczuk i wicepremier Franciszek Waniołka. Tonacja wystąpień na wspomnianej naradzie oraz w informacjach masowych środków przekazu była wręcz dramatyczna, paniczna: robotnicy, co wy wyprawiacie, zdyscyplinujcie się, w przeciwnym razie sytuacja gospodarcza ulegnie znacznemu pogorszeniu... Argumenty zaś, a właściwie zarzuty obarczały odpowiedzialnością *ogół robotników.*

Tymczasem prawda była zupełnie inna. Partia twierdziła, że absencja nieusprawiedliwiona pochłonęła w 1966 r. ponad 22 mln godzin, a w okresie trzech kwartałów 1967 r. zaznaczyła się tendencja wzrostu. Partia mówiła, że absencja powoduje wzrost licz-

32. *Władysław Gomułka. Przemówienia.* Wyd. cyt.

by godzin nadliczbowych, co pociąga za sobą przekroczenie funduszu płac. A jak było w rzeczywistości? Oto oficjalne dane statystyczne:

Na 1 robotnika grupy przemysłowej w przemyśle przypadało[33]:

	godzin nadliczbowych	godzin nie przepracowanych z powodu choroby	godzin nie przepracowanych nieusprawiedliwionych
1959	118	112	17
1960	96	93	10
1961	95	100	10
1962	94	108	10
1963	103	106	10
1964	82	99	7
1965	84	102	7
1966	87	107	8
1967	89	112	8

Dla ułatwienia czytelności tabelki niektóre liczby zostały przez autora zaokrąglone. Zabieg ten nie zniekształca jednak ogólnej sytuacji.

Jak widać z przytoczonych liczb, objawy trafiącej przemysł choroby są oczywiste, są to jednak objawy o charakterze trwałym, chroniczne, datujące się od lat. Łatwo też zauważyć, iż po każdej kolejnej akcji następowała widoczna poprawa, trwająca jednak nie dłużej niż rok, dwa. A najważniejsze, wskaźniki 1967 roku nie były alarmujące, zdecydowanie nawet lepsze od wskaźników z okresu 1959-1963. Rzecz jasna, pod warunkiem, że „statystyka prawdę mówi"... Opierając się tedy na tych danych trudno doszukać się przyczyn dramatycznych apeli. Prócz tego, partia podnosząc alarm z powodu „zastraszającej" nieobecności nieusprawiedliwionej, wynoszącej 8 godzin na 1 robotnika w skali roku, dziwnym trafem pominęła milczeniem straty o wiele większe, mianowicie godziny tracone przez robotników w czasie pracy w wyniku przestojów. Milczy o nich również statystyka. Z pewnych obliczeń szacunkowych wynika, iż każdy robotnik traci średnio w roku po 12 godzin z winy przestojów. Jest to rachunek uwzględniający jedynie pełne godziny, rejestruje się bowiem przestoje nie krótsze niż 60 minut. Partia wie, nie może nie wiedzieć, że liczba godzin nadliczbowych jest w dużej mierze wykładnikiem właśnie godzin przestojowych a nie absencji. Te zaś są trwale związane z całym systemem zarządzania i planowania, z wadliwą, archaiczną organizacją produkcji i stanowisk roboczych. I dlatego partia wolała tej sprawy nie poruszać.

33. *Rocznik Statystyczny 1968*. Wyd. cyt.

Cel jesiennej kampanii był oczywisty — chodziło o stworzenie odpowiedniego klimatu umożliwiającego zastosowanie w 1968 roku dalszych restrykcji wobec klasy robotniczej. I to się w pewnym stopniu udało: w wielu zakładach podwyższono normy pracy; zmniejszono fundusz płac dzięki obniżeniu liczby godzin nadliczbowych; zahamowano wzrost zatrudnienia, a jednocześnie zaostrzono wszystkie podstawowe wskaźniki dyrektywne mające obowiązywać w 1968 r. A przy okazji ograniczono kompetencje samorządu robotniczego. Był to zatem kolejny ostry atak na klasę robotniczą, rozpoczęty uchwałą VII plenum i działaniem komisji zakładowych, po krótkotrwałej przerwie kontynuowany na jesieni 1967. *Dopiero po tym wszystkim nadszedł marzec 1968.*

Ale jeszcze przedtem, w styczniu, odbyło się plenum czechosłowackiej partii komunistycznej, które podjęło uchwałę o przystąpieniu do reformy polityczno-gospodarczej. Kiedy nastała w Polsce wiosna, moczarowcy mieli już w zanadrzu świecę dymną przeznaczoną do prowokacyjnego podrzucenia w urzędzie cenzury — w dniu obrad literatów. Historyk przyzna jednak palmę pierwszeństwa nie Moczarowi, lecz Gomułce, on bowiem pierwszy rzucił „świecę dymną" na Kongresie Związków Zawodowych...

VIII

Potem przyszedł dzień 21 sierpnia 1968 roku... Udział wojsk polskich w inwazji na Czechosłowację był, pośrednio, również zamaskowanym atakiem partii na próby odrodzenia w Polsce idei Października. Do tej haniebnej inwazji Gomułka przygotowywał partię i społeczeństwo polskie przez długie miesiące. Rzucił do walki „golędziniaków" pod osobistym dowództwem generałów Moczara i Pietrzaka. Rozprawił się z literatami, z młodzieżą akademicką. Tymczasem trwał nieustanny ogień propagandy, jawnej i niejawnej przeciwko „syjonistom" i rozpaczliwe przy tej okazji próby zrzucania z siebie odpowiedzialności za kompromitującą Polskę kampanię. Od kwietnia począwszy ogień propagandy partyjnej przeniesiono na „rewizjonistów" dążących rzekomo do całkowitej likwidacji systemu planowania oraz do wprowadzenia wolnej gry konkurencyjnej na rynku, a następnie restauracji kapitalizmu. Roztropnie unikano jednak formułowania, kto, gdzie i kiedy lansował takie skrajne poglądy.

Społeczeństwo ze zdumieniem dowiadywało się, że rewizjonistą jest każdy, kto domaga się rozszerzenia samodzielności przedsiębiorstw, całkowitej likwidacji wskaźnika produkcji globalnej, zniesienia limitów, zatrudnienia i funduszów płac. Atakowano w ten sposób hasła październikowe i również wytyczne zawarte w uchwale IV zjazdu oraz w uchwale IV plenum. Atakowano program reform czechosłowackich. A już najwięcej zdumienia i zdziwienia wywołały gromy ciskane przez usłużnych

propagandystów na „technokratów". Z zarzutów wynikało, iż są to ludzie wywodzący się z kół inteligencji technicznej, hołdujący zachodniej technice produkcji i organizacji, troszczący się jedynie o parametry techniczno-ekonomiczne, nieczuli na interes i niedolę ludzi pracy. Był to, jak powiadają sprawozdawcy sportowi, cios poniżej pasa, partia bowiem w ordynarny sposób próbowała zrzucić z siebie odpowiedzialność za niepowodzenia polityki społeczno-ekonomicznej na kogoś innego, na „technokratów". Tonący chwyta się brzytwy. Był to ewidentny błąd z punktu widzenia interesów ekipy rządzącej, albowiem nie tak dawno twierdziła ona, że inteligencja techniczna wywodzi się z klasy robotniczej i pracującego chłopstwa, że inżynierowie, synowie robotników i chłopów, zdobyli swe szlify magisterskie w socjalistycznych uczelniach Polski Ludowej... W zakładach pracy robotnicy pytali zdziwieni — „Więc Władek, syn naszego tokarza, po skończeniu politechniki stał się jakimś technokratą? A cóż on takiego zrobił?"

Elita władzy zgrała się do nitki i dlatego nie przebierała w środkach. Preparowała zarzuty, miotała etykietkami, chcąc wywołać widmo *wroga klasowego*. Tak, partii potrzebny się stał wróg, niezbędna wydawała się *atmosfera zaostrzającej się walki klasowej*. A że warunki były inne, czasy nie te, partia nie mogła jawnie sięgnąć po stalinowskie hasło. Zastosowała więc taktykę synonimów, symboli wroga klasowego — z ich pomocą partia próbowała spacyfikować wzbierające niezadowolenie Polaków.

Z czołówek paxowskiego „Słowa Powszechnego" wielkimi czcionkami krzyczały tytuły: „SPISEK NIE PRZEJDZIE!", „PATRIOTYZM — TAK, SPISEK NIE!" Identyczne, albo podobne w treści tytuły znajdowały się na czołowych łamach organu Ministerstwa Obrony *Żołnierza Wolności* oraz organu Zrzeszenia Prawników Polskich dwutygodnika *Prawo i Życie*. Spisek — czyj i przeciw komu? „Syjonistów"? Rewizjonistów? „Technokratów"? Spiski każdej z „grup" z oddzielna, a więc trzy, czy tylko jeden, „połączonymi siłami"? I młodzież akademicka w szeregach *zahoworszczikow*, i literaci, i naukowcy, i część klasy robotniczej, i „reakcyjna część" kleru? Był to kolejny błąd taktyczny zakulisowych reżyserów partyjnych i bezpartyjnych, polskich i niepolskich. Bo jeśli spisek syjonistyczny, więc władza taka już słaba, że 20-30 tysięcy „syjonistów", z których większość na twarzy miała wymalowany znak rozpoznawczy, zmusza rząd do mobilizacji sił wojskowych i policyjnych, do budzenia czujności trzydziestodwumilionowego narodu? A jeśli to spisek sił połączonych, to jak mogło dojść do takiego zjednoczenia w państwie socjalistycznym i pod okiem wszędobylskiej tajnej i półtajnej oraz oficjalnej policji?

W tym samym czasie, gdy próbowano straszyć naród bliżej nieokreślonym spiskiem nie zidentyfikowanych spiskowców, w najbliższym otoczeniu Gomułki i Moczara trwała wytężona kampania psychologiczna, tyle że szeptana. W kołach zbliżonych do I sekretarza PZPR mówiono: „Partyzanci wywierają na 'starego' coraz silniejszy nacisk, żądają zwołania plenum kace, 'stary' gra na zwłokę, odkłada plenum z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc..." Z kolei wśród moczarowców szeptano niezbyt cicho: „Mietek wysiuda 'starego' w marcu"... A po kilku tygodniach: „Nie wyszło w marcu, w maju na pewno się uda — czekamy na plenum majowe..." A więc na użytek działaczy partyjnych i państwowych zastosowano inną wersję spisku — spiskowcem był ponoć Moczar, to z jego strony groził rokosz! Ile w tym rokoszu prawdy, a ile inscenizacji, to sprawa wymagająca odrębnego omówienia. Obiektywny jednak skutek był taki: naród usiłowano straszyć spiskiem sił „reakcyjnych" wymierzonym w klasę robotniczą i jej siłę kierowniczą, tzn. w partię z Gomułką na czele. Kadry zaś partyjne i państwowe straszono spiskiem moczarowców. Gomułka sugerował narodowi — jeśli moja partia straci władzę, przejmie ją inna partia, reakcyjna, antypolska, antyrobotnicza. Działaczom zaś partyjnym i państwowym Gomułka mówił, że z dwojga złego on będzie mniejszym złem, większym złem jest Moczar: Moczar-awanturnik, Moczar-pałkarz, Moczar-twarda ręka...

Jeszcze raz powtórzmy: w jakim stopniu była to autentyczna walka frakcyjna o władzę, a w jakim pozorowany manewr mający odwrócić uwagę społeczeństwa, to sprawa nad którą warto się zastanowić. W polityce jednak liczą się fakty, obiektywna rzeczywistość, skutki bez względu na to, czy były zamierzone, czy nie. Skutki zaś były jednoznaczne, oczywiste: *kampania wokół spisków i kontr-spisków pomogła partii przejść w sposób względnie niespostrzeżony przez kolejny kryzys jej koncepcji polityczno-ekonomicznych*. Zwróćmy uwagę — Moczarowcy nie próbowali nawet lansować własnego programu przeciwstawnego linii generalnej ustalonej przez biuro polityczne z Gomułką na czele. Atakowali tylko niektórych współtwórców i wykonawców, na ogół żydowskiego pochodzenia... Programu nie ruszali.

IX

Gomułka stale podkreśla, że problematyka ekonomiczna, plany gospodarcze są dla partii przedmiotem najwyższej wagi. Partia określa kierunki rozwoju gospodarczego, partia realizuje wytyczne, partia kontroluje przebieg wykonania założeń. Dziwnym jednak trafem zjazdy partyjne, jak już wspomniano, odbywają się w okresie mniej więcej środkowym planistycznego pięciolecia. Dlaczego nie zwołuje się zjazdów nadzwyczajnych dla dokonania oceny realizacji planu pięcioletniego i wytyczenia ostatecznych, obowiązujących wytycznych na nowe pięciolecie? Pytanie retoryczne, wiadomo, tak lepiej, oczywiście, dla biura politycznego. Toteż na V zjeździe jesienią 1968 Gomułka miał ułatwione zadanie, w sprawozdaniu swoim używał porównań niczego właściwie nie mówiących:

„Dwadzieścia cztery lata socjalistycznego budownictwa przyniosły dyna-

miczny rozwój ekonomiki i spowodowały doniosłe przeobrażenia społeczne narodu polskiego. Wyrazem tego jest uzyskanie przez naszą gospodarkę w roku 1968 ponad czterokrotnie wyższego dochodu narodowego niż w roku 1938[34]...".

No cóż, Breżniewowi jeszcze łatwiej, jego porównania sięgają roku 1913... W innym miejscu Gomułka mówił:

„W okresie między IV a V Zjazdem nastąpił dalszy poważny wzrost potencjału gospodarczego Polski Ludowej[35]...".

I na dowód kilka porównań roku 1968 do roku 1964. Ale ani słowa na temat, czy koncepcja planu w latach 1961-1965 okazała się słuszna, jakie były wyniki realizacji całego planu pięcioletniego i jakie z tego wypływają wnioski dla następnego pięciolecia. Gomułka uciekał się do porównań, które partię, a tym bardziej naród, absolutnie nie interesowały. Szczególnej wymowy nabiera fakt, że referat Gomułki liczący ogółem 69 stron (miesięcznika *Nowe Drogi*), zawierał zaledwie niecałe 5,5 strony o rozwoju gospodarki w okresie między IV a V zjazdem. Czemu tak skromnie?

Odpowiedź jest łatwa, sama się niejako narzuca, można ją na dobrą sprawę znaleźć pomiędzy niedomówieniami Gomułki:

„Wydatnemu ilościowemu wzrostowi potencjału produkcyjnego gospodarki narodowej w okresie międzyzjazdowym towarzyszyła również pewna poprawa jego ogólnej ekonomicznej efektywności, wyrażająca się wzrostem społecznej wydajności pracy oraz spadkiem kapitałochłonności produkcji, chociaż postępu w tym zakresie nie można uznać za zadowalający[36]".

Czyli jest lepiej, ale nie tak dobrze, jak planowaliśmy. Tej konwencji propagandowej Gomułka pozostanie wierny do końca referatu:

„Wzrosła też nieco ogólna efektywność realizowanych inwestycji przemysłowych... Nie nastąpiła natomiast widoczniejsza poprawa stanu przygotowania inwestycji, wyrazem czego są nagminne fakty przekraczania zaplanowanych kosztów inwestycji realizowanych".

Równie gładko prześliznął się Gomułka po innym kapitalnej wagi zagadnieniu:

„Nie osiągnięto założonego tempa wzrostu wydajności pracy w przemyśle. Wskazuje to na brak postępu w organizacji pracy i na niedostateczne wykorzystanie czasu roboczego".

Gomułka nie uznał nawet za wskazane wspomnieć w tym miejscu o wynikach akcji podjętej na polecenie VII plenum KC, która miała na celu właśnie poprawę organizacji pracy nikt z

34. *Referat Wł. Gomułki na V zjeździe PZPR*. Wyd. cyt.
35. Tamże.
36. Tamże.

delegatów zjazdu nie ośmielił się zapytać, jaki los spotkał uchwałę wspomnianego plenum... Cytujmy dalej:

„Nie osiągnięto założonych w planie 5-letnim proporcji pomiędzy wzrostem produkcji przedmiotów spożycia i środków produkcji. W szeregu przedsiębiorstw produkcja poszukiwanych wyrobów rynkowych była niedostateczna. W warunkach szybszego niż planowano wzrostu pieniężnych dochodów ludności niedostateczny rozwój produkcji wyrobów rynkowych stał się powodem pewnych napięć w sytuacji rynkowej".

Co za kazuistyka, któż zatem ponosi winę za ten stan: Przedsiębiorstwa dziwnym zrządzeniem losu unikające produkcji wyrobów rynkowych? Ludność dążąca do „ponadplanowych" wzrostów pieniężnych dochodów? Nie mniej obłudną jest jedna z końcowych konkluzji tej części referatu:

„Tak więc ogólny obraz rozwoju ekonomicznego kraju w okresie międzyzjazdowym jest pozytywny. W naszym życiu gospodarczym dają jednak o sobie znać także istotne trudności, a zwłaszcza niedostateczny wzrost produkcji dóbr spożycia, wynikający w dużym stopniu z niedostatecznych zdolności produkcyjnych przemysłu, oraz stałe napięcie w bilansie handlu zagranicznego, niedostateczny wzrost społecznej wydajności pracy, niedostateczna efektywność działalności inwestycyjnej".

W kilkuzdaniowej konkluzji Gomułka zdołał zmieścić wszystkie niemal zasadnicze tezy, będące odzwierciedleniem jego mentalności, horyzontów myślowych, jego stosunku do zjazdu. Jest w tej konkluzji gołosłowne stwierdzenie, jakoby zjazd otrzymał „ogólny obraz" rozwoju ekonomicznego w okresie między zjazdami; jest w niej zapowiedź dalszego wzrostu obciążenia społeczeństwa nakładami inwestycyjnymi; i przygotowanie gruntu dla dalszych ataków na klasę robotniczą w obliczu „niedostatecznego wzrostu społecznej wydajności pracy"...

A co z reformą systemu zarządzania i planowania? Temu tematowi Gomułka poświęcił aż dwie strony:

„Odrzucając rewizjonistyczne koncepcje niektórych ekonomistów, podważające rolę centralnego planowania w gospodarce narodowej i zmierzające do zastąpienia jego funkcji wolnym działaniem mechanizmu rynkowego, dążymy do umocnienia roli centralnego planowania przede wszystkim w drodze ściślejszego oparcia go na podstawach naukowych...".

To nic, że do tego czasu Gomułka usunął z instytutów naukowych, z uczelni i z partii nieomal wszystkich naukowców mających coś do powiedzenia w sprawach reformy systemu. Partia znajdzie, już znalazła „własnych" naukowców! Pytanie, jak powiadają, zostało jednak postawione — dlaczego więc nie wprowadzono jeszcze reformy? Oto odpowiedź Gomułki:

„Nasza partia poświęca sprawom doskonalenia zarządzania i planowania szczególną uwagę już od 1956 r. Na IV Zjeździe sformułowaliśmy na nowo ogólne kierunki zmian w systemie planowania i zarządzania, które następnie zostały rozwinięte w uchwale IV Plenum KC. Zmiany te są realizowane,

chociaż nie bez pewnych opóźnień. Jednocześnie przeprowadzono szereg eksperymentów w przedsiębiorstwach i zjednoczeniach, które dostarczyły wielu wniosków, nadających się do szerszego lub węższego uogólnienia. Obecnie, jak stwierdziliśmy w tezach przedzjazdowych, zamierzamy w ciągu najbliższych lat doprowadzić do stworzenia jednolitego, wewnętrznie zgodnego systemu ekonomicznego[37]".

Ani słowa na temat, dlaczego nie wprowadzono reformy przed IV zjazdem partii, dlaczego na IV zjeździe zaszła potrzeba sformułowania na nowo ogólnych kierunków i czym różniły się od kierunków ustalonych w Październiku! Bez odpowiedzi pozostawił Gomułka pytanie, dlaczego partia nie zrealizowała w ściśle określonym przecież terminie uchwały IV plenum i z czyjej winy powstały „opóźnienia" — kto hamował wykonanie uchwały? Przemilczał sprawę likwidacji eksperymentów, rzucił mgliste orzeczenie, że pewne wnioski nadają się do „szerszego lub węższego uogólnienia". I w sposób zupełnie już mętny obiecał: „doprowadzić do jednolitego, wewnętrznie zgodnego systemu ekonomicznego". Już nie reformy, tylko „wewnętrznie zgodny system".

◆

Niestety, wielu ludzi uległo czarowi walk frakcyjnych w PZPR. Po V zjeździe PZPR nawet niektórzy wytrawni publicyści zagraniczni w pośpiechu depeszowali do swoich redakcji: „Klęska Moczara, zwycięstwo Gomułki!". Naiwni... Owszem, V zjazd był klęską, ale społeczeństwa polskiego. Pasmo porażek trwających w czasie długiej jesieni 1967-1968! Obronną ręką wyszła natomiast *elita władzy, ludzie stanowiący podporę systemu biurokratycznego.* Zwróćmy uwagę, kogo w tym smutnym okresie *nie atakowano.* Ogień jawnej i niejawnej propagandy partyjnej nie dotknął ponad 150 tys. grupy *dyrektorów* przedsiębiorstw, zjednoczeń, departamentów ministerialnych — owej najbardziej zbiurokratyzowanej, wyrosłej na glebie tego systemu grupy. Przeprowadzona w środku Europy na chińską modłę „rewolucja kulturalna" nie musnęła wpływowej kasty ponad 100 *ministrów* (z zastępcami), blisko 100 *sekretarzy* komitetów partyjnych i *przewodniczących* rad narodowych szczebla wojewódzkiego. Poza zasięgiem ognia propagandy partyjnej znaleźli się *komendanci* i *szefowie* M.O. i U.B. Oczywiście, obronną ręką wyszli członkowie biura politycznego — z Gomułką, Jaszczukiem, Strzeleckim, Kliszką i Moczarem na czele. Reżyserowie wielkich akcji nie znaleźli wśród tych 200 tys. ludzi, bo tyle liczy polska elita władzy, winnych dezorganizacji przemysłu, braku artykułów rynkowych, osiemnastogodzinnej pracy na dobę tysięcy robotników, marnotrawstwa sięgającego miliardów złotych w skali rocznej! Winnych szukano po drugiej stronie barykady — wśród klasy robotniczej, wśród pisarzy, naukowców, inteligencji technicznej, wśród

37. Tamże.

młodzieży... Nie było nawet winnych krwawej rozprawy z młodzieżą polską w marcu 1968 na ulicach Warszawy, Wrocławia, Krakowa i Gdańska!

◆

Posłuchajmy jeszcze raz wielkiego aktora. Kurtyna w górę!

„Zakładamy, że w okresie 1971-1975 dochód narodowy wzrośnie o ok. 36,0 proc... Zakładamy, że dochód narodowy przeznaczony do podziału wzrośnie o ok. 35 proc... Przewiduje się, że ogólny fundusz spożycia w następnej 5-latce wzrośnie w granicach 27-29 proc... Wstępnie zakłada się, że wydajność pracy w przemyśle wzrastać powinna rocznie 5 do 6 proc...[38]".

Przedstawienie trwa. Farsa. Komedia. Dramat. PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW — KONIECZNIE ZOBACZCIE TĘ SZTUKĘ!

Antoni GUTOWSKI

38. Tamże.

Z ostatniej chwili

20 listopada rb. dwóch młodych Polaków, uzbrojonych w dziecinny rewolwer i puszkę imitującą bombę, zmusiło samolot „Lotu", kursujący na linii Warszawa-Wrocław do przymusowego lądowania w Wiedniu. Obaj sprawcy, Wiesław Sostawicz i N. Zierankiewicz, zwrócili się do władz austriackich z prośbą o azyl. Spośród pasażerów samolotu ksiądz, którego nazwiska nie podano, nie biorący udziału w całej akcji, również zwrócił się z prośbą o azyl. Samolot wraz z pasażerami wrócił tego samego dnia wieczorem do Warszawy. „Lot" odmawia wszelkich wyjaśnień oświadczając jedynie, że załoga i pasażerowie są cali i zdrowi. Warszawa zażądała od Austrii wydania sprawców. Jest to w ostatnich dwu miesiącach drugi wypadek na polskich liniach lotniczych.

Sprawy i troski

Raj utracony - raj odzyskany

W każdy piątek czytamy w gazecie ogłoszenie: Swat Mosze Kalisz. Tylko dla inteligencji z Polski.

I rzeczywiście, swat Mosze Kalisz nie przyjmuje ani Żydów z Maroka ani z Południowej Ameryki, Żydów z Rumunii, Łotwy albo Jemenu. Mimo to prosperuje doskonale i skojarzył sporo par. Opowiadał mi wiele wzruszających historii: jak przyszła do niego „brylanciarska córka", z milionami w posagu i piękna jak marzenie. Jak jej rodzice krzywo popatrzyli na młodzieńca ubogiego, choć z dobrej rodziny. I jak u swata w pokoju dogadali się z rodzicami młodego co do Pińska. — Pieniędzy on nie ma, to fakt — rzekła „brylantowa matka". — Ale pan wie, panie Kalisz, co to jest dla mnie, że oni pochodzą z Pińska? Pan wie, że mój ojciec i jego dziadek mieszkali na tej samej ulicy? I że ja z tymi oto ludźmi mogę rozmawiać po polsku? Czy pan rozumie, panie Kalisz, co to dla nas znaczy?

Pińsk? Pińsk? — dziwili się w tym czasie młodzi. Dla nich, rozmawiających biegle po hebrajsku, hebrajszczyzną wyniesioną ze szkół i z wojska, nazwa ta brzmiała komicznie.

... Oblicza się, że Żydzi z Polski stanowią jedną piątą ludności Izraela. Większość przyjechała jeszcze przed II Wojną Światową i był to element ideowy, syjonistyczny, zorganizowany przez „Haszomer Hacair", „Aljad Hanoar" czy przez inne organizacje o tzw. programie palestyńskim. Przez dłuższy czas — na koloniach, obozach i zgrupowaniach — przygotowywali się do pracy konstruktywnej w Palestynie a następnie — emigrowali legalnie i nielegalnie jeszcze w okresie mandatu angielskiego. Zazwyczaj tworzyli oni grupy założycielskie kibuców i po dłuższym czy krótszym czasie otrzymywali ziemię na osiedlenie. Była to ziemia nieurodzajna, bagnista, malaryczna, która — nim przetworzyła się w dzisiejsze żyzne, uprzemysłowione gospodarstwa kibucowe — pochłonęła wiele ofiar.

Ta *alija* dała Izraelowi pionierów — *chaluców*, budowniczych

nowoczesnego rolnictwa i przemysłu rolniczego, a także wybitnych działaczy politycznych i społecznych. „Izraelem rządzą Żydzi rosyjscy i polscy" — uważa się powszechnie. I rzeczywiście, w życiorysach wielu obecnych przywódców izraelskich znajdziemy „Polskę" jako miejsce urodzenia i z wieloma po dziś dzień można się porozumieć lepszą czy gorszą polszczyzną.

Największa *alija* powojenna przypada na lata 1948-1951. W tym czasie przyjechało dokładnie 103.732 Żydów polskich. Motywy emigracyjne były rozmaite — w wielu przypadkach ideowe, syjonistyczne. Z momentem powstania własnego państwa w Żydach obudziło się poczucie przynależności narodowej. Często decydującą rolę odgrywał fakt, że w rodzinnych wsiach i miasteczkach nie znajdowano nikogo bliskiego, że zniknęło dawne środowisko żydowskie, że jedynie w Izraelu istniała szansa na odszukanie — choćby dalszych — ale jednak żyjących krewnych. Wiele osób wreszcie chciało się znaleźć jak najdalej od tragicznych, wojennych wspomnień.

W latach 1951-1956 *alija* była prawie minimalna. Natomiast po roku 1956 przyjechało 34.426 osób, zaś w okresie 1958-1960 dalszych 9.157 Żydów polskich. *Alija* po roku 1956 nazwana została „gomułkowską" a jedno z osiedli podtelawiwskich otrzymało nawet popularną nazwę „Gomułkowo".

Motywy tej emigracji były odmienne od motywów *alii* przedwojennej czy *alii* z lat 1948-1951. Mniejszą rolę odgrywały przekonania syjonistyczne a decydowała chęć poprawy losu, zapewnienia dzieciom lepszej przyszłości, wydostania się z komunistycznej Polski. Wreszcie, poważne znaczenie miał fakt że Październik „wysadził z siodła" niektórych, najbardziej skompromitowanych działaczy stalinowskich. Część z nich stanowili właśnie Polacy pochodzenia żydowskiego — którzy masowo emigrowali wówczas do Izraela.

Dla bardziej świadomej inteligencji polskiej skończył się bardzo szybko „złoty okres" październikowy, nie widziała ona dla siebie miejsca w reżymie coraz silniej, coraz brutalniej — tylko z większą obłudą — wracającym do metod antydemokratycznych. Nadto, jeśli byli „pochodzenia żydowskiego" to nie chcieli żyć w kraju gdzie stopniowo odradzał się antysemityzm i gdzie stawał się powoli wykładnią polityczną rządów. Z tego środowiska także rekrutuje się część *alii* popaździernikowej.

W sumie, motywy ich decyzji emigracyjnych były negatywne, w przeciwieństwie do pozytywnych motywów lat ubiegłych. Być może temu trzeba przypisać, że do Wojny Sześciodniowej, do czasu zerwania stosunków dyplomatycznych, przed Ambasadą PRL tworzyły się długie kolejki tych, którzy chcieli „zapisać się na powrót". Był to czas *mitunu* — czyli kryzysu gospodarczego i ludziom trudno się było „urządzić,".

Ambasada zezwoleń na powrót prawie nie udzielała. Czas pokazał że nieliczni, którzy powrócili, pozwolili się później wykorzystywać w... kampanii antyizraelskiej, jak np. w słynnej audycji telewizyjnej „Nietolerancja".

Rok 1967 i Wojna Sześciodniowa przyniosły ogromne zmiany w mentalności tych wszystkich ludzi, którzy w Izraelu znaleźli się początkowo bardziej z przypadku niż z pobudek ideowo-syjonistycznych. Sześć dni z czerwca 1967 roku zmieniło ich dogłębnie i przetworzyło w głębokich, szczerych patriotów, gotowych oddać życie w obronie żydowskiej ojczyzny. Zrodziło się nadzwyczaj silne poczucie wspólnoty losów, wspólnoty dziejów, przynależności narodowej. Ta zmiana dotyczy zresztą nie tylko Żydów polskich. W momencie zagrożenia społeczeństwo uprzytomniło sobie groźbę utracenia tej wielkiej, wspaniałej szansy, jaką dało powstanie własnego państwa — i zdało sobie sprawę, że jest to szansa jedyna, historyczna, że dana jest ona Żydom raz tylko na przestrzeni dwutysięcznych dziejów świata. Ci, którzy obserwowali bezpośrednio Wojnę Sześciodniową opowiadają ze zdumieniem, że nie mogli poznać mieszkańców Izraela — dawniej kłótliwych, niezadowolonych, troszczących się tylko o własny los i los swojej rodziny — w dniach Wojny ofiarnych, oddanych jednemu celowi, poświęcających z ochotą pieniądze, czas — a przede wszystkim — życie. Po dziś dzień ci nieliczni, którzy opuścili kraj w panicznym strachu przed działaniami wojennymi, pozostają napiętnowani i właściwie wykluczeni z „towarzystwa". Do restauracji której właściciel umknął na parę dni przed 5 czerwca — nikt nie chodzi. Z sąsiadem, który nie poszedł kopać schronów — nikt nie rozmawia.

Po zwycięstwie, tym boleśniej odczuto nagonkę antyizraelską prowadzoną przez reżymy komunistyczne — w tym i przez reżym polski. Dlaczego „tym boleśniej"? — bo państwa komunistyczne swego czasu przyczyniły się do powstania Izraela, głosując w ONZ za podziałem Palestyny. Ale przede wszystkim — bo znakomita większość działaczy politycznych i partii politycznych, które dążyły do stworzenia samodzielnego państwa żydowskiego, wywodzi się z ruchu robotniczego i komunistycznego. Rodowód ich sięga ideałów Rewolucji Październikowej a Izrael jest (lub przynajmniej powstał) jako państwo socjalistyczne.

Wobec tego zdrada komunistyczna była zdradą najboleśniejszą. Wywołała falę rozgoryczenia i żalu — w swoisty sposób przejawiło się to np. w fakcie, że osiedle „Gomułkowo" wróciło do dawnej nazwy „Ramataviv", że o ile przed Wojną Sześciodniową jedna z dwóch istniejących w Tel Avivie księgarni polskich sprzedawała tygodniowo około 800 egzemplarzy „Przekroju" (!) — o tyle po Wojnie zaledwie 50 egzemplarzy. Ludzie w przyspieszony sposób przechodzili proces hebraizacji, uczęszczali na kursy hebrajskiego, dzieci wstydziły się rozmawiać z rodzicami po polsku, wracano do dawnych a zaniedbanych tradycji żydowskich.

◆

Wedle danych polskich, oficjalnych, po 1967 roku Polskę opuściło 5.300 Żydów. Dane te są z pewnością zaniżone i należy przyjąć, że do dnia 1 września br. — który to termin podany został

jako ostateczny, jeśli chodzi o emigrację żydowską rozpatrywaną w szczególnym, przyspieszonym trybie — Polskę opuściło przynajmniej osiem do dziewięciu tysięcy osób poprzez Ambasadę holenderską reprezentującą w Warszawie interesy Izraela, oraz trzy do czterech tysięcy przy pomocy Ambasady duńskiej lub innych Ambasad krajów zachodniej Europy, USA i Kanady. Nie oznacza to aby dalsze drogi emigrujących poprzez Ambasadę holenderską wiodły wyłącznie do Izraela. W rzeczywistości przyjeżdża 35-40 procent uchodźców, pozostali starają się o wizy emigracyjne do krajów skandynawskich, do USA i Kanady. Część z nich po dziś dzień oczekuje w obozach uchodźców w Rzymie i Wiedniu.

Interesujące może być ustalenie jaką te cyfry dają proporcję w stosunku do wszystkich nowoprzyjeżdżających do Izraela. Otóż w 1967 r. przybyło ogółem 18.250 Żydów z całego świata, w 1968 r. — ponad 31 tysięcy, w pierwszej połowie 1969 r. — ponad 17 tysięcy. W tym około 60 procent stanowią Żydzi z tzw. krajów dobrobytu a około 40 procent — Żydzi z Europy Wschodniej i Rosji.

W ogólnym obrazie imigracyjnym, *alija* polska „waży" nie ze względu na liczebność. Jednakże znakomitą większość stanowią w niej ludzie, którzy bądź posiadają wyższe studia (liczni naukowcy, lekarze, technicy, inteligencja humanistyczna), bądź też ci, którzy nawet bez wyższego wykształcenia zajmowali w Polsce wysoce eksponowane stanowiska. Przeważnie są to ludzie młodzi, w pełni sił twórczych i przeważnie przyjechali wraz z dziećmi kończącymi szkoły czy też już studiującymi.

Większość z nich była — jak należy przypuszczać — daleka od ideałów syjonistycznych. Przesiąknięci polską kulturą, obyczajowością, tradycją, w ogóle nie poczuwali się do żydostwa. Mieli polskie nazwiska, kończyli polskie szkoły i uniwersytety, a swój los i swoją przyszłość wiązali wyłącznie z ziemiami pomiędzy Odrą i Bugiem — daleki Izrael otaczając co najwyżej sympatią.

Przyjeżdżają więc z silnym poczuciem krzywdy, porażki osobistej, zawodu i goryczy. Dotyczy to nie tylko byłych działaczy partyjnych, wyrzuconych ze stanowisk w wyniku antyżydowskiej czystki — ale całej obecnej emigracji. Do niepewności losu, trosk bytowych i wszystkich kłopotów związanych z gwałtowną zmianą kontynentu, klimatu, systemu politycznego, obyczajowości itp. — dochodzi poczucie goryczy gdyż zabrano im prawo aby „czuli się Polakami". Zostali zdradzeni przez ustrój, przez władze i przez przyjaciół. Myślę, że ten, kto nie przeżył roku 1968 w Polsce „na własnej skórze" nie jest w stanie wyobrazić sobie jak bolesna była to zdrada. I już do końca życia ci emigranci podlegać będą uczuciom ambiwalentnym — z jednej strony wrogość i zapiekła gorycz w stosunku do całej obecnej Polski i polskości — z drugiej przeświadczenie, że zostali wygnani z Raju Utraconego.

Ale nie wiadomo dokładnie czym był ten Raj Utracony. W pewnym momencie okazał się po prostu Czyśćcem. Nikt nie

zapomni zapachu polskich poziomek i koloru polskiego zmierzchu — w Izraelu noc następuje nieomal bezpośrednio po dniu. „Tam" wszystko było piękniejsze i lżejsze — a jednocześnie brzydkie i ciężkie. Ludzie przychowują jakieś stare opakowania po p o l s k i e j paście do zębów i po p o l s k i m kremie do rąk — jednocześnie powiadają słusznie „jakaż fatalna to była pasta!". Po nocach śnią im się ulice i domy, przywołują w pamięci wszystkich, których znali, w myślach prowadzą w dalszym ciągu jakąś gorączkową obronę własnych racji. To nie jest tylko kwestia nostalgii. To przede wszystkim dwoistość uczuć jakim podlegają. Najgorsze jest to, że fakty, argumenty i wspomnienia mają na jedno i na drugie: w Warszawie, w czasie wojny pewien Polak uratował rodzinę żydowską. Uratował ją bezinteresownie, przechowywał we własnym mieszkaniu narażając siebie, swoją żonę i swoje dzieci. Los chciał że po latach ten Polak był kierownikiem działu w pewnej instytucji, w której pracował również syn uratowanego Żyda. W kwietniu 1968 roku Polak głosował ZA usunięciem syna przyjaciela. Spotkany przypadkowo na ulicy cichcem, pod murem szeptał: „Musicie mnie zrozumieć, ja nie mogę narażać swoich, ja sam stracę posadę, ja nie jestem już młody, czekam na rentę".

Ale później coraz mocniej zaczynał wierzyć w usprawiedliwienie, które sam wymyślił i które podsuwała mu oficjalna propaganda, i już nie tylko na użytek kolegów biurowych ale i wobec siebie rozumował: „przecież jest w tym prawda, że Żydzi zajęli wszystkie stanowiska, a to jednak element obcy i do tego mają własną ojczyznę, czemu tam nie jadą?"

W tym ostatnim punkcie jego poglądy były właściwie zgodne z poglądami głoszonymi przez Państwo Izrael. Antysemityzm polski zajął stanowisko syjonistyczne! Ale pomiędzy tym wszystkim znaleźli się ludzie zawieszeni w zupełnej pustce. Z ich bagażem wspomnień, z pamięcią wewnętrznej walki stoczonej p r z e d podjęciem decyzji — nie jest łatwo zaczynać nowe życie. Szczególnie, że w izraelskiej rzeczywistości na taką walkę nie ma miejsca. Żyd, który tu przyjeżdża, nie jest wedle ustaw kraju „imigrantem" ale wraca do w ł a s n e j ojczyzny, odzyskanej po dwóch tysiącach lat. Z momentem wkroczenia na ziemię izraelską otrzymuje obywatelstwo i wszystkie prawa (łącznie z prawem uczestniczenia w wyborach), staje się więc od razu „obywatelem pierwszej kategorii". Zaś ustawy i cała struktura organizacyjna państwa — któremu *alija* potrzebna jest „jak powietrze" — dają im przywileje jakich nie posiadają dawni mieszkańcy — *sabry* (czyli urodzeni tutaj) i *waticy* (ci, którzy przyjechali przed laty). Nowy przybysz otrzymuje tzw. książeczkę *ole*. Słowo *ole* oznacza „wspinanie, podchodzenie" i wskazuje, że droga nowego przybysza jest trudna jak „wspinaczka pod górę". Na tej podstawie przez trzy lata imigranci są zwolnieni od płacenia podatków i ceł (które w Izraelu ze zrozumiałych przyczyn są bardzo wysokie). Pozwala to — dla przykładu — kupić samochód za ½ kwoty, jaką musiałby zapłacić dawny mieszkaniec. Zwolnienia od podatków

obejmują także pensje. Nowi *olim* korzystają z niskooprocentowanych pożyczek, zaś opłaty za przewóz bagażu czy półroczny pobyt na *ulpanie* (nauka języka z internatem) są rozłożone na wieloletnie spłaty. Mimo trudności jakie okresowo przeżywa państwo w kwestii mieszkaniowej, nowy *ole* może w zasadzie liczyć na mieszkanie — i to na specjalnych warunkach obniżonego czynszu. Ponieważ standard mieszkaniowy w Izraelu jest w ogóle bardzo wysoki, więc i te mieszkania dla *olim* mają wszystkie wygody, są obszerne i nowoczesne. Ta sprawa budzi zresztą niekiedy zawiść dawnych *watików*, którym przed laty ofiarowywano co najwyżej baraki lub namioty. W pewnych środowiskach przedwojennych emigrantów z Polski, tych, którzy przyjeżdżali tu z przyczyn ideowych, syjonistycznych, drzemią także inne ukryte pretensje do „nowych" — wiadomo przecież, że ci „nowi" znaleźli się tutaj tylko dlatego że ich w pewnym momencie po prostu wypędzono. A więc „gdzie byliście, kiedy my tutaj osuszaliśmy błota i dlaczego przyjeżdżacie teraz na gotowe". Jednak takie nastroje są ostro piętnowane przez propagandę i opinię publiczną — w zasadzie nowoprzybyli spotykają się z wielką, nieznaną chyba w innych krajach, serdecznością i chęcią pomocy. Izrael jest zresztą krajem niezwykle „familiarnym" — w wojsku, w pracy, na uczelni panują stosunki swobodne i pozbawione dystansu. Przyjaźnie i znajomości zawiera się łatwo, kontakty towarzyskie są bardzo rozwinięte, życie charakteryzuje swoboda, niezależna nawet od stopnia zamożności. Szczególnie zaś nowoprzybyłych „nie obowiązuje" przecież posiadanie majątku lub pozycji społecznej. Niemniej jednak nieznajomość języka i ludzi ogranicza towarzysko i minie wiele lat nim nowy *ole* prawdziwie zapuści korzenie.

W instytucjach i urzędach izraelskich panuje niemała biurokracja — wtajemniczeni twierdzą że przenieśli ją... biurokraci rosyjscy i polscy. Ale niezależnie od biurokracji i pewnego chaosu organizacyjnego — tylko w Izraelu stworzono całą sieć instytucji zajmujących się pomocą dla nowych *olim*. Przede wszystkim — Ministerstwo Absorbcji, dalej *Sochnut* czyli Agencja Żydowska i jej wyspecjalizowane agendy jak Departament Wyższych Studiów, także związki i ziomkostwa, o których napiszemy niżej. Oddział *Sochnutu* działa w każdym osiedlu, zamieszkałym przez „nowych". Jest to zjawisko typowo izraelskie, znamienne dla kraju, którego działacze określają *aliję* jako następną w hierarchii ważności sprawę — po problemach obronnych.

Sochnut i Min. Absorbcji pomagają w znalezieniu pracy (np. poprzez Pośrednictwo Pracy dla Akademików) a także w przekwalifikowaniu się, w opanowaniu nowego zawodu. Przykładem mogą być kursy dla programistów IBM i kursy *marketing*'u — przeznaczone dla „nowych" którzy ze względu na nieznajomość języka nie mogą uprawiać dawnych zawodów. W czasie kursów słuchacze otrzymują stypendia i pożyczki. Ten, kto przyjechał z zawodem technicznym czy medycznym nie ma w zasadzie trudności ze znalezieniem dobrze płatnej pracy, choć, oczywiście, nie

będzie z miejsca kierownikiem lub dyrektorem. Ludzie, którzy znajdują się w sytuacjach szczególnych — dziennikarze, filmowcy, pracownicy telewizji, radia, muzycy itp. otrzymali specjalne szanse w postaci rocznej „pensji sochnutowskiej" co pozwala im znaleźć zatrudnienie w tak specjalnych zawodach. Dzięki temu np. około 10 dziennikarzy przybyłych z Polski ostatnimi czasy znalazło pracę w gazecie *Nowiny i Kurier* wychodzącej po polsku oraz w żydowskiej *Lectenajes*.

Język hebrajski jest niezwykle trudny i w strukturze swojej nie podobny do żadnych języków europejskich. Starsze pokolenie — szczególnie mężczyźni — niekiedy uczyli się hebrajskiego w gimnazjach albo przy okazji uprawiania rytuału religijnego. Młodzi nie znają już nie tylko hebrajskiego ale nawet żydowskiego, jako że wszystkie tradycje, z którymi obecnie przyszło im współżyć, były dla nich obce. Większość nowoprzybyłych przechodzi półroczne kursy językowe *(ulpany)* ale nie wydaje się, aby przy przeciętnych zdolnościach językowych można było opanować hebrajski w tym czasie „powyżej" możliwości prowadzenia podstawowych rozmówek w sklepie lub w urzędzie. Proces poznawania języka zajmie jeszcze sporo czasu i jest to główne zagadnienie, główny problem i bolączka „nowych". Wobec chłonności rynku pracy w Izraelu dobra znajomość hebrajskiego otwiera często drzwi do wielu atrakcyjnych posad.

Niezwykle pozytywnym momentem jest możliwość dalszej nauki dla dzieci i młodzieży. Jeżeli są w wieku szkolnym — kontynuują naukę (chyba że kosztem jednego roku chcą lepiej poznać język). Jeśli są w wieku przedmaturalnym — mogą zdawać tzw. maturę ułatwioną, w języku polskim. Jeśli zdali maturę w Polsce — w trakcie rocznego kursu przygotowawczego na wyższą uczelnię poznają hebrajski i angielski. Jeśli studiowali — kontynuują wyższe studia w swoim kierunku. Nauka jest dla nich zupełnie bezpłatna, miejsca w szkołach i na uczelniach — zapewnione, korzystają ze stypendiów, domów akademickich itp. Naprawdę przyszłość dzieci przedstawia się imponująco — i jest to niejednokrotnie argument decydujący dlaczego dana rodzina przyjeżdża właśnie tutaj.

Przy tych wszystkich udogodnieniach i przy wszystkich ciężarach jakie ponosi państwo na rzecz swoich nowych obywateli — nie jest im łatwo żyć w tym kraju. Wyjątkowo ciężki klimat i zupełnie inna obyczajowość to tylko niektóre przyczyny — wielkim utrudnieniem jest niewątpliwy przymus religijny, tak obcy mentalności Europejczyka. Ten przymus religijny daje się łatwo „obejść", jeśli posiada się odpowiednie podstawy materialne — własne auto, telefon itp. bo wówczas nie przeszkadza że w piątki i soboty nie działa komunikacja publiczna. Ale już na *ulpanach* przybysze z Polski — niekiedy po raz pierwszy w życiu — stykają się z zagadnieniem „koszernych potraw", talerzy „mięsnych" i „mlecznych" itd. To budzi ogromny wewnętrzny sprzeciw — aczkolwiek po pewnym czasie nowi *olim* mogą się przekonać, że nacisk religijny w Izraelu dotyczy właściwie tylko p u b l i c z-

n y c h form życia, bo w domu można robić co się komu podoba. Gorsza sprawa z tzw. mieszanymi małżeństwami. Właśnie obecna *alija* sprowadziła do Izraela stosunkowo dużo małżeństw, w których tylko jedna strona ma autentyczne „żydowskie pochodzenie". Jeżeli Żydówką jest kobieta — wedle prawa rabinackiego dzieci są Żydami i nie mają kłopotów. Jeżeli jednak matka nie jest Żydówką i nie przeszła — choćby formalnie — na judaizm, dzieci w przyszłości nie dostaną np. rabinackiego ślubu. Zaś innych ślubów w Izraelu nie ma... *Nota-bene*, z przymusem religijnym i z przestarzałym prawem rodzinno-małżeńskim walczą w zasadzie wszystkie partie rządzące, muszą się jednak liczyć z naciskiem ośrodków ortodoksyjnych.

Myślę, że inne sprawy dla człowieka wychowanego w kręgu europejskiej tradycji politycznej i kulturowej też są trudne do przyjęcia. Ale przy tym wszystkim, właśnie i tylko tutaj odnaleźć można kawałek owego „raju utraconego". Są w Tel Avivie kawiarnie, w których publiczność i personel mówi tylko po polsku. Język polski przeplata się na ulicy z hebrajskim, angielskim, francuskim i rosyjskim. W licznych sklepach i w licznych urzędach zawsze „znajdzie się ktoś" kto rozmawia po polsku. W niektórych kibucach wszyscy założyciele pochodzą z Polski. W restauracji „u Lipskiego" dostaje się normalny bigos przypalany. Już do zupełnych humoresek należy autentyczny fakt że pewien Arab w Nazarecie pyta... po polsku czy podać kotlet schabowy (poznał nie tyle język ile parę zwrotów gastronomicznych w okresie służby w armii gen. Andersa).

Izrael jest jedynym (prócz Polski, oczywiście) krajem na świecie, gdzie jedna piąta obywateli prawdopodobnie wie kim był Adam Mickiewicz. I — gdzie przy odrobinie dobrej woli odnaleźć można jakąś cząstkę atmosfery kawiarni Nowego Świata czy nawet — Wilna i Lwowa.

Przejdźmy do zasadniczej kwestii naszych rozważań: kim są ci nowoprzybyli w sensie przynależności narodowej i świadomości politycznej — czy są Żydami, którzy po latach wrócili nareszcie na swoje miejsce, do swojej ojczyzny? Czy też są Polakami (pochodzenia żydowskiego) którzy z powodów politycznych i ze względu na dyskryminację opuścili Polskę i wybrali drogę emigracyjną?

Oczywiście, Państwo Izrael ma na to pytanie odpowiedź jednoznaczną — i jakaż inna mogłaby być zresztą, skoro, jak wspomniałem, w rozumieniu ustaw Żyd wraca do ojczyzny utraconej przed tysiącami lat. Oczywiście, wobec ciężarów ponoszonych na rzecz „nowych" Izrael ma prawo domagać się od swoich świeżo-przybyłych obywateli jakiejś lojalności w tej dziedzinie, a cała propaganda, wychowanie itp. zmierza do utwierdzenia ich w izraelskiej świadomości narodowej. Charakterystyczne, że z momentem wkroczenia na ziemię izraelską generalnie „odpuszcza się winy" i zamyka przeszłość — nawet jeśli była to przeszłość komunistyczna. Dla Izraela nie jest istotne czy nowy obywatel był w Polsce uczciwym człowiekiem czy stupajką i partyjnym karie-

rowiczem. Wybacza się nawet antysyjonistyczne deklaracje, głoszone w ramach PZPR. Państwo, któremu *alija* potrzebna jest „jak powietrze" nie może dyskutować przeszłości tych, którzy zdecydowali się na przyjazd. Tu mają szansę zacząć wszystko od nowa — choć takie stanowisko budzi niekiedy sprzeciw, jest w ostatecznym rachunku jedynym możliwym do przyjęcia z punktu interesów kraju.

Tak więc emigrant z Polski przybywający do Izraela znajduje się w zupełnie innej sytuacji niż ci, którzy wyjechali, wprawdzie tym samym pociągiem z dworca Gdańskiego, lecz trafili do Szwecji, USA, Kanady, Danii czy Włoch. Tam są traktowani na zasadzie emigrantów politycznych i państwa te nie dążą do tego aby stali się Duńczykami czy Szwedami — odwrotnie, proces taki byłby bardzo utrudniony i prawdopodobnie w tym pokoleniu niemożliwy.

W sumie jest to problem nader delikatnej natury. „Być obywatelem" to przecież nie tylko posiadać wszystkie prawa, ale także mieć jak najściślejsze związki z kulturą, historią, tradycją, obyczajowością, językiem itp. Nie można „stać się obywatelem" w trakcie paru minut — pomiędzy opuszczeniem wiedeńskiego samolotu a zejściem na ziemię izraelską. A przecież szansą tych nowoprzybyłych jest jednak właśnie i tylko to, aby z Polaków żydowskiego pochodzenia stali się Żydami urodzonymi w Polsce... Wobec zrozumiałej zupełnie, patriotyczno-nacjonalistycznej ideologii państwa Izrael, nie mają właściwie innej drogi i tylko ona może im przynieść sukcesy zawodowe i towarzyskie. A więc znów ta ambiwalencja — która będzie im już towarzyszyła całe życie — konieczność dogłębnej zmiany mentalności, nie dla wszystkich możliwa. Zrozumienie sytuacji, szansa jaką otrzymali, szansa na to aby już nigdy i nigdzie nie byli „obywatelami drugiej kategorii" — i opór wewnętrzny, albowiem cały czas czują się jednocześnie emigrantami politycznymi z Polski. Wobec pełnej prawdziwego, niespotykanego patriotyzmu atmosfery w jakiej obecnie przyszło im żyć — muszą dokonać wyboru. W Izraelu nie można być „emigrantem", tu można jedynie albo czuć się obywatelem albo — wyjechać.

Być może, że część spośród tych ludzi wybierze drogę wyjazdu, w czym nikt nie będzie im robił trudności. Jednakże dochodzi tu do głosu owa „dwoistość doznań" — wielowiekowe doświadczenia wykazały, że próby asymilacji w jakimkolwiek kraju wcześniej czy później zawodzą. Rację mają ideolodzy syjonizmu kiedy powiadają, że jedyną właściwie „radą" na antysemityzm jest... ucieczka przed nim. Ale — ucieczka do własnego państwa. Ludzie którzy przeżyli okupację hitlerowską we wschodniej Europie i hecę antysemicką w Polsce Ludowej mają świadomość klęski koncepcji asymilatorskich. W sumie jest im naprawdę trudno „dojść do ładu" ze sobą samym.

Trzeba teraz zadać sobie pytanie czy wejście w proces „stawania się Izraelczykiem" musi jednocześnie oznaczać zerwanie wszelkich związków z polskością? Czy tylko zerwanie tych związków może ten proces umożliwić? Oraz — jakie znaczenie dla dawnej emigracji politycznej ma obecna emigracja z lat 1967-1969.

Odpowiedź na te pytania wymaga zainicjowania dyskusji na temat całokształtu polsko-żydowskich spraw. Nie wiem czy taka dyskusja jest w ogóle już możliwa. Zbyt wiele nawarstwiło się wzajemnych urazów, kompleksów i zbyt wiele bólu było po obu stronach. Polska dała schronienie prześladowanym Żydom średniowiecznej Europy — Żydzi ci dali Polsce wielkie nazwiska w dziedzinie nauki, kultury, polityki, przemysłu. Polacy ratowali Żydów z narażeniem własnego życia w czasie hitlerowskiego terroru — i Polacy wydawali ich Niemcom kiedy prześladowani nie mieli czym opłacić szmalcowników. W pierwszych latach powojennych (a nawet i później) znakomitą, niestety, większość pracowników UB stanowili Żydzi — w 1968 r. Polacy popełnili zdradę wobec zupełnie zasymilowanych Żydów. Przed II Wojną Światową grupy studentów krzyczały „Żydzi precz z uczelni", a w 1967 r. studenci polscy szli do więzienia za hasła walki z antysemityzmem. W czasie wojny Żydzi płacili grube pieniądze za tzw. aryjskie papiery — w 1969 r. skazano pewnego rabina, który (dodajmy, że bezinteresownie) „organizował" żydowskie dokumenty dla rdzennych Polaków, pragnących wyrwać się z Polski... Jakże wybrnąć z tak skomplikowanych powikłań, jakże zapomnieć o tym wszystkim co b y ł o, jakże przejść nad dawnymi sprawami do porządku dziennego?

Pewien działacz syjonistyczny powiedział, że „Żydzi nigdy nie wybaczą Polakom". A przecież — choć to nie do wiary — jednak nawiązano normalne stosunki izraelsko-niemieckie (oczywiście z NRF) i tylko Filharmonia tutejsza musiała odwołać koncert wagnerowski wobec protestu społeczeństwa, i tylko jeden samotny człowiek z uporem organizuje demonstracje przed ambasadą NRF oraz wchodzi na boisko w trakcie meczu piłki nożnej Izrael-Niemcy Zachodnie aby nieść transparent z napisem: Izrael-NRF : zero do sześciu milionów.

Są też tacy, którzy nigdy nie jeżdżą do Niemiec, lub nawet tranzytem przez Niemcy, są tacy którzy nigdy nie wsiadają do taksówki jeśli auto ma markę niemiecką — lecz w sumie stosunki uległy przecież normalizacji. Czyli taka lub inna normalizacja byłaby — w sensie perspektywicznym — możliwa i w dziedzinie stosunków polsko-żydowskich. Szczególnie, że w roku 1967 pojawił się nowy moment — autentyczna sympatia jaką szerokie odłamy polskiego społeczeństwa otaczały Izrael — Izrael bijący na głowę Arabów wyposażonych w rosyjską broń i gomułkowskie poparcie!

Nie ma co udawać, że w Polsce Żydzi byli lubiani w ostatnim przynajmniej stuleciu. Nie był lubiany ani Żyd zasymilowany ani Żyd w jarmułce, ani Żyd prześladowany przez hitleryzm, ani Żyd zajmujący eksponowane stanowisko w aparacie komunistycznego ucisku. W najlepszym przypadku był to „problem do rozgryzienia" i mimo wysiłków co bardziej światłych jednostek z obu stron — rozwiązanie problemu nie było możliwe ani łatwe. Natomiast

kimś zupełnie innym, kimś sympatycznym, odważnym, silnym, kimś „na miejscu" na swojej ziemi, jest w świadomości Polaków Izraelczyk. Właśnie — nie Żyd a Izraelczyk. Faktem jest, że izraelskie zwycięstwo w Wojnie Sześciodniowej świętowali rdzenni Polacy. Więc na tej płaszczyźnie istotnie może szansa na jakieś przyszłe „porozumienie narodów".

Potrzebna byłaby dyskusja oświetlająca możliwie bezstronnie sprawę polsko-żydowskich stosunków. Kto jednak taką dyskusję mógłby prowadzić?

Tu wracamy do problemu: emigracja polska a Żydzi polscy w Izraelu.

Jeżeli faktycznie nadszedł czas uczciwej i poważnej dyskusji, jeżeli taki dialog mógłby wiele dobrego zdziałać i wiele wyjaśnić — to może go podjąć wyłącznie emigracja polska i Żydzi polscy w Izraelu. Odległości nie stanowią przeszkody, a przynajmniej nie stanowią przeszkody zasadniczej. Wydaje się że podjęcie dialogu jest obowiązkiem historycznym obu stron.

Istnieją w Izraelu instytucje i organizmy mogące stanowić forum dla takiej dyskusji. Działa tu ponad 1.000 (tak! ponad tysiąc!) ziomkostw polskich, spośród których największe to ziomkostwa Warszawy, Łodzi, Lwowa, Białegostoku, Krakowa, Chełma, Nasielska i Pińska. Działa Związek *Olim* z Polski, który grupuje blisko 100 ziomkostw, a z blisko czterystoma pozostaje w bliskim kontakcie. Ten Związek (*nota-bene* otrzymał niedawno nową i bardzo piękną siedzibę w centrum Tel-Avivu) jest jednym z największych w Izraelu i prowadzi wielopłaszczyznową działalność: przyznaje stypendia szkolne i studenckie, udziela pożyczek i zapomóg, organizuje spotkania i wieczory towarzyskie. Jak wspomniałam, w samym Tel-Avivie są dwie polskie księgarnie zaopatrzone w czasopisma, książki, wydawnictwa — z ostatnimi nowościami włącznie. Gazeta w języku polskim *Nowiny i Kurier* ma nakład w granicach 20 tysięcy egzemplarzy, co w Izraelu zalicza się do bardzo dużych nakładów. Wydaje się też, że poziom gazety podniósł się bardzo ostatnimi czasy, a jej głos liczy się poważnie w oczach opinii publicznej. Mimo że jest oczywiście nastawiona na problematykę izraelską, wiele miejsca zajmują sprawy polskie — z tego względu zasługuje też na szerszą popularyzację wśród kół emigracyjnych na Zachodzie.

Żydzi polscy w Izraelu mają niekiedy pretensje do emigracji o to, że nie zareagowała należycie na antysemickie posunięcia reżymu Gomułki. Są to w stosunku do niektórych kół emigracyjnych zarzuty słuszne, ale przy tej okazji pretensje obejmują nawet te środowiska emigracyjne, które właśnie ostro potępiły antyżydowskie czystki. W ogóle — wiedza o emigracji jest bardzo nikła. Z drugiej strony pewne koła polonijne występują przeciw zarzutom jakoby całe społeczeństwo polskie było przeżarte jadem antysemityzmu. W sumie — i tu nawarstwiło się wiele spraw godnych odpowiedzialnej dyskusji.

To luka, którą trzeba wypełnić. Nawet licząc się z tym, że początkowo grozi wzajemna nieufność i pamięć doznanych krzywd. Że kontakt i zrozumienie mogą nastąpić dopiero na gruzach dawnego życia, dawnych przekonań, walk i dawnych urazów.

Alina GRABOWSKA

◆

Wedle naszych informacji w Izraelu znajduje się bardzo dużo małżeństw mieszanych z „aliji polskiej", tak z lat poprzednich jak z lat 1967-1969. Jest ich prawdopodobnie więcej niż się przypuszcza oficjalnie. Trzeba odróżnić sytuację małżeństwa, w którym oboje są Żydami. Jak wiadomo żydowskie prawo religijne przykłada wagę do pochodzenia m a t k i nie ojca. Dzieci zrodzone ze związku, w którym matka jest Żydówką są Żydami, niezależnie od pochodzenia (i wyznania) ojca. Innymi słowy problem religijno-prawny dotyczy głównie tych małżeństw, w których kobieta jest Polką. Takich małżeństw jest właśnie najwięcej, sytuacje odwrotne są o wiele rzadsze.

Z tej sytuacji wynikają konsekwencje religijno-prawne. Mianowicie, jeśli żona jest „pochodzenia polskiego" to i dzieci są Polakami, a zatem nie mogą w Izraelu zawierać związków małżeńskich: ślubu rabinackiego nie dostaną, a ślubów cywilnych w Izraelu nie ma. Chcąc zawrzeć związek małżeński muszą wyjechać z Izraela np. na Cypr (najłatwiej i najtaniej). Takie małżeństwo jest w Izraelu honorowane, ale są inne przeszkody jak np. przekonania religijne czy tradycja rodziny narzeczonego czy narzeczonej. Rodziny ortodoksyjne do takich związków nie chcą dopuścić.

Dzieci które mają wpisane pochodzenie „polskie" niekiedy (w zależności oczywiście od wychowania i środowiska) odczuwają boleśnie swoją „inność". Dotyczy to szczególnie chłopców.

Status żon nie-Żydówek jest odmienny niż mężów Żydów. O ile mąż z chwilą wkroczenia na ziemię izraelską otrzymuje prawa *ole* i obywatelstwo izraelskie — o tyle żona dostaje status „osiedleńca" i np. nie ma prawa głosu w wyborach. W praktyce, ponieważ prawa *ole* dotyczą rodziny jako całości, nie ma to znaczenia, bo ażeby kupić jakieś przedmioty bez cła itp. wystarcza prawo męża — który jest *ole*. Jednakże jest to w sumie bardzo nieprzyjemne i bolesne dla nie-Żydów, którzy zdecydowali się w pełni podzielić los swego żydowskiego małżonka. Ostatnio zdarzyła się taka np. historia: przyjechała rodzina żydowska wraz z nianią-Polką, która ją uratowała w czasie okupacji. Tej niani nie przyznano miejsca na *ulpanie* ponieważ nie jest Żydówką.

Co mogą zrobić nieżydowscy mężowie lub żony? Mogą zmienić wyznanie, przejść na judaizm. Nie jest to proste, trwa długo, wymaga później powtórnego zawarcia ślubu rabinackiego, łączy się z „procesem" przed sądem rabinackim, trzeba przedstawiać świadków, zdawać egzaminy itp. Dla mężczyzn jest to jeszcze o tyle trudniejsze że muszą się poddać operacji obrzezania.

Trzeba jednak stwierdzić — i to jest bardzo ważne — że władze świeckie, Agencja Żydowska itp. nie tylko nie prowadzą żadnej polityki dyskryminacji w stosunku do nie-Żydów, ale raczej otaczają ich specjalną opieką. Podobnie zwalcza się ostro jakiekolwiek objawy dyskryminacji w społeczeństwie i dziś ten problem (z wyjątkiem rodzin ortodoksyjnych) nie jest ani „ostry" ani bolesny. Cała sprawa sprowadza się do terroru religijnego pewnych kół ortodoksyjnych, terroru który jest zwalczany i piętnowany lecz jednocześnie uznawany z przyczyn polityczno-finansowych.

REDAKCJA

Rosnąca ofensywa na Polonię

NOWY MONOPOL PAXu

Słowo Powszechne z 28 października 1969 donosi:

Jak już informowaliśmy, w Opolu w dniach 23 i 24 października br. toczyła obrady sesja naukowa poświęcona 100-leciu wychodźtwa polskiego do Brazylii. Udział w sesji wzięło wielu wybitnych naukowców zajmujących się zagadnieniami naszej emigracji, przedstawicieli MSZ, władz TRZZ, Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną, Towarzystwa Polsko-Brazylijskiego, dziennikarze, działacze społeczni, naukowcy opolscy a także działacze Stowarzyszenia PAX. Z ramienia PAXu wzięli udział: red. J. Hlebowicz, ks. płk. J. Zawadzki oraz mgr L. Malczewska.

Sesji nadała walor również zorganizowana przez Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX i Muzeum Śląska Opolskiego, ekspozycja obrazująca historię wychodźtwa polskiego do Brazylii. Zgromadzone unikalne materiały o treści dokumentalnej i naukowej pochodzą ze zbiorów prywatnych działaczy Stowarzyszenia PAX, których udział w sesji był duży i z Instytutu Śląskiego w Opolu. Wystawa przeniesiona zostanie na tydzień czasu do Siołkowic, do klubu Stow. PAX, po czym odwiedzi kilka wiodących placówek kulturalnych Opolszczyzny.

W Poznaniu zakończyła się dwudniowa konferencja naukowa, poświęcona 100-leciu wychodźtwa polskiego do Westfalii i Nadrenii. Organizatorami konferencji byli: Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia", Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich oraz Instytut Zachodni.

Wypowiedź prof. W. Markiewicza

Przewodniczący konferencji dyr. Instytutu Zachodniego i prezes Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, prof. dr W. Markiewicz oświadczył m.in.:

We wzajemnych stosunkach między Polonią zagraniczną, w jakichkolwiek warunkach by się ona nie znajdowała, a rodakami w kraju, powinna obowiązywać zasada, że jest tylko jeden naród polski i tylko jedno państwo polskie. Temu narodowi i temu państwu wszyscy pospołu — Polacy w kraju i za granicą winniśmy cześć i oddanie na miarę naszych sił i możliwości.

Książki

Mandaryni, liberałowie i anarchiści

Wypowiedzi wybitnych intelektualistów na tematy „ogólne" są zawsze interesujące, nawet jeśli zarzucić im można dyletantyzm (lecz któż nie jest dyletantem w sprawach „ogólnych"?) lub jednostronność (lecz któż nie pragnie być przekonywujący?) — stanowią bowiem zawsze obraz „czasu swego".

Dokumentacja, obejmująca dosłownie setki przypisów, podpierająca tezy zebranych w jeden tom artykułów publicystycznych*, jakie ogłosił amerykański lingwista Noam Chomsky w latach 1966-68, zdaje się przeczyć zarzutowi dyletantyzmu; trudniej byłoby obronić się autorowi przed zarzutem jednostronności. Lecz ona właśnie stanowi o tym, że książka jest godna uwagi — jako ilustracja nastrojów, nurtujących elitę intelektualną Stanów Zjednoczonych.

Tytuł zbioru — nie wiadomo, czy pochodzący od wydawcy czy od autora — nie jest reprezentatywny, ponieważ książka zajmuje się mniej „mandarynami" (czyli połączeniem intelektualisty i manadżera politycznego w jednej osobie — ucieleśnieniem którego jest dla Chomsky'ego McNamara), a więcej „klerkami". Od czasów rozgłosu książki Juliana Bendy, termin „klerk" kojarzy się ze słowem „zdrada" — i ten motyw stanowi też najistotniejszą warstwę książki Chomsky'ego. Komentując zarzut senatora Fulbrighta wobec intelektualistów amerykańskich, że nie potrafili przetworzyć uniwersytetów w przeciwwagę kompleksu: przemysł-armia, autor stwierdza: „Można dyskutować rozmiary tej zdrady, lecz nie ulega wątpliwości, że tendencja taka istnieje i stanowi realne niebezpieczeństwo. Senator Fulbright wymienia zasadniczą przyczynę: dostęp do pieniędzy i wpływów. Ze swej strony możemy przytoczyć jeszcze inne czynniki: niemal powszechnie panującą, niezwykle restryktywną ideologię, oraz dynamikę, inherentnie związaną ze specjalizacją".

* Noam Chomsky: *L'Amérique et ses nouveaux mandarins* (Traduit de l'américain par Jean-Michel Jasienko). Editions du Seuil, Paris 1969.

Specjalizacja oznacza techniczne zacieśnienie, „dehumanizację" i tendencję do manipulowania społeczeństwem, bowiem specjaliści zawsze dążą do zastosowania w praktyce koncepcji laboratoryjnych — a „hipertrofia optymizmu", jaką przejawia większość intelektualistów, przekonanie, że jest to najlepsza droga jaka istnieje, stanowią uzasadnienie i motyw takiego stylu „istnienia społecznego". Uzasadnienie i motyw — a więc ideologia. „Ideologia" jest dla Chomsky'ego słowem „złym", oznacza bowiem ograniczenie, zamknięcie, wykluczenie innych możliwości — jest więc „postawą kontrrewolucyjną", mimo, że występuje pod szyldem liberalizmu, zaopatrzonego przez Chomsky'ego w ironiczny cudzysłów. Odwrotnością kontrrewolucji jest rewolucja i Chomsky domaga się od intelektualistów postawy rewolucyjnej. Wobec notorycznej wieloznaczności tego przymiotnika nasuwa się pytanie, na czym postawa ta ma polegać. Odpowiedzią jest cytat z przedwojennej pracy amerykańskiego pacyfisty, A. J. Muste, który wyraźnie precyzuje proponowany przez autora sens tego słowa:

„Ludzie zdolni do zrezygnowania z bogactw, pozycji i władzy, jakie daje system społeczny oparty na przemocy i zachęcie do szukania zysku, ludzie zdolni do autentycznego włączenia się w walkę mas o światło — tacy ludzie potrafią w pewnym stopniu, i to niewątpliwie bardzej swym życiem niż słowami, znaleźć lepszą drogę, środki postępu społecznego mniej brutalne, mniej kosztowne i mniej bezwzględne niż te, którymi posługiwał się rodzaj ludzki aż do dzisiejszych czasów".

A więc „rewolucja wewnętrzna", moralna przede wszystkim — przy czym decydujący impuls ma wyjść od „mas". W przeciwieństwie do zwolenników „beta-rewolucji", ogłoszonej w omawianej kiedyś na tym miejscu książce Rietdijka, Chomsky odmawia intelektualistom „liberalno-technokratycznym" prawa do sterowania rozwojem społecznym. Odmawia im też obiektywizmu:

„Jeśli ideologia służy powszechnie za fasadę, maskującą interes osobisty, jest rzeczą naturalną przypuścić, że interpretując historię lub opracowując jakąś linię polityczną intelektualiści mają tendencję do przyjęcia postawy tłumaczącej prerogatywy danej elity, do potępiania ruchów ludowych i udziału mas w ważnych decyzjach, oraz do podkreślania determinującej roli tych, którzy — jak pretendują — posiadają konieczne kwalifikacje i umiejętności dla kierowania społeczeństwem i regulowania zmian społecznych".

Twierdzenie to stanowi nutę przewodnią szkicu, poświęconego krytyce książki Gabriela Jacksona *The Spanish Republic and the Civil War 1931-1939* (Princeton 1965). Mimo, iż Chomsky stwierdza, że „trudno nam dokładnie ocenić w jakim stopniu bolszewizm i liberalizm zachodni zjednoczyły się celem zdławienia rewolucji ludowej", tezą jego jest, że przyczyną upadku republiki hiszpańskiej było zastąpienie spontanicznej, ludowej koncepcji porządku społecznego przez zbiurokratyzowane struktury — oraz, że do dziś dnia ideolodzy tychże struktur (zarówno wschodniej jak i zachodniej proweniencji) przerzucają odpowiedzialność na masy ludowe, konkretnie zaś na ich reprezentanta — anarchistów.

Nawet gdyby Chomsky nie powoływał się *explicite* na Bakunina (jak czyni to w omawianym szkicu), jego sympatia dla koncepcji anarchistycznej jest wyraźna. Tęsknota za „autentycznym społeczeństwem" (przypominająca nieco XVIII-wieczną tęsknotę za „dobrym dzikusem") przebija w przytoczonym za José Peiretas idyllicznym opisie sytuacji w hiszpańskiej wiosce Membrilli w 1936 roku:

„Żywność, odzież, narzędzia zostały rozdzielone sprawiedliwie pomiędzy wszystkich mieszkańców. Zniesiono pieniądz, praca została skolektywizowana; wszystko stało się własnością wspólnoty... cała ludność żyje jak jedna rodzina... Membrilla jest może najbiedniejszą wioską Hiszpanii, lecz jest wsią, w której panuje największa sprawiedliwość".

Uprzedzając krytykę i pomijając ewentualne wątpliwości na temat stosowalności tego falansterowego modelu na szerszą skalę, Chomsky komentuje:

„Ten obraz, w którym wyraża się potrzeba powiązań międzyludzkich i ideał sprawiedliwego społeczeństwa musi wydawać się bardzo dziwny subtelnym intelektualistom, którzy zareagują nań odruchem niechęci i będą mówili o naiwności, niedojrzałości lub wręcz absurdzie".

Można jednak zapytać: jakie szanse ma ewentualna — nie „alfa-" lecz „A-rewolucja" wobec sojuszu intelektualistów i mandarynów, robiących rewolucję „beta"? To pytanie pozostaje bez odpowiedzi — i brak ten powoduje, że książkę odkłada się z uczuciem niedosytu. Jest ona znamienna *per se*, jako wyraz tego samego *malaise*, który podyktował Miłoszowi zdanie: „Jeśli kraje totalitarne są nie do życia, nie oznacza to jeszcze, że Zachód reprezentuje jakąkolwiek 'normalność' ". Lecz pewne pytania domagają się odpowiedzi; jeśli wybitny intelektualista stoi wobec problemów epoki równie bezradny jak kontestujący studenci, musimy zapytać: na czym ma naprawdę polegać tzw. odpowiedzialność intelektualistów? Na „nie braniu udziału" — czy właśnie na braniu?

W wydanej w Polsce w 1957 (i nigdy już nie wznowionej) książce St. Lema pt. *Eden* załoga statku kosmicznego, który przymusowo wylądował na nieznanej planecie, znajduje tam społeczeństwo rządzone w sposób absolutnie totalitarny: strach, obozy koncentracyjne, wszechogarniające kłamstwo i „eksperymenty historyczne", których koszt ponoszą całe pokolenia. Powstaje problem: interweniować czy nie interweniować? (załoga dysponuje bronią atomową, nieznaną na Edenie). Kapitan ekspedycji rozstrzyga: „Gdy raz zacznie się przelewać krew, po pewnym czasie nie wiadomo już, po której stronie są winni" — i rakieta startuje, a załoga przygląda się ze smutkiem (ale i pewną ulgą) pięknie lśniącej, oddalającej się planecie.

W wielkim skrócie fabuła ta ilustruje trudności zagadnienia „odpowiedzialności" w ogóle — z poprawką, że na Ziemi nie można po prostu odlecieć; i że zawsze chodzi o takich samych ludzi,

a nie stwory z innej planety. W „małym skrócie" jest to też ilustracją sprawy Wietnamu.

Sprawie tej poświęca Chomsky — uczestnik „marszu na Pentagon" — wiele miejsca, i to na „Nie" z największej litery. Wystarczą dwa cytaty:

„... jeśli Stany Zjednoczone będą upierały się przy kontynuowaniu tej drogi, sprawa zostanie rozstrzygnięta jednostronnie za pomocą amerykańskiej potęgi militarnej metodami, które zastosowały Niemcy hitlerowskie w Polsce i Związek Sowiecki na Węgrzech"

oraz:

„Stwierdzając oczywiste podobieństwa między faszyzmem japońskim (u progu II wojny światowej, M.B.) a imperialistyczną postawą Stanów Zjednoczonych na azjatyckim Południowym Wschodzie, nie powinniśmy przeoczyć podstawowych różnic — w szczególności faktu, że Japonia rzeczywiście walczyła o życie i o pozostanie mocarstwem, wobec 'oblężenia' przez inne mocarstwa; i oblężenie to nie było paranoiczną halucynacją".

Oburzenie Chomsky'ego jest znów wynikiem spojrzenia z płaszczyzny moralnej, anty-pragmatycznej; negatywny stosunek do wojny wietnamskiej z powodów tylko utylitarnych podciąga on również pod znak „zdrady liberalnej": w szkicu poświęconym książce Arthura Schlesingera Jr. *The Bitter Heritage*, wyrzuca autorowi, że używa słowa „głupota" na coś, co należy kwalifikować jako zbrodnię.

„Praktyczny punkt widzenia" u intelektualisty jest dla Chomsky'ego konformizmem: akceptacją, obroną zastanej rzeczywistości, a więc znów — ideologią. „Zastaną rzeczywistość" uważa za pewnik, że świat jest systemem naczyń połączonych, że Membrilla jest idealistyczną efemerydą bez szans przetrwania, że „odpowiedzialność" polega bardziej na pytaniu „co z tego wyniknie?" niż na „jakim prawem?" — i przeciwko tej rzeczywistości buntuje się Chomsky. Jego oburzenie jest uzasadnione i zrozumiałe, ale — z naszego Edenu nie można odlecieć. Kwestia „odpowiedzialności" (za co? — los własnego narodu? los świata? przyszły „kształt człowieka"?) musi być rozstrzygana tu i teraz. Książka Chomsky'ego nie daje recepty na jej rozstrzygnięcie. Może zresztą takiego rozwiązania nie ma? Spór między mandarynem a neo-anarchistą zdaje się odbijać metafizyczne zagadnienie: czy świat ludzki podlega „prawom", czy sposób „istnienia społecznego" jest w jakiejś mierze zdeterminowany, a jeśli tak, to czy czynnikiem determinującym jest jakaś „racjonalna linia rozwoju", jaką chcą wcielać w życie mandaryni takiej czy innej Tao — czy też „Duch Dziejów" przemawia ustami maluczkich, jak wierzy Chomsky.

W braku pewności pozostaje wiara w jedno lub drugie rozwiązanie. I wątpliwość, czy w tak spolaryzowanym świecie możliwy jest odpowiednik agnostycyzmu — liberalizm bez cudzysłowu.

M. BROŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Wybór wierszy powojennych*. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1969. Opr. płócienna. Cena £ 2).

KAMIL (Maria). *Saga polska*. Str. 387 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1969).

ŻYTOMIRSKA (Xenia). *Wiersze wybrane (1933-1945)*. Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1969).

SKOLIMOWSKI (Henryk). *Polski marksizm*. Przekład z jęz. angielskiego. Str. 99 i 5 nlb. (Wyd. ODNOWA, Londyn, 1969).

PISZCZKOWSKI (Tdeusz). *Odbudowanie Polski, 1914-1921*. Historia i polityka. Str. 342 z Indeksem nazwisk i 4 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska „Orbis", Londyn, 1969).

W 50-lecie Powstania Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Zebrał i opracował płk dypl. Wacław CHOCIANOWICZ. Str. 532. W tekście liczne fotografie. Indeks nazwisk, imienne listy absolwentów. Praca składa się z 4-ch części: I — Tło ogólne; II — Rozwój i praca W.S. WOJ.; III — Roczniki Wyższej Szkoły Wojennej; IV — Na obczyźnie; poprzedzona jest wstępem Autora. Cz. I-sza zawiera ponadto opracowania generałów: S. Kopańskiego, W. Stachiewicza, K. Sosnkowskiego i S. Lityńskiego. (Nakładem Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie, Londyn 1969).

SIKORA (Franciszek). *Dokumenty i kancelaria Przemysła I oraz Bolesława Pobożnego (1239-1279) na tle współczesnej dyplomatyki Wielkopolskiej*. Str. 224 i 8 str. ilustracji. (Wyd. Zakł. Nar. im. Ossolińskich, Wrocław - Warszawa-Kraków, 1969, cena zł. 42).

CZERNIAWSKI (Emil Jerzy). *Dmowski wobec Piłsudskiego*. Próba wyjaśnienia w świetle faktów historycznych. Str. 32. (Nakładem czasopisma „Nurt", Sydney, Australia, 1969).

MĘKARSKI (Stefan). *Marksizm-leninizm na wyższych uczelniach*. Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z broszury „Szkolnictwo wyższe i nauka polska na obczyźnie, Londyn, 1969).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Odebrano mi Polskę*. Wiersze. Str. 16. (Wyd. Stowarzyszenie Polskiej Kultury w Austrii, Wiedeń, 1969).

Dwie konstytucje Polski Niepodległej. Str. 24. Opr. J. Sokolnicki, L. A. Kupferwasser, E. J. Czerniawski, B. Łokaj, St. Lubodziecki. (Nakł. Min. Informacji i Dokumentacji R.P., Londyn, 1969).

Proroctwa polskie. Rok 1927 i dalsze proroctwa. Str. 12. (Wyd. w Londynie).

SUBOTIN (Stojan). *Legenda i prawda o powieściach południowosłowiańskich Teodora Tomasza Jeża*. Str. 41-63. Nadbitka z „Pamiętnika Literackiego LX, 1969, z. 2).

Contestazione a Varsavia. I documenti delle agitazione studentesche polacche dal marzo '68 a oggi. Introduzione di Zygmunt Bauman. (Przekład włoski „Wydarzeń Marcowych"). Tłum. B. Czeczyk Norton. (Wyd. Casa Editrice Valentino Bompiani, Milano, 1969, cena L. 2.000,—).

Livre blanc. La République Démocratique Allemande et l'Organisation des Nations Unies. Str. 168. (Wyd. Ministère des Affaires Etrangères de la République Démocratique Allemande).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

19-10-69
Zmarł w Poznaniu, w wieku lat 84, prof. dr Józef Kostrzewski, nestor polskiej archeologii. ■ Z okazji „Dni Kultury Rosyjskiej" prasa krajowa podaje cyfry nakładów tłumaczeń z rosyjskiego. Dzieła Lenina — 10 milionów egzemplarzy, dzieła Gorkiego 2 miliony 150 tys. egzemplarzy. Ukazało się ostatnio 14 wydanie „Cichego Domu" Szołochowa. ■ W Lublinie odsłonięto pomnik ku czci funkcjonariuszy MO i UB „poległych w walkach o utrwalenie władzy ludowej". W latach 1945-48 zginęło ich 1.300. ■ *Życie Gospodarcze* Nr 42 podaje, w rubryce „Żywocik gospodarczy", że „odpowiednie władze dokonały szczegółowej oceny jakości wideł i łopat wytwarzanych w Polsce oraz warunków produkcji. Stwierdzono że fabryki kluczowe i podległe radom narodowym w Grodkowie, Osowcu, Wapienicy, Opocznie, Więcborku, Bydgoszczy, Mysłowicach, Zagwiździu — wytwarzające widły i łopaty nie są pod względem technicznym i organizacyjnym przygotowane do produkcji wideł i łopat. Nasuwa się pytanie do produkowania czego są przygotowane w takim razie? Rzeczoznawcy z instytutu resortowego wyrazili o widłach i łopatach następujące opinie: „stwierdzono niewłaściwą obróbkę termiczną"... „badania metalograficzne wykazały zbyt małą twardość materiału..." „wytrzymałość przekroju na zginanie jest poniżej normy..." Zaś Centralny Urząd Jakości i Miar orzekł: „przepalone i popękane zagrzewy tulei..." „popękane nakładki i wystające główki nitów..." „luźno osadzone trzonki..." „... korozja i zła jakość drewna;..." Rozmiary produkcji: 8 milionów sztuk rocznie. Na wsi polskiej opinie rzeczoznawców udatnie przełożono na język potoczny: „G.... nie łopata". ■ W tymże nrze *Życia Gospodarczego* czytamy: „O ile na 31 grudnia 1967 roku przeciętna emerytura wynosiła zł. 1.108 w tym najniższa 700 zł. to na 1 stycznia 1970 r. przeciętna emerytura będzie wynosić zł. 1.532, w tym najniższa zł. 700. Przeciętna wysokość renty inwalidzkiej wyniesie 1.040 zł a renty rodzinnej — 958 zł. z tym że renta inwalidzka z tytułu inwalidztwa z innych przyczyn niż wypadek czy choroba zawodowa nie może być niższa dla I grupy inwalidów niż 1.150 zł. dla II grupy — 850 zł. a dla III grupy — 650 zł. Najniższa renta rodzinna przy 1 osobie uprawnionej wynosić będzie 700 zł., przy 2 osobach — 770 zł. a przy 3 osobach — 850 zł.".

20-10-69
W Pradze odbyło się inauguracyjne zebranie międzynarodowego zespołu naukowców do badania problematyki narodowościowej. Polską grupę na tym zebraniu reprezentowali dr Tadeusz Siwek i Jan Rusnok ■ Trzech księży ze Zgromadzenia Salwatorianów opuściło kraj i wyjechało do pracy duszpasterskiej wśród Polaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Są to: ks. Władysław Pawlik, ks. Bogdan Biliński i ks. Józef Zuziak. Pracę duszpasterską wśród Polonii amerykańskiej rozpoczęli polscy salwatorianie w r. 1938. Obecnie przebywa tam na dwóch placówkach 12 księży i 4 braci zakonnych.

21-10-69
Zmarł w Warszawie, w wieku lat 87, prof. dr Wacław Sierpiński, światowej sławy uczony-matematyk. ■ Nastąpił dalszy wzrost cen pasz w PRL — przeciętnie o 10 % w porównaniu z r.ub. Ceny ziemniaków wzrosły o 30 %. ■ Dostawy ryb i przetworów rybnych zmalały w porównaniu z ub.r. o 12 %. Nastąpiło to mimo konieczności robienia już obecnie rezerw

mięsa i przetworów mięsnych na potrzeby rynku w roku przyszłym, w którym ma nastąpić obniżenie poziomu skupu.

25-10-69
Rozporządzeniem ogłoszonym w warszawskim „Dzienniku Ustaw" z 13 sierpnia, zmieniono niektóre stawki w taryfie celnej na rzeczy przywożone lub przysyłane do Polski. Pozycje w których nastąpiły zmiany dotyczą: 1) żywicy, 2) fiszbinu, 3) materiałów dzianych, 4) odzieży, 5) futer, 6) skórek karakułowych i innych, 7) maszyn do liczenia, 8) części i końcówek do piór. Co się tyczy cła na odzież to obliczane będzie wedle następujących stawek: bluzki, swetry, kamizelki — za pierwsze 3 sztuki po 120 zł. od każdej sztuki, od każdej następnej po 500 zł.; garsonki — za pierwsze trzy sztuki po 200 zł., za każdą następną po 400 zł.; spodnie dziane — za pierwsze trzy sztuki po 100 zł. od sztuki, za każde następne 500 zł.; płaszcze z materiałów naśladujących futra — od pierwszej sztuki 1.000 zł., od każdej następnej — 2.000 zł. Materiały dziane metrowe z jedwabiu, wełny lub włókien syntetycznych — za każdy kilogram do 3 kilogramów — 400 zł., za każdy kilogram powyżej 3 kg. po 1.200 zł. Płaszcze z jedwabiu pierwsze 2 sztuki po 300 zł. od kilograma, następne kilogramy po 800 zł. Odzież z wełny za pierwsze 3 kilogramy po 300 zł. od kilograma, dalsze kilogramy po 600 zł. Odzież z materiałów naśladujących skórę za pierwsze 3 kilogramy po 100 zł. od kilograma, za następne po 200 zł. Odzież ze skóry bez futra za pierwsze 5 kg. po 250 zł. za kilogram, za dalsze po 500 zł. od kilograma. Dla odzieży używanej cło nie uległo zmianie. Cło od futer, jak bobry, foki, lisy, norki wyprawione, wynosi za pierwsze 3 kilogramy 3.000 zł. od każdego kilograma, za następne 10 tysięcy zł. od kilograma. Za futra jak popielice, piżmowce, szopy, oceloty, karakuły — za pierwsze 3 kg. po 1.000 zł. od kilograma, za następne po 4.000 zł. od kilograma. Nowe stawki od maszyn do liczenia uzależnione są od wartości: od pierwszej sztuki cło wynosi 30 procent wartości, od każdej następnej 80 procent wartości. Zmienione cło od końcówek do piór kulkowych wynosi obecnie 3.000 zł. od każdego kilograma. ■ W dniu premiery władze zdjęły ze sceny sztukę Dejmka „Dialogus", mimo uprzednich licznych poprawek cenzury. O zakazie zdecydowała specjalna Komisja K.C.

28-10-69
Zmarł w Moskwie, w wieku lat 87, wybitny pisarz rosyjski Kornej Czukowski. Był on dużym autorytetem dla inteligencji sowieckiej nie tylko ze względu na swoją twórczość ale także za nonkonformistyczną postawę. Wraz ze swą córką, Lidią, Czukowski był pierwszym obrońcą Siniawskiego i Daniela. ■ Zoran Gluszczywicz b. redaktor naczelny pisma *Knijizevne Noviny* został skazany przez sąd w Belgradzie na 6 miesięcy więzienia „za obrazę Państwa sowieckiego, jego kierowników i jego armii". Gluszczywicz w artykule opublikowanym 30 sierpnia potępił okupację Czechosłowacji przez wojska sowieckie i Paktu Warszawskiego. ■ W PRL studiuje ok. 190 studentów polonijnych. Otrzymują oni stypendium 1.100 zł., prawo korzystania ze stołówek akadem. i mieszkania w domach akademickich. Zresztą nie ma w nich miejsc dla ich znacznej części. Są to warunki wielokrotnie gorsze od stypendiów dla studentów z krajów niedorozwiniętych, tj. Afryki, Azji oraz Związku Sowieckiego. Studenci polonijni studiują głównie nauki humanistyczne. W Warszawie jest ich ok. 90 a w Krakowie ok. 40. Stypendia uzyskuje się za pośrednictwem konsulatów PRL i Towarzystwa Polonia. ■ Przybyła do Szwajcarii delegacja Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa pod przewodnictwem min. Janusza Wieczorka członka Prezydium ZG ZBoWiD i przewodniczącego Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa PRL. W skład delegacji wchodzi również ks. płk Julian Humeński, general-

ny Dziekan Duszpasterstwa Wojska Polskiego. Delegacja bierze udział w uroczystościach odsłonięcia, w dniu 1 listopada, pomnika na grobie żołnierzy polskich internowanych w czasie II wojny światowej w Szwajcarii i tam zmarłych. Ta nowa impreza propagandowa spotkała się z jednomyślnym protestem emigracji polskiej w Szwajcarii. ■ Jerzy Sochanik, radca ambasady PRL w Paryżu, został stałym przedstawicielem PRL przy UNESCO.

6-11-69
Mieczysław Nowakowski został mianowany dyrektorem i kierownikiem artystycznym państwowej opery im. St. Moniuszki w Poznaniu.

8-11-69
W związku ze spadkiem na wyższych uczelniach studentów robotników i kołchoźników, rozporządzeniem KC KPZS stworzono „Specjalne przygotowawcze kursy dla wybijających się robotników, kołchoźników i demobilizowanych żołnierzy". ■ Na Śląsku odkryto nowe i bogate pokłady węgla. Złoża znajdują się na obszarze między Rudą Śląską, Chorzowem i Katowicami. ■ W ostatnim czasie ośmiu księży ze Zgromadzenia Salwatarianów wyjechało z Polski na pracę misyjną do Tanzanii. ■ Jerzy Kwiatkowski otrzymał nagrodę Szczecińskiego Twa Kultury za tom esejów „Remont pegazów". ■ Katolicki Uniwersytet Lubelski w cyfrach: Ogólna liczba pracowników wynosiła w ubiegłym roku akademickim 652, z tego pracowników naukowo-dydaktycznych 380, w tym 15 profesorów zwyczajnych, 3 nadzwyczajnych, docentów 26, doktorów habilitowanych 13, wykładowców 14, adiunktów 54, starszych asystentów 45, asystentów 16, pracowników dokumentacji naukowej 3, stażystów 12, laborantów 2. *Biblioteka Uniwersytecka:* Stan zbiorów — z końcem roku wynosił 529.082 jednostek bibliotecznych. Biblioteki zakładowe posiadały w sumie 168.174 jednostki biblioteczne. Łącznie księgozbiory KUL liczą 700 tys. jednostek bibliotecznych. W roku minionym studiowały na KUL 1.974 osoby, w tym 1.134 mężczyzn i 840 kobiet. Towarzystwo naukowe KUL liczyło 293 członków. ■ Bardzo okazale obchodzi się w Polsce w tym roku Dni Kultury Federacji Rosyjskiej. W Warszawie — festiwal filmów sowieckich, w Poznaniu — wystawa książki sowieckiej, w Krakowie — prezentacja pamiątek historii kultury rosyjskiej, we Wrocławiu — pokaz sow. sztuki użytkowej. Oprócz wystaw, projekcji filmów sow. w kinach i telewizji, nowych premier sztuk pisarzy z Kraju Rad, liczne koncerty zespołów muzycznych z Moskwy i Leningradu, wizyty teatrów, dziesiątki spotkań publiczności z literatami, plastykami i filmowcami sowieckimi.

9-11-69
PRL rozpoczyna produkcję statków o nośności 55 tys. DWT. Pierwszy statek z tej serii będzie dostarczony do eksploatacji Polskiej Żeglugi Morskiej w r. 1970/71. Stocznia ma już zamówienia na 6 statków tego typu, z tego dwa z Norwegii i dwa z Jugosławii. ■ Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych wydały „Szkolny rocznik statystyczny 1969", opracowany przez Gł. Urząd Statyst. Niestety wydawnictwo to ma głównie charakter propagandowy.

11-11-69
Sekcja Związku Pisarzy Sowieckich w Riazaniu, gdzie mieszka Aleksander Sołżenicyn, wykluczyła go ze Związku. ■ W pełnym toku jest budowa drugiego przewodu rurociągu „przyjaźń", którym dostarczana jest do Polski i NRD sowiecka ropa naftowa. Gotowy jest pierwszy kilkukilometrowy odcinek ropociągu, układane i spawane są dalsze kilometry rur, m.in. na północ i północny wschód od Warszawy. Plan na rok przyszły zakłada zbudowanie

ok. 70 km. nowej linii rurociągu, a cała druga linia ma być gotowa w pierwszej połowie 1973 r. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 78 lat, Tadeusz Peiper, jeden z najwybitniejszych teoretyków nowych kierunków w sztuce.

12-11-69
Konstytucyjno-prawne komisje Izby Ludu i Izby Narodów Czechosłowackiego Zgromadzenia Federalnego zaleciły, aby „pozytywne" pierwiastki zarządzeń nadzwyczajnych z 22. VIII. 69 wprowadzić na stałe do kodeksu karnego. Przypomnieć należy, że zarządzenia z 22. VIII. 69 miały wybitnie faszystowski charakter.

14-11-69
Jak donosi prasa światowa w Warszawie rozpoczęło się posiedzenie KC PZPR, poświęcone sprawom ekonomicznym oraz rocznicy urodzin Lenina.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-10-69
Instytut Sztuki w Detroit zorganizował Wystawę Sztuki Wschodnio-Europejskiej reprezentującą ludowe zdobnictwo, stroje, rzeźby, dywany i ceramikę z tych rejonów.

18-10-69
W Rockville, Conn. (USA) zmarł, w wieku 61 lat, były kongresman Antoni Sadlak, który był kongresmanem przez 6 kadencji. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, A. Mazewski, poruszył publicznie sprawę przyznania przywilejów weterańskich żołnierzom polskim z ostatniej wojny przebywającym na terenie USA. ■ Ks. Paweł J. Miskowicz złożył 50 tys. dol. na Fundusz Stypendialny jego imienia w Kolegium Zw. Nar. Polskiego — Alliance College w Cambridge Springs, USA.

20-10-69
W Rzymie uroczyście obchodzono 40-lecie sakry biskupiej Iwana Buczka, jednej z czołowych postaci Kościoła Greko-Katolickiego i emigracji ukraińskiej. ■ Nowojorski *Nowy Świat* zwraca uwagę, że w kampanii wyborczej na stanowisko majora New Yorku zabiega się o pozyskanie głosów grup etnicznych: żydowskiej, portorykańskiej i murzyńskiej z całkowitym pominięciem Polonii. Dotyczy to *wszystkich* kandydatów zabiegających o ten urząd. ■ W Monterey, Cal. zmarł, w wieku 82 lat, wybitny rosyjski pisarz emigracyjny N. W. Narokow.

21-10-69
Willy Brandt, przewodniczący SPD, został wybrany przez Bundestag kanclerzem Niemieckiej Republiki Federalnej. Ostatni kanclerz socjal-demokratyczny był w Niemczech 39 lat temu. ■ W wydawnictwie *Nowy Świat* w New Yorku nastąpiły zmiany. Na miejsce dr. Leopolda J. Obierka generalnym zarządcą został Edmund Lipecki. Projektowana jest modernizacja pisma. Linia ideowa pozostaje bez zmian.

23-10-69
Literacką nagrodę Nobla otrzymał Samuel Beckett, autor *En attendant Godot*. S. Beckett jest Anglikiem, mieszkającym stale we Francji i piszącym po francusku. Ur. w 1906 r. ■ Odbył się w New Yorku jedenasty walny

zjazd polsko-amerykańskich specjalistów turystyki i właścicieli biur podróży z udziałem wybitnych przedstawicieli przemysłu turystycznego. Będzie to zjazd jubileuszowy, bo SPATA (Society of Polish American Travel Agents) obchodzi w tym roku dziesięciolecie działalności.

24-10-69
W 50-letnią rocznicę śmierci znanego pisarza rosyjskiego, Leonida Andrejewa, odbył się w Paryżu wieczór poświęcony jego pamięci z udziałem H. Zamoyskiej, G. Adamowicza, B. Zajcewa, prof. B. Jankielewicza i in. ■ W Londynie odbyło się doroczne zebranie „Ogniska Polskiego". Uchwalono wniosek, by doprowadzić do końca rozmowy z Polskim Ośrodkiem Społ.-Kult. w sprawie siedziby dla Ogniska w obiekcie zakupionym ostatnio przez POSK.

25-10-69
Z okazji 50-lecia powstania polskiej Wyższej Szkoły Wojennej odbył się zjazd absolwentów, zamieszkujących W. Brytanię i inne kraje osiedlenia. Opracowano księgę pamiątkową. ■ Rząd hiszpański oświadczył, że miejsce „Guernici", słynnego dzieła Picasso, które było w swoim czasie zamówione przez rząd republikański jest w Madrycie. „Guernica" jest zdeponowana przez Picasso w Muzeum Sztuki Współcz. w New Yorku. W Barcelonie istnieje już Muzeum Picassa, któremu ofiarował swoje zbiory b. sekretarz Picassa Jaime Sabartes. Mówi się, że Picasso, który kończy obecnie 87 lat, nosi się z zamiarem powrotu do Hiszpanii. ■ W hotelu Commodore w New Yorku rozpoczął się X Kongres Amerykańskich Ukraińców. ■ We Wrocławiu rozpoczął się 11 Międzynarodowy Festiwal Festiwali teatrów studenckich. ■ Na Quai d'Orsay został podpisany protokoł w sprawie wymiany kulturalnej, technicznej i naukowej między Francją a Polską w okresie 1970 i 1971 r. Jest przewidziane utworzenie lektoratu języka francuskiego na Uniwersytecie Lubelskim i stworzenie lektoratu polskiego na uniwersytecie w Dijon. Współpraca techniczna i naukowa będzie dotyczyła budownictwa i badań w dziedzinie energii atomowej i elektryczności. Przewidziana jest wystawa obrazów Fernanda Leger w Warszawie na wiosnę 1970 r. oraz m.in. występy we Francji w r. 1971 Orkiestry filharmonicznej Polskiego Radia. ■ Zmarł w Londynie znany adwokat Wacław Goldman, działacz społeczny i publicysta. ■ Na Uniwersytecie Chicagowskim powstał Zw. Studentów Polskich, który postawił sobie następujące zadania: rozbudować katedrę literatury, wprowadzić katedrę historii Polski, bronić dobrego imienia polskiego i pomagać studentom polskiego pochodzenia.

26-10-69
Teatr Dramatyczny w Chicago, pod dyrekcją Wandy Frydrich-Zbierzowskiej wystawił z dużym powodzeniem sztukę A. Fredry „Damy i Huzary". W ośrodkach polonijnych zauważono od pewnego czasu spadek frekwencji na występach zespołów przyjeżdżających z PRL i wzrost zainteresowania teatrem polonijnym, którego poziom ulega stałej poprawie.

28-10-69
Synod biskupi w Rzymie zakończył swoje obrady. Stanowi on niewątpliwie datę w historii kościoła przez stabilizowanie się instytucji kolegialności (synody mają być zwoływane regularnie w odstępach dwuletnich) i zwiększenie współudziału i współodpowiedzialności biskupów w zarządzaniu kościołem. ■ Nagrodę „Prix Aujourd'hui" przyznawana przez jury dziennikarzy, otrzymał Artur London, autor książki „L'aveu", która przedstawia szczegółowo proces Slansky'ego z lat 1951-2. 11 oskarżonych było powieszonych, trzech — w tej liczbie autor — skazanych na dożywotne więzienie. London, wypuszczony z więzienia w 1955, przebywa obecnie w Paryżu. ■ W Hadze

przyznano nagrodę „Praemium Erasmianum" filozofowi francuskiemu Gabriel'owi Marcel i b. fizykowi, a obecnie filozofowi niemieckiemu Carl von Friedrich von Weszäcker. ■ W Rzymie ukazała się po polsku krótka monografia naukowa pióra ks. bpa Wincentego Urbana poświęcona ks. prof. Szczepanowi Szydelskiemu, zmarłemu w Nysie w r. 1967, długoletniemu profesorowi na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i autorowi szeregu dzieł naukowych z dziedziny apologetyki i historii religii. ■ Senat USA ustosunkował się pozytywnie do projektu reformy prawa o prywatnych fundacjach. Projekt nowej ustawy przewiduje, że Fundacje tzw. wieczyste, jeśli chcą korzystać z ulg podatkowych, mogą istnieć nie dłużej niż 40 lat, po czym ich majątkiem zadysponuje rząd albo sąd. Fundacje prywatne będą musiały wydawać najmniej 5 % swojego majątku rocznie na cele dobroczynne. Jeśli ich dochód będzie mniejszy, to muszą konsumować własny kapitał (obecnie Fundacje średnio łożą na dobroczynność 3,5 % kapitałów). Fundacje prywatne będą musiały płacić podatek roczny w wysokości 0,2 % swojego majątku. Z funduszów Fundacji prywatnych nie będzie można opłacać żadnych wydatków fundatora lub jego rodziny.

29-10-69
Zmarł w Paryżu Loys Masson, wybitny pisarz i poeta francuski.

1-11-69
Dyrygent polski, Robert Satanowski, został generalnym dyrektorem muzycznym miast Mönchengladbach i Krefeld (Niemcy Zach.). ■ Nagrodę Nobla w dziale chemii przyznano łącznie prof. brytyjskiemu Derekowi Bartonowi i prof. norweskiemu Odd Hasselowi za prace z dziedziny „dynamicznej stereochemii". Nagrodę w dziale fizyki otrzymał prof. amerykański Murray Gell-Mann za pracę o klasyfikacji cząsteczek materii. Po raz pierwszy została przyznana nagroda Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych. Otrzymali ją Prs Ragnar Frisch z Norwegii i Jan Tinbergen z Holandii za prace o „rozwoju i zastosowaniu dynamicznych modeli w analizie procesów ekonomicznych". ■ Amerykanin polskiego pochodzenia, Józef Jabłoński, ubiega się o stanowisko Prezesa Związku Zawodowego górników USA. ■ Sekretarz generalny PSL p. J. R. Rzemieniewski i prezes PSL we Francji p. M. Wieszstort zaprotestowali przeciw decyzji prezesa Fr. Wilka przystąpienia Stronnictwa do Rady Jedności Narodowej. ■ Zmarł w Lodelinsart w Belgii, w wieku 65 lat, Mieczysław Eizenman, dziennikarz i literat. W czasie wojny był korespondentem wojennym i redaktorem *Dziennika Żołnierza* 1 dyw. Panc. Pisywał pod pseudonimem Or-Si. ■ Popularny wśród Polonii amerykańskiej artysta malarz i rysownik Wł. Krawiec, obchodził 80-lecie swych urodzin. Krawiec jest od 1913 r. rysownikiem *Dziennika Chicagowskiego*. ■ Fala rasowych zaburzeń objęła szkoły średnie w Detroit, New Yorku, Chicago i Milwaukee.

3-11-69
Sześciu porywaczy samolotów zostało deportowanych z Kuby do USA, gdzie czeka ich proces sądowy.

4-11-69
Roman Gribbs (Grzyb) został wybrany majorem m. Detroit.

7-11-69
Staraniem Stowarzyszenia Inż. i Tech. odbył się w Paryżu odczyt p. Krystyny du Château pt. „1000 lat architektury polskiej". ■ Odbyła się inauguracja nowego roku akademickiego w Polskim Uniwersytecie na obczyź-

nie w Londynie, w którym mgr E. Hinterhoff otrzymał ostatnio stopień doktora nauk politycznych.

8-11-69
W Birmingham zmarł wybitny muzykolog i specjalista od twórczości Chopina Arthur Hedley.

9-11-69
Radio BBC 4 powtórzyło audycję „Warsaw rising". Audycja trwała 55 minut.

14-11-69
O. Pietro Arrupe, generał Zakonu Jezuitów, oświadczył w Radio Watykańskim, że św. Stanisław Kostka (zmarł w 1568 r. w wieku 18 lat) zostaje patronem hippisów. Św. St. Kostka był symbolem nonkonformizmu i protestu. ■ Kapituła Nadzw. Zmartwychwstańców, która miała miejsce w Rzymie, wybrała Generałem Zakonu dot. prowincjała polskiego, ks. Obuchowskiego. Ks. Obuchowski ur. się 50 lat temu w Wilnie. ■ Na Światowym kongresie przedstawicieli Zgromadzenia Księży Oratorianów wybrano Polaka, ks. J. Rataja, na członka Rady Stałej. ■ Z Cap Kennedy na Florydzie wystrzelono statek kosmiczny Apollo XII z trzema astronautami — Conradem, Gordonem i Beanem. Jest to druga w historii wyprawa ludzi na Księżyc. ■ W Detroit odbyło się zebranie Ukraińskiego Klubu Społeczno-Kulturalnego, w całości poświęcone stosunkom polsko-ukraińskim. P. Ksenia Antipiw wygłosiła odczyt pt. „Tematyka ukraińska a *Kultura* paryska w roku 1968"; ponadto p. Wołodymyr Baran omówił książkę wydaną w „Bibliotece *Kultury*" (tom 169) pt. „Ukraina 1956-1968". Po odczytach nastąpiła ożywiona dyskusja. ■ W Detroit zmarł nestor dziennikarzy polskich w Stanach Zjednoczonych, w wieku lat 86, Józef Karasiewicz. Był to jeden z ciekawszych i niezależnych publicystów. Współpracował z *Dziennikiem Polskim* w Detroit. Pogrzeb nie odbył się, gdyż śp. J. Karasiewicz w testamencie zapisał swe zwłoki Szkole Medycznej Wayne State University.

15-11-69
Prasa francuska donosi, że premier Chaban-Delmas zamierza udać się do PRL z oficjalną wizytą. ■ Dr John A. Gronouski, b. General Postmaster Stanów Zjednoczonych i ambasador w Polsce, został mianowany dziekanem Lyndon B. Johnson School of Public Affairs na University of Texas w Austin.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Listy do Redakcji

Fribourg, listopad 1969.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę mi wierzyć, że niełatwo mi przychodzi ten list pisać. Nie jestem znawcą polskiego języka, nie jestem pisarzem, tylko po prostu Polakiem, który swój język lubi i któremu jest przykro, gdy mu go psują. Zdając sobie sprawę, jak mało jestem powołany do dawania nauk innym w dziedzinie, która nie jest moją własną, czekałem cierpliwie przez lata, aż ktoś znający rzecz lepiej, coś o tym napisze. Skoro jednak na nic podobnego nie natrafiłem, chcę kilka myśli o owym psowaniu języka w tym liście przedstawić.

Nawet na łamach naszych najlepszych pism znajdujemy stale nowotwory językowe, względnie błędne używanie wyrażeń skądinąd przyjętych. Te nowotwory i zwroty zubożają polski język, zacierają odcienie, które polszczyzna umie wyrazić i rażą każdego, kto nie odzwyczaił się jeszcze od myślenia po polsku.

Niektóre spośród owych nowotworów są po prostu wynikiem niewiedzy. Tak np. słowo „egzystencjonalistyczny". Mówi się po polsku „racjonalistyczny", bo słowo to pochodzi od łacińskiego „ratio", którego drugi przypadek brzmi „rationis". Ale „egzystencjalizm" pochodzi od „existentia", drugi przypadek „existen*tiae*", nie „existen*tionis*". Stąd „egzystenc*jali*styczny" nie „egzystenc*jonali*styczny".

To jest jednak mniej ważna sprawa. Gorzej przedstawia się ciągłe opaczne używanie końcówki „istyczny". Po polsku jest już tak, że tej końcówki używa się, gdy chodzi o wyrażenia oznaczające jakąś *teorię*, jakiś *pogląd* na pewne działanie czy przeżycie. Mówi się więc słusznie, że ktoś wyznaje *poglądy* racjonalistyczne, tj. filozofię, zgodnie z którą należy polegać na rozumie. Natomiast gdy ktoś postępuje rozumnie, można najwyżej powiedzieć, że działa racjo*nalnie*, nie racjo*nalistycznie*. Wiele ludzi postępuje bowiem racjonalnie, choć nigdy o racjonalizmie nie słyszało. Podobnie, gdy ktoś sobie dobrze przygotował lot, leci pla*nowo*, nie pla*nistycznie*. Na dobrą sprawę nie bardzo wiem co to „planistycznie" miałoby oznaczać — prawdopodobnie jakąś teorię, według której powinno się planować. Tak samo człowiek zachowujący się zgodnie z pewnymi ideałami zachowuje się kultu*ralnie*, nie kultu*rystycznie*. Wreszcie uczony wyjaśniający coś w sposób naukowy, postępuje najwyżej scjen*tycznie* (chociaż, naprawdę, nie wiem dlaczego nie po prostu „naukowo") — w każdym razie nie „scjen*tystycznie*". Scjentyzm jest bowiem pewną filozofią, która uczy, że tylko drogą nauki można poznawać — a to z badaniem naukowym nie ma wiele wspólnego.

Innym przykrym zjawiskiem jest ciągłe używanie wyrażeń obcych tam, gdzie łatwo byłoby znaleźć równie dosadne polskie. Odnoszę wrażenie, że wielu naszych pisarzy jest po prostu za leniwych, że nie robią żadnego wysiłku, aby zaglądnąć do polskiego słownika — i używają nadmiaru wyrażeń obcych. Ja przecież mogłem także, zamiast tego co tu napisałem, powiedzieć: „mają tendencję do nie konsultowania polskiego wokabularza i praktykują naddozę ekspresji importowanych". Dlaczego nie? Ale też: dlaczegoż nie mielibyśmy pisać po polsku?

Raczy mi Pan Redaktor wybaczyć — ale czytając nawet najlepsze nasze pisma przypomina mi się nieraz ów sienkiewiczowski sekretarz gminny z jego „ewentualnie a mianowicie". To brzmi tak naukowo — pardon, scjentyfistycznie — to robi takie wrażenie na prostakach, nieprawda?

Oczywiście, nie zamierzam twierdzić, że wszystkie błędy jakie popełniamy pochodzą z owej sienkiewiczowskiej postawy. Jedną z głównych przyczyn psucia języka są wpływy obce.

Przypominam sobie rozmowę z pewnym amerykańskim księdzem polskiego pochodzenia — polską rozmowę. Powiada mi ten ksiądz: „Ja mam taką wielką karę". „O, mówię, to ksiądz dobrodziej musiał coś grubszego przeskrobać". Nie rozumie: „karę mam *a car*". To po kiej zarazy ksiądz nie mówisz tego po polsku?" — „Kiedy 'samochód' to takie długie słowo". Pewnie ale po polsku mówi się także „wóz", co nie jest ani o jedną zgłoskę dłuższe od owej „kary". — To jest, oczywiście, wypadek skrajny, mający swoją przyczynę w szczególnych warunkach, w których Polonia amerykańska się wychowała — i trudno tego księdza winić, że nie zna polskiego literackiego języka. Ale kiedy polski pisarz, wychowany po polsku, odpowiedzialny za czystość mowy której używa, pisze taką gwarą, trudno nie biadać i nie prosić, aby coś z tym zrobiono.

Jeszcze jedna uwaga, tym razem nie dotycząca czystości, ale po prostu zwyczaju. Chodzi o „bilion". Amerykanie mówią „billion" zamiast *„tysiąc* milionów". Natomiast w Polsce używaliśmy wyrażenia „bilion" jako skrótu dla *„milion* milionów". Tysiąc milionów nazywało się u nas „miliard", tak jak u Francuzów. Co prawda ani bilion ani miliard nie są słowami „rdzennie" polskimi. Ale oba mają ustalone w Polsce znaczenie. Nie ma powodu do zmiany tego zwyczaju — tym bardziej, że my na emigracji mamy po temu mniej praw niż Polacy w kraju.

W kraju zresztą też źle się dzieje. Nie mam nic przeciw owym „babkom równym" i „drętwym mowom". To są *polskie* zwroty może gwarowe, może dziwne, ale przecież polskie. Natomiast wspomniana powyżej skłonność do używania wyrażeń oderwanych zamiast konkretnych, wyrażeń obcych zamiast polskich, i tym podobne, jest, tak mi się przynajmniej wydaje, także i w kraju powszechna — i ona jest przykra.

Niech wolno mi więc będzie przedstawić następującą prośbę: są na pewno zagranicą znawcy polskiego języka, ludzie uczeni, powołani do czuwania nad czystością naszej mowy. Ci znawcy powinni pisać o błędach, jakie popełniamy. Kierownicy pism polskich powinni ich wzywać do pisania o nich i umożliwiać im ogłaszanie uwag. W każdym razie wydaje mi się, że wszyscy byśmy z nich wiele skorzystali — i jeśli o mnie chodzi, bardzo o nie proszę.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku,

J. M. BOCHEŃSKI, O. P.

◆

Bruksela, 7 listopada 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Mieux vaut tard que jamais.

Znajduję nareszcie chwilę czasu i mimo wątpliwości: Czy to warto? I tak nic się nie zmieni — piszę tych parę słów, aby zareagować na artykuł pt.: „Smutna parafia", str. 107 w numerze październikowym *Kultury* (10/265).

Gdyby *Kultura* regularnie otwierała swoje szpalty dla spraw Kościoła w Polsce i świecie, wrażenie to byłoby mniej przykre.

Ale gdy się o ks. arcyb. Wojtyle wspomina tylko z okazji artykułu tak przykrego (w którym może jest trochę prawdy), to brak obiektywnej perspektywy jest oczywisty.

Jeśli *Kultura* naprawdę nie umie podejść do tych spraw pozytywnie, może lepiej, aby nie pisała o nich wcale.

Łączę wyrazy poważania, *Halina CZARNOCKA*

A więc jeszcze jedno tabu? Przypomnijmy powiedzenie Beaumarchais: „Sans la liberté de blâmer il n'est pas d'éloge flatteur". Redakcja.

◆

Delran, N.J., 24 października 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytam pośmiertne „elogiae" w *Kulturze* i poza jej ramami w pismach francuskich, angielskich i hiszpańskich. Żadne z tych mniej lub więcej znanych „piór" żegnając Gombrowicza nie tylko nie podkreśliło, ale nawet nie wspomniało o największej wartości jaką ten pisarz obdarzył literaturę i kulturę współczesną: *pisania bez najbledszego cienia samocenzury* — na co nowet Rousseau, nawet Voltaire... Oscar Wilde nie mogli się zdobyć...

Gombrowicz był (i jest) jedynym zjawiskiem i w ogóle jedynym pisarzem, z którego literacką twórczością się zetknąłem, posiadający ten „brak". — „Brak" może nieuchwytny dla wielu, ale który stał się przyczyną jego popularności, być może w dużej mierze podświadomie narzuconej, w światowych kołach intelektualnych (specjalnie w Niemczech). — Nic dziwnego zresztą że ten „brak", ten walor nieoceniony, pominięto żegnając go. Któryż pisarz czy krytyk może przyznać się (jeżeli nie jest Gombrowiczem) nawet do najbladszego cienia obłudy?

Z wysokim poważaniem, *Zygmunt FONBERG*

◆

OŚWIADCZENIE

W numerze *Kultury* Nr 11/266 (1969) zostało podane:

„Wpłaty dla uczczenia pamięci J. Stempowskiego, na pomoc dla polskich studentów aresztowanych w P.R.L., zebrane w dniu pogrzebu przez Kazimierza Vincenza". Pozycja wpłat 2-ga: Julian Godlewski/Lugano Fr. szw. 300. Proszę o przyjęcie do wiadomości, że na pogrzebie śp. J. Stempowskiego niestety nie mogłem być obecnym, na skutek jednak apelu do mnie skierowanego ofiarowałem wyżej wspomnianą sumę na rzecz pomocy polskim studentom w kraju. W całej mej długoletniej działalności społeczno-charytatywnej wystrzegałem się i nadal wystrzegać się będę wszelkich akcentów politycznych. Mam nadzieję, że moje oświadczenie zostanie odpowiednio do mej intencji zrozumiane.

Julian GODLEWSKI (Lugano)

Zamieszczając powyższe oświadczenie p. Juliana Godlewskiego pragniemy wyjaśnić nieporozumienie. Zbiórkę zainicjował p. Kazimierz Vincenz. Na jego

telefoniczne zapytanie czy zebrane kwoty przeznaczyć na Fundusz „Kultury" zasugerowaliśmy mu, by je przekazać na pomoc dla aresztowanych studentów, których los od 1968 roku bardzo żywo interesował Jerzego Stempowskiego. Jeszcze kilka tygodni przed jego śmiercią omawialiśmy z nim sprawę zebrania na ten cel odpowiednich środków. Byłaby to więc, w naszym przekonaniu, jakby kontynuacja jego planów i zamierzeń. Żałujemy, że p. Godlewski nie został o tym powiadomiony przez inicjatorów zbiórki. Ponieważ jednak Fundusz „Kultury" służy dla ściśle określonych celów kulturalno-politycznych, trudno by nam było wprowadzać doń jakiś specjalny dział przeznaczony wyłącznie na pomoc dla studentów jako takich. Doceniamy potrzebę takiej akcji, ale przekracza ona już nasze możliwości. Dlatego też zwracamy p. Godlewskiemu wpłaconą przez niego sumę F.S. 300,—.

REDAKCJA

◆

Sunnyvale, 12 listopada 1969.

Drogi Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury* napisałem o bibliografii p. Wępsięcia z Chicago, że „praca ta zapełnia jedną z najdotkliwszych luk w zakresie badań prasoznawczych polskiej Diaspory", dodając iż „zasługa Wepsięcia jest tym większa, że opracowując swój katalog poloniców amerykańskich musiał przedzierać się przez teren prawie dziewiczy". Podałem, że „zestawił imponującą liczbę poloniców, bo aż 1201", stwierdzając, iż „mocną stroną zapisu [jego] jest lokalizowanie każdego wydawnictwa, w jednej lub kilku bibliotekach na terenie Stanów, przy czym Autor usiłuje określić nawet objętość danego zbioru. Podnosi to niesłychanie wartość użytkową jego książki, i stanowi najmocniejszą jej stronę". Na zakończenie dodałem: „Zajęliśmy się szczegółowiej pionierską pracą Jana Wepsięcia, gdyż jest to dzieło, które w pełni na specjalną uwagę zasługuje, oraz w nadziei, że poruszone tutaj niedociągnięcia i błędy, przyczynią się, być może, do wydania w przyszłości pełniejszego i doskonalszego drugiego wydania tej ze wszechmiar pożytecznej pracy".

W październikowym numerze *Kultury* p. Wepsięć określa moją recenzję w następujący sposób: „Celem recenzji jest poinformowanie czytelnika o nowej książce, podkreślenie osiągnięć i wytknięcie błędów. Wolno to robić recenzentowi, przyjmując swój punkt widzenia, ale budowanie piramidy chaosu pojęć i podejmowanie omawiania danej pracy z takiej pozycji jest raczej bardzo rzadko spotykane".

Chcę z tego miejsca p. Wepsięcia przeprosić za przytoczone w pierwszej części niniejszego listu moje opinie o jego dziele, i tuszę, że Pan Redaktor udzieli gościny tym kilkunastu zdaniom na łamach Swego pisma.

Serdecznie Pana pozdrawiam,

Jan KOWALIK

◆

Lawrence, Kansas, U.S.A.

Szanowny Panie Redaktorze,

Więcej z sentymentu do tego kraju niż z właściwego zainteresowania czytuję wszelką lekturę o sprawach słowackich. W nrze 10/265 *Kultury* przeczytałam w artykule pt. „Smutna parafia" następujące zdanie: „Chrzcić

dzieci musieliśmy w odległej wiosce słowackiej Dursztyn". Autor artykułu w tym kontekście zdaje się sugerować czytelnikowi, że ów Dursztyn jest wioską słowacką bez zastrzeżeń.

Tak się składa, że człowiek, który się mną opiekował w ostatnim roku wojny i w dużej mierze przyczynił się do mojego ocalenia, był przed wojną proboszczem w Dursztynie na Spiszu. Nasłuchałam się więc dużo o tej spiszskiej parafii, a także poznałam kilka osób pochodzących stamtąd uważających się za Polaków. Ksiądz ten, zakonnik, którego władze nowopowstałego państwa słowackiego zesłały do klasztoru w Wschodniej Słowacji był Polakiem-patriotą, pochodzącym z Łodzi i nie znającym zupełnie miejscowego dialektu. Sam uważał swoje wygnanie za czasowe i marzył o powrocie na dursztyńską parafię czego gorąco oczekiwali też jego parafianie. Ten człowiek łagodny, dobry, nie rozpolitykowany i nie wojowniczy na pewno nie byłby marzył o powrocie do Dursztyna, gdyby parafianie byli wobec niego stosowali takie szykany, jakie widocznie stosują wobec księży Polaków. Nigdy od niego nie słyszałam, żeby mu tam dokuczano jako Polakowi lub żeby żądano od niego jakichś bodaj sympatii prosłowackich. Oczywiście wszystko to działo się ćwierć wieku temu. Ale czas pod Tatrami płynie wolno, a życie jak wynika z artykułu, toczy się jak dawniej wokół Kościoła i spraw kościelnych. Po wojnie Dursztyn znalazł się znowu w Polsce. O ile nie nastąpiła w ciągu 24 lat jakaś korektura granicy, chyba ciągle jest w Polsce Ludowej. W każdym razie nie można go na pewno nazwać bez zastrzeżeń wsią słowacką.

Sprawa Spisza, jak wszystkie sprawy narodowościowo-graniczne jest bardziej skomplikowana niż to przedstawia autor artykułu. A mieszkańcy spornych terenów są na ogół niezadowoleni z własnego losu niezależnie od tego, gdzie oficjalnie należą.

Z poważaniem,

Jadwiga MAURER

◆

New York, 20 listopada 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan dr Klaudiusz Hrabyk w krajowym piśmie *Życie Warszawy* z dnia 21-22 września 1969 roku umieścił wyjątki z mojej książki „Wspomnienia Kowieńskie". Podał on w nich moją rozmowę z attaché wojskowym Rosji Sowieckiej, ówczesnym majorem (1938) Korotkich. Jednakże pan Hrabyk nie umieścił całości rozmowy, a zwłaszcza nie podał mojej odpowiedzi na nieoczekiwaną propozycję majora Korotkich. Dotyczyła ona ni mniej ni więcej tylko zawarcia sojuszu Rosji Sowieckiej z Polską.

Ponieważ nie mogę umieszczać mego sprostowania w prasie krajowej ze względów zrozumiałych, przeto podaję je w Pańskim miesięczniku. Na str. 126 mojej książki „Wspomnienia Kowieńskie" piszę:

„Mówiąc dalej (z mjr. Korotkich — L.M.), podkreśliłem bardzo mocno, że na naszej polskiej ziemi pragniemy bić się samodzielnie, suwerennie i pod swoim własnym dowództwem. Co do wkroczenia wojsk rosyjskich na ziemie polskie zaznaczyłem, że długowieczne doświadczenia nauczyły Polaków nie ufać nikomu, a zwłaszcza Rosjanom, gdyż wiemy zbyt dobrze, że raz przez wojska rosyjskie zajęte ziemie — Wilno i Lwów — nigdy dobrowolnie nie będą nam zwrócone. Nie znaczy to jednak — mówiłem dalej — że odrzucam udział wojsk rosyjskich na obu skrzydłach polskich — na północy w Prusach Wschodnich i na południu na kierunku Wiedeń-Czechosłowacja. W wypadku

obecności wojsk sowieckich na polskich skrzydłach, zagadnienie wspólnego naczelnego dowództwa byłoby rzeczą do omówienia i ustalenia pomiędzy Rosją a Polską".

Jeśliby pan dr Hrabyk raczył umieścić ten ustęp mojej książki ze stronicy 126, to wówczas wymowa jego artykułu miałaby zgoła odmienne znaczenie.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

Leon MITKIEWICZ

W CHICAGO POWSTAŁA SKŁADNICA POLSKICH KSIĄŻEK

Największa w Stanach Zjednoczonych polonijna składnica książek powstała w Chicago przez połączenie trzech punktów księgarskich, które istniały i działały od wielu lat.

Nowa placówka wydawniczo-księgarska objęła przy tej reorganizacji starą, bo założoną w 1873 r. księgarnię Polish American Book co. oraz księgarnie, istniejące od dziesiątków lat przy *Dzienniku Chicagowskim* i tygodniku *Ameryka-Echo*.

Centralna składnica będzie działała pod nazwą „Polish American Book Co." i mieści się w gmachu Polskiej Spółki Wydawniczej, 1521 W. Haddon ave., Chicago, Ill. 60622, wydającej m.in. *Dziennik Chicagowski*, *Ameryka-Echo* i *Polish American*.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury": Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4e Trimestre 1969.

Indeks autorów i tematów "Kultury" za rok 1969

Spis autorów

ADAMSKI Bogdan. — BABIŃSKI Witold, BERAN Józef, BIAŁY Andrzej, BIELINKOW Arkadij, BIEŃKOWSKA Danuta Irena, BOCHEŃSKI I. M., O. P., BOGUSŁAWSKA Anna, BRODZIŃSKI Konrad, BROŃSKI M., BRZEZIŃSKI Zbigniew, BUSZA Andrzej, BYRSKI Zbigniew. — CHABROWSKI Tadeusz, CHCIUK Andrzej, CHORĄŻYNA Hanna, CIECHOŃSKI Czesław, CIOŁKOSZ Adam, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZARNOCKA Halina, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAWSKI Adam, CZERWIŃSKI Witold, CZŁOWIEKOWSKI I. J. — DANILEWICZ Maria, DĄBROWSKI Jan P., DĄBROWSKI Tadeusz, DERĘGOWSKI Jan, DOBEK Czesław, DOBKOWA Maria, DYWIŃSKI Jacek, DZIEWANOWSKA Ada, DZIEWANOWSKI M. K. — EICHLER Krystyna, ETLER Edward. — FABRE-LUCE Alfred, FLEMMING George J., FONBERG Zygmunt. — GIDYŃSKI Józef, GODLEWSKI Julian, GOMBROWICZ Witold, GORBANIEWSKAJA Natalia, GÖMÖRI George, GÖRLICH Joachim Georg, GRABOWSKA Alina, GROSS Jan, GRUBY Maciej, GRYNBERG Henryk, GURR-JAZŁOWIECKA Hanka, GUTOWSKI Antoni. — HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HORSKY Peter, HOSTOWIEC Paweł. — IWANIUK Wacław. — JELEŃSKI K. A., JEŻ T. T., JĘDRKIEWICZ Aleksander, J. J., JORDAN Zbigniew A. — KALINOWSKI Jerzy, KAŁUŻA F., KAMIŃSKI Apolinary, KAVANAUGHT James, KAWECKI Bohdan, KŁODNICKI Lucjan, KOBRZYŃSKI Bolesław, KOPAŃSKI Stanisław, KORAB, KORSON J., KOSSOWSKA Stefania, KOTARBIŃSKI Tadeusz, KOWALEWSKI Janusz, KOWALIK Jan, KOZŁOWSKA Barbara, KOZŁOWSKI S. W., KRIEGEL Frantisek, KROK-PASZKOWSKI J., KRÓLIKOWSKI Roman, KRUCZEK Adam, KRYGIER Ryszard, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUBALSKI Seweryn, KULSKI Julian S., KWARC Seweryn, KWIATKOWSKI Hieronim, ks. — LESZCZA Jan, LEWICKYJ Borys, LICHTEN Józef, LONDYŃCZYK, LUBELSKI Andrzej, LURCZYŃSKI Mieczysław. — ŁOBODOWSKI Józef, ŁUSZCZKI Lucjan, ks., ŁYSEK Paweł. — MAKOWSKI Jan, MAREK Zdzisław, MARKIEWICZ Zygmunt, MATIS Jan, MAURER Jadwiga, MĘKARSKI Ste-

fan, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MITKIEWICZ Leon, MORELOWSKI Jan, MOSTWIN Danuta, MROCZKOWSKI Stanisław, MROŻEK Sławomir. — NAKOV Andrzej, NASIELSKI Adam, NIEUŻYŁA Paweł, ks., NOWACKI Tadeusz, NOWAK Jan, NOWICKI Zygmunt. — OBSERWATOR, OSADCZUK Bohdan. — QUINZIO Sergio. — PAWLIKOWSKI Michał K., PELIKAN, PERZANOWSKI Lucjan, PFAU Aleksander, PH, PIOTROWSKI Jerzy, PODBORSKI J. St., POPIEL Karol, PREISS Paulina, PUACZ Edward. — RAINA Peter, RÓZGA Kazimierz, RUDNICKI Ryszard, RYDZYŃSKA L., RYNKIEWICZ Artur, RZYMIANIN. — SABBAT Kazimierz, SARYUSZ-BIELSKI Tadeusz, SAWULAK Mikołaj, SCHOENFELD Henryk, SINDBAD ŻEGLARZ, SKARBEK Kajetan, SKOLIMOWSKI Henryk, SŁUCKI Arnold, SMOLAN Aleksander, SOJKA Wojciech, ks., SOLIKOWSKI Adam, SOŁŻENICYN Aleksander, STAAR Richard F., SUTKOWSKI Adam, SZACKI Wiktor, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz, SZULCZYŃSKI Leon, SZWEDE Jerzy, SZYMANIAK Witold, SZYMECZKO Edward, ks. — TARNAWSKI Wit, TEMKIN Gabriel, TERLECKI Tymon, TRĘBICKI Kazimierz, TWIERDOCHLEBOW W., TYRMAND Leopold. — VINCENZ Stanisław. — WARSKI Jan, WARSZAWIANIN, WEINTRAUB Wiktor, WEPSIĘĆ Jan, WIERZYŃSKI Kazimierz, WITTLIN Józef, WYGODZKI Stanisław, WYSOCKI J. — XYZ. — ZARZEWSKI Stanisław, ZBINDEN Hans, ZDZIECHOWSKI Paweł, ZIEMBIŃSKA Irena, ZNAMIEROWSKI Alfred, ZNAMIEROWSKI Janusz. — ŻAGIELL E.

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BOGUSŁAWSKA Anna: *Dzieci z licznych rodzin* (1/256-2/257).
BYRSKI Zbigniew: *Czy anty-Jałta jest możliwa?* (11/266).
CZŁOWIEKOWSKI I. J.: *Cena postępu* (5/260).
JĘDRKIEWICZ Aleksander: *Crescite et multiplicamini* (1/256-2/257).
JORDAN Zbigniew A.: *Konflikt ideologii marksistowskiej i filozofii* (3/258).
KORSON J.: *Wydarzenia miesiąca* (1/256-2/257, 3/258, 4/259, 5/260, 6/261, 7/262-8/263).
KOZŁOWSKA Barbara: *Jedność w różnorodności* (5/260).
KRYGIER Ryszard: *Z notatnika spiesznego turysty* (6/261, 7/262-8/263).
LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/256-2/257, 3/258, 4/259, 5/260, 6/261, 7/262-8/263, 9/264, 10/265, 11/266, 12/267).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dialogi i konwencje* (5/260).
— *Praga i Pekin* (11/266).
— *Refleksje emigracyjne* (10/265).
— *Refleksje współczesne* (3/258, 4/259, 6/261).
— *Rewolucja jedna i niepodzielna* (1/256-2/257).
— *Rozmowy z młodymi* (12/267).
— *Sojusz* (7/262-8/263).
— *Stare wino w nowych beczkach* (9/264).

MROCZKOWSKI Stanisław: *Pierwsze konstatacje* (11/266).
OSADCZUK Bohdan: *W Belgradzie — Krok naprzód* (5/260).
SCHOENFELD Henryk: *Księżycowe obiter dicta* (11/266).
SKOLIMOWSKI Henryk: *Leszek Kołakowski — fenomen polskiego maksizmu* (6/261).
WYDARZENIA MIESIĄCA (9/264, 10/265, 11/266, 12/267).
ZDZIECHOWSKI Paweł: *Kapitaliści i dziennikarze* (7/262-8/263).
— *Refleksje porewolucyjne* (6/261).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

CZAPSKI Józef: *Jerzy Stempowski* (11/266).
CZAYKOWSKI Bogdan: *Literatura i polityka* (4/259, 5/260).
— *„The History of Polish Literature" Czesława Miłosza (I)* (12/267).
GOMBROWICZ Witold: *Fragment z Dziennika* (7/262-8/263).
— *Ostatni wywiad* (9/264).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Przebity światłem* (4/259).
— *Trockij o literaturze* (4/259).
HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Sołżenicyn A.
HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik niespiesznego przechodnia (Gorzka pigułka)* (1/256-2/257).
— *Notatnik niespiesznego przechodnia* (11/266).
IWANIUK Wacław: *Ostatni list* (4/259).
JELEŃSKI K. A.: *Dramat i anty-dramat* (9/264).
ŁOBODOWSKI Józef: *Poeta zangażowany* (4/259).
MIŁOSZ Czesław: *Podzwonne* (9/264).
— *Prywatne obowiązki wobec polskiej literatury* (10/265).
— *Zapisane wczesnym rankiem* (4/259, 12/267).
MROŻEK Sławomir: *Gombrowicz. Śmierć* (9/264).
SOŁŻENICYN Aleksander: *List otwarty do Związku Pisarzy Sowieckich* (12/267), przeł. Zofia Hertz.
TYRMAND Leopold: *Hłasko* (9/264).
WITTLIN Józef: *Na pożegnanie Wierzyńskiego* (4/259).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

DOBEK Czesław: *Noc w Apeninach* (10/265).
GRYNBERG Henryk: *Pochodzenie społeczne czyli Łapa* (4/259).
HAUPT Zygmunt: *Nietota* (1/256-2/257).
— *Perekotypole* (7/262-8/263).
JEŻ T. T.: *Dziewczyna* (1/256-2/257).
KORAB: *Western* (6/261).
KWARC Seweryn: *Cudzoziemiec* (9/264).
— *Kamienie mówić będą...* (9/264).
ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Smolan A., i Sołżenicyn A.
MIŁOSZ Czesław: *O emigracji do Ameryki* (5/260).
PFAU Aleksander: *Zegarek:* (7/262-8/263).

SMOLAN Aleksander: *Chryzantemy* (7/262-8/263), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
SOŁŻENICYN Aleksander: *Prawa dłoń* (12/267), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
VINCENZ Stanisław: *W domu* (1/256-2/257).
WARSKI Jan: *Siateczka* (1/256-2/257).

Utwory poetyckie

BIAŁY Andrzej: *List z zaścianka I* (10/265).
— *Nocą* (10/265).
— *Słowo o W.* (10/265).
BUSZA Andrzej: *Noc* (7/262-8/263).
— *Pejzaż zimowy* (7/262-8/263).
— *Sztuka* (7/262-8/263).
CHABROWSKI Tadeusz: *Siedem* (1/256-2/257).
— *Z A. M. Fredry* (1/256-2/257).
CZAYKOWSKI Bogdan: *Tren* (3/258).
CZERNIAWSKI Adam: *Lingua adamica* (1/256-2/257).
— *Słuchając któregoś kwartetu Schuberta* (1/256-2/257).
— *Życiorys* (1/256-2/257).
DERĘGOWSKI Jan: *Po pożarze* (1/256-2/257).
— *Słonie* (1/256-2/257).
GORBAJEWSKAJA Natalia: *Jak żołnierz...* (5/260), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
GRYNBERG Henryk: *Fragmenty poematu pt. „Wysokie milczenie"* (7/262-8/263).
GURR-JAZŁOWIECKA Hanka: *Na krawędzi* (1/256-2/257).
IWANIUK Wacław: *Z mojej księgi rodzaju* (1/256-2/257).
KOBRZYŃSKI Bolesław: *Dziwna lampa* (5/260).
— *Zamek* (5/260).
— *Zanim* (5/260).
LESZCZA Jan: *Pot* (6/261).
— *Z notatek ex-romantycznego poety* (6/261).
— *Z notatek Guliwera* (6/261).
— *Z notatek starego umierającego emigranta* (6/261).
ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz), ob. Gorbajewskaja N.
RYDZYŃSKA L.: *Cierpienie tobie* (1/256-2/257).
— *Hôtel de Lutèce* (1/256-2/257).
— *Życzenia* (1/256-2/257).
SŁUCKI Arnold: *Czytaj morze* (1/256-2/257).
— *Mit wtóry* (1/256-2/257).
— *Pierwsza wersja* (5/260).
— *Rąbka morze uchyliło* (1/256-2/257).
— *Rozbicie symbolu* (5/260).
— *Widziałem skarpę* (1/256-2/257).
— *W Jerozolimie* (1/256-2/257).
SOLIKOWSKI Adam: *Opowiadanie* (6/261).

WIERZYŃSKI Kazimierz: *Caravaggio* (1/256-2/257).
— *Dzwony* (1/256-2/257).
— *Na śmierć Jana Palacha w Pradze* (3/258).
WYGODZKI Stanisław: *Z cyklu „Drzewo ciemności"* (7/262-8/263).

Sprawy krajowe

ADAMSKI Bogdan: *Requiem dla socrealizmu w architekturze* (4/259).
BYRSKI Zbigniew: *Rola biurokracji w bloku komunistycznym* (9/264).
Czarna Lista (3/258, 4/259, 5/260, 6/261, 7/262-8/263, 10/265).
GIDYŃSKI Józef *Cudzoziemcy za granicą a nowy kodeks karny* (7/262-8/263).
GRABOWSKA Alina: *Łódzki Marzec* (5/260).
GROSS Jan: *O rewizjonizmie* (11/266).
GUTOWSKI Antoni: *Polska droga do...* (11/266, 12/267).
HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (3/258, 4/259, 7/262-8/263).
HORSKY Peter: *Smutna parafia* (10/265).
KAMIŃSKI Apolinary: *Gomułka i Moczar* (9/264).
Korespondencja z kraju (1/256-2/257).
Literatura i my (3/258).
LURCZYŃSKI Mieczysław: *Notatnik z podróży po Polsce* (1/256-2/257).
MATIS Jan: *Dżuma* (3/258).
Można i tak (9/264).
Nie o egalitaryzm chodziło (6/261).
Nie zgadzam się z Baumanem (4/259).
OBSERWATOR: *Dyskryminacja mniejszości narodowych w PRL* (3/258).
PELIKAN: *Nie dać się oswoić* (12/267).
PERZANOWSKI Lucjan: *List do M. Lurczyńskiego* (3/258).
Popierajcie dywersję! (10/265).
PREISS Paulina: *Dialog trwa* (3/258).
Refleksje rocznicowe (6/261).
Satyra studencka PRL 1968 (3/258).
SINDBAD-ŻEGLARZ: *Hawana czyli traktat o kontrabandzie* (10/265).
SKARBEK Kajetan: *Wyjazd* (10/265).
SZACKI Wiktor: *Nowe nacjonalizmy* (11/266).
SZULCZYŃSKI Leon: *Sukcesy i porażki M. Moczara* (1/256-2/257).
— *Warszawska karuzela władzy* (3/258).
W stylu Termidora (6/261).
Wybory w Polsce (5/260).
„Zawodowy Polak" (11/266).
Z ostatniej chwili (12/267).

Sąsiedzi

Apel do społeczeństwa (9/264).

BIELINKOW Arkadij: *Praga — wiosna — zima* (3/258), przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Rosja 1969. Wrażenia turysty* (10/265).
BRODZIŃSKI Konrad: *Lenin za gumę do żucia* (11/266, 12/267).
Dwa procesy (1/256-2/257).
FLEMMING George J.: *Znad Wełtawy nad Pacyfik* (1/256-2/257).
Harvardzki ośrodek ukraiński (9/264).
HEYDENKORN Benedykt: *Rozmowy z bp. Rusnakiem i St. Romanem* (1/256-2/257).
J. J.: *Demokracje ludowe po Pradze* (6/261).
KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (9/264, 11/266).
KRIEGEL Frantisek: *Wystąpienie na plenum partii w maju rb.* (9/264), przeł. z czeskiego Alfred Znamierowski.
KROK-PASZKOWSKI Jan: *Odra, Dunaj i Łaba* (6/261).
KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (5/260, 6/261, 7/262-8/263, 9/264, 12/267).
ŁOBODOWSKI Józef: *Czy potrzebny konflikt* (5/260).
— (tłumacz) ob. Bielinkow Arkadij.
MAKOWSKI Jan: *Praga 1969* (3/258).
— *Za Olzą* (3/258).
NOWACKI Tadeusz (tłumacz) ob. Staar Richard F.
Nowa emigracja polityczna (10/265).
OSADCZUK Bohdan: *Niemcy na zakręcie* (11/266).
PREISS Paulina: *Wizyta w Moskwie* (4/259).
Protest Pisarzy — 10 punktów (10/265).
STAAR Richard F.: *Strategiczne możliwości ZSSR* (12/267), przeł. z angielskiego Tadeusz Nowacki.
WARSZAWIANIN: *Wakacje w Pradze* (10/265).
XYZ: *Czechosłowacka normalizacja dobiega końca* (10/265), przeł. z czeskiego Alfred Znamierowski.
Z Czechosłowacji (7/262-8/263).
Zła wola czy ignorancja (4/259).
ZNAMIEROWSKI Alfred (tłumacz) ob. Kriegel Frantisek i XYZ.
ŻAGIELL Edward: *Litwa współczesna* (7/262-8/263).

Obserwatorium

Aresztowanie (10/265).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Kuzniecow i Lisiecka* (10/265).
— *Ostatni rozdział* (10/265).
Król Ube i Polacy (7/262-8/263).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BROŃSKI M.: *Demokracja a totalitaryzm* (3/258).
— *Ku beta-rewolucji* (7/262-8/263).

— *Mandaryni, liberałowie i anarchiści* (12/267).
— *Reportaż spod szubienicy* (6/261).
CHORĄŻYNA Hanna: *Na marginesie książki Wygodzkiego* (10/265).
CZERNIAWSKI Adam: *Prawdy względne Leszka Kołakowskiego* (1/256-2/257).
CZAPSKA Maria: *Przyczynek do Kalendarium mickiewiczowskiego* (7/262-8/263).
DANILEWICZ Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (1/256-2/257, 3/258, 5/260, 7/262-8/263, 10/265, 11/266).
— *Literatura polska w „Dictionnaire des littératures"* (3/258).
DOBKOWA Maria: *Socjologia sercem pisana* (4/259).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Wolny niewolnik* (7/262-8/263).
KALINOWSKI Jerzy: *Uczeń i mistrz* (9/264).
KŁODNICKI Lucjan: *Ofiary i oprawcy* (1/256-2/257).
KOWALIK Jan: *Bibliografia czasopism polonijnych w USA* (4/259).
KROK-PASZKOWSKI Jan: *Książka Gamarnikowa* (3/258).
KRUCZEK Adam: *Wielki terror* (5/260).
KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Fikcja i fiasco* (11/266).
— *Z życia wyższych sfer* (6/261).
LICHTEN Józef: *„Jeśli my milczeć będziemy"...* (4/259).
MAURER Jadwiga: *Nowości amerykańskie* (5/260).
MIŁOSZ Czesław: *Lepsze zabawy* (10/265).
— *Sienkiewicz, Homer i Gnębon Puczymorda* (1/256-2/257).
MORELOWSKI Jan: *Powieść o zaginionym świecie* (10/265).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/256-2/257, 3/258, 4/259, 6/261, 7/262-8/263, 9/264, 10/265, 11/266, 12/267).
NOWACKI Tadeusz: *Milicja czy regularne wojsko* (5/260).
PODBORSKI J. St.: *Interesujące wydawnictwo* (4/259).
SUTKOWSKI Adam: *Staropolskie organy* (1/256-2/257).
TARNAWSKI Wit: *Nieznane dzieło Conrada* (5/260).

Kronika kulturalna

ADAMSKI Bogdan: *Architektura i urbanistyka polska* (9/264).
BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Młodzi w akcji* (11/266).
CZAPSKI Józef: *Sima i Cremonini* (1/256-2/257).
— *Wierny z wiernych* (5/260).
GÖMÖRI George: *Tibor Déry* (11/266), przeł. z angielskiego Paweł Zdziechowski.
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Pożegnalny list* (12/267).
KOTARBIŃSKI Tadeusz: *Wspomnienie o Czesławie Znamierowskim* (6/261).
ŁYSEK Paweł: *Zaolziański „angry man"* (5/260).
NAKOV Andrzej: *Kontrowersyjne koncepcje nowoczesności* (7/262-8/263).
— *„Tysiąc lat sztuki w Polsce"* (6/261).
Pasternak zakazany Czechom (5/260).
SAWULAK Mikołaj: *Anna Kowalska* (7/262-8/263).

SUTKOWSKI Adam: *Muzyka w Europie Wschodniej* (7/262-8/263, 11/266).
— *Polemika wokół Pendereckiego* (3/258).
— *Rocznica odrodzenia Polski w Radio Francuskim* (1/256-2/257).
Śmierć Marka Hłaski (7/262-8/263).
TERLECKI Tymon: *„Pan Jerzy"* (12/267).
WEINTRAUB Wiktor: *Stanisław Pigoń* (7/262-8/263).
ZBINDEN Hans: *Wielki polski emigrant* (12/267).
ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Gömöri George.

Komunikaty

Adam Gac Foundation (5/260).
Akademia ku czci Kazimierza Wierzyńskiego w Toronto (5/260).
Ankieta Koła Studiów Międzynarodowych (5/260).
„Chicago woman of the year" (11/266).
Depozyt Fundacji Lanckorońskich (3/258).
„Fanatycy wolności" (6/261).
Fundusz Tadeusza Sendzimira (9/264).
Koło Przyjaciół paryskiej „Kultury" w Toronto (6/261).
Komunikat Polskiego Twa Historycznego (7/262-8/263).
Kongres Nauki i Kultury Polskiej (7/262-8/263).
Konkurs jednego wiersza (4/259).
Maria Kamil: Saga polska (6/261).
M. i R. Schneiderowie (6/261).
Nagrody Fundacji im. A. Jurzykowskiego (3/258).
Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1/256-2/257).
Nagrody Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce (1/256-2/257).
Nagrody im. Anny Godlewskiej (10/265).
Nagrody literackie Pisarzy Emigracyjnych (4/259).
Nowy Zarząd Zw. Pisarzy Polskich na uchodźtwie (4/259).
Pamięci Kazimierza Wierzyńskiego (4/259).
Polska Rada Biblioteczna (4/259).
Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie (1/256-2/257, 3/258, 9/264).
Pomnik ku czci 1-szej Emigracji w Anglii (5/260).
Praca o gen. Tokarzewskim (10/265).
Studencki Teatr Satyryków w Warszawie (4/259).
Stypendia Adam Gac Foundation (1/256-2/257).
Stypendia „Polonia Technica" (3/258).
„Tempo Presente" (3/258).
Torontońskie Two Przyjaciół paryskiej „Kultury" (7/262-8/263).
Two Przyjaciół paryskiej „Kultury" w Melbourne (10/265).
Z działalności Instytutu Polskiego w Londynie (1/256-2/257).
Zjazd historyków amerykańskich (3/258).
Zjazd Kadetów (5/260).
Zjazd Polek w Wielkiej Brytanii (9/264).
50-lecie 16 p. ułanów wielkopolskich (11/266).

Sprawy i troski

CHCIUK Andrzej: *O zmianie nazwisk* (1/256-2/257).
FLEMMING George J.: *Antypody* (dok.) (3/258).
Fundusz Pomocy Prawnej (5/260).
GIDYŃSKI Józef: *Podwójne obywatelstwo* (11/266).
GRABOWSKA Alina: *Raj utracony — raj odzyskany* (12/267).
HEYDENKORN Benedykt: *Problemy słowiańskie w Kanadzie* (10/265).
J. J.: *50-lecie Stow. Inżynierów i Techników Polskich we Francji* (9/264).
KRÓLIKOWSKI Roman: *O Polakach w Afryce Południowej* (5/260).
MARKIEWICZ Zygmunt: *Polonistyka we Francji* (6/261).
MATIS Jan: *Krajowiec wśród emigrantów* (1/256-2/257).
PH: *Chlestakow w Warszawie* (10/265).
PUACZ Edward: *Muzeum Polonii w Chicago* (1/256-2/257).
Rosnąca ofensywa na Polonię (12/267).
SABBAT Kazimierz: *Rola polityczna emigracji* (4/259).
„Skandal" (9/264).
SOJKA Wojciech, ks.: *O polską sinologię* (11/266).
ZARZEWSKI Stanisław: *Czytelnictwo na emigracji w roku 1967* 3/258, 4/259).

O religii bez namaszczenia

BROŃSKI M. (tłumacz) ob. Kavanaught James.
FABRE-LUCE Alfred: *List otwarty do Chrześcijan* (9/264), przeł. z francuskiego Paweł Zdziechowski.
KAVANAUGHT James: *„NIE" staremu Kościołowi* (4/259), przeł. z angielskiego M. Broński.
KUBALSKI Seweryn: *Katolicy świeccy kontestują* (7/262-8/263).
List księży Dekanatu Londyn (4/259).
QUINZIO Sergio: *Teologia „Śmierci Boga"* (3/258), przeł. z włoskiego Włodzimierz Sznarbachowski.
SZNARBACHOWSKI Włodzimierz (tłumacz) ob. Quinzio Sergio.
ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Fabre-Luce Alfred.

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

GÖMÖRI George: *Tibor Déry* (11/266), przeł. Paweł Zdziechowski.
KAVANAUGHT James: *„Nie" staremu Kościołowi* (4/259), przeł. M. Broński.

STAAR Richard F.: *Strategiczne możliwości ZSSR* (12/267), przeł. Tadeusz Nowacki.

Z języka czeskiego

KRIEGEL Frantisek: *Wystąpienie na plenum partii w maju rb.* (9/264), przeł. Alfred Znamierowski.
XYZ: *Czechosłowacka normalizacja dobiega końca* (10/265), przeł. Alfred Znamierowski.

Z języka francuskiego

FABRE-LUCE Alfred: *List otwarty do Chrześcijan* (9/264), przeł. Paweł Zdziechowski.
SOŁŻENICYN Aleksander: *List otwarty do Związku Pisarzy Sowieckich,* (12/267), przeł. Zofia Hertz.

Z języka rosyjskiego

BIELINKOW Arkadij: *Praga — wiosna — zima* (3/258), przeł. Józef Łobodowski.
GORBAJEWSKAJA Natalia: *Jak żołnierz...* (5/260), przeł. Józef Łobodowski.
SMOLAN Aleksander: *Chryzantemy* (7/262-8/263), przeł. Józef Łobodowski.
SOŁŻENICYN Aleksander: *Prawa dłoń* (12/267), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka włoskiego

QUINZIO Sergio: *Teologia „Śmierci Boga"* (3/258), przeł. Włodzimierz Sznarbachowski.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za r. 1969 (12/267).

Noty biograficzne

BOGUSŁAWSKA Anna (1/256-2/257).
BRODZIŃSKI Konrad (11/265).
BYRSKI Zbigniew (9/264).
CHORĄŻYNA Hanna (10/265).
GUTOWSKI Antoni (11/266).
SŁUCKI Arnold (1/256-2/257).
STAAR Richard F. (12/267).
SZACKI Wiktor (11/266).
ZBINDEN Hans (12/267).

Listy do Redakcji

BABIŃSKI Witold (7/262-8/263), BERAN Józef (3/258), BOCHENSKI I. M., O.P. (12/267), BRZEZIŃSKI Zbigniew (7/262-8/263), CHCIUK Andrzej (1/256-2/257), CIECHOŃSKI Czesław (10/264), CIOŁKOSZ Adam (9/264), CZARNOCKA Halina (12/267), CZERNIAWSKI Adam (5/260), CZERWIŃSKI Witold i TRĘBICKI Kazimierz (11/266), DĄBROWSKI Jan P. (7/262-8/263), DĄBROWSKI Tadeusz (6/261), DYWIŃSKI Jacek (9/264), DZIEWANOWSKA Ada (11/266), DZIEWANOWSKI M. K. (1/256-2/257), EICHLER Krystyna (10/264), ETLER Edward (7/262-8/263), FONBERG Zygmunt (12/267), GODLEWSKI Julian (12/267), GÖRLICH Joachim Georg (10/264), GRUBY Maciej (4/259), KAŁUŻA F. (9/264), KAWECKI Bohdan (4/259), KOPAŃSKI Stanisław (11/266), KOSSOWSKA Stefania (6/261), KOWALEWSKI Janusz (11/266), KOWALIK Jan (12/267), KRUCZEK Adam (7/262-8/263), KULSKI Julian S. (5/260), KWIATKOWSKI Hieronim, ks. (9/264), LEWICKYJ Borys (7/262-8/263), LUBELSKI Andrzej (11/266), ŁUSZCZKI Lucjan, ks. (6/261), MAREK Zdzisław (10/264), MARKIEWICZ Zygmunt (4/259), MAURER Jadwiga (12/267), MĘKARSKI St. (1/256-2/257), MITKIEWICZ Leon (3/258, 12/267), MOSTWIN Danuta (5/260), NASIELSKI Adam (1/256-2/257, 11/266), NIEUŻYŁA Paweł, ks. (11/266), NOWAK Jan (6/261), NOWICKI Zygmunt (7/262-8/263), PAWLIKOWSKI Michał K. (6/261, 7/262-8/263), PIOTROWSKI J. (1/256-2/257), POPIEL Karol (4/259), RAINA Peter (5/260), RÓZGA Kazimierz (9/264), RUDNICKI Ryszard (3/258), RYNKIEWICZ Artur (3/258), SARYUSZ BIELSKI Tadeusz (7/262-8/263), SZYMANIAK Witold (11/266), SZWEDE Jerzy (9/264), SZYMECZKO Edward, ks. (7/262-8/263), TEMKIN Gabriel (3/258), TWIERDOCHLEBOW W. (5/260), TYRMAND Leopold (1/256-2/257), WEPSIĘĆ Jan (10/264), WITTLIN Józef (3/258), WYSOCKI J. (3/258), ZARZEWSKI Stanisław (11/266), ZIEMBIŃSKA Irena (1/256-2/257), ZNAMIEROWSKI Janusz B. (7/262-8/263).

Różne

Apel Redakcji w sprawie „Zeszytów Historycznych" (3/258).
Antologia „Kultury" po angielsku (5/260).
Odpowiedzi Redakcji (3/258, 4/259, 5/260, 6/261, 7/262-8/263, 9/264, 12/267).
Od Redakcji w sprawie wysokości prenumeraty na rok 1970 (10/265).
Komunikat Redakcji o nabożeństwach za duszę Jana Palacha (3/258).
Komunikat Redakcji o opóźnieniach kolportażu (4/259).
Nekrolog F. A. Arciszewskiego (6/261).

Nekrolog Kazimierza Wierzyńskiego (3/258).
Przedpłata na książkę F. Kalinowskiego „Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii" (3/258, 4/259, 5/260, 7/262-8/263).
Rysunek Jerzego Stempowskiego wykonany przez Józefa Czapskiego (11/266).
Sprostowanie Redakcji (7/262-8/263).
Subskrypcja na „Dzieła Zebrane" Gombrowicza (9/264, 10/265, 11/266, 12/267).
Wpłaty dla uczczenia pamięci Jerzego Stempowskiego (11/266, 12/267).
Wpłaty na Fundusz „Kultury" (1/256-2/257, 3/258, 4/259, 5/260, 6/261, 7/262-8/263, 9/264, 10/265, 11/266, 12/267).

Wydawnictwa książkowe w roku 1969
Biblioteka « Kultury »

Tom 166 — Grynberg Henryk: *Zwycięstwo*, str. 96.
Tom 167 — *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty"), str. 160.
Tom 168 — De Roux Dominique: *Rozmowy z Gombrowiczem*, str. 160.
Tom 169 — Koszeliwec Iwan: *Ukraina 1956-1958* (Seria „Dokumenty"), str. 272.
Tom 170 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15), str. 256.
Tom 171 — Wierzyński Kazimierz: *Sen mara* (Poezje), str. 128.
Tom 172 — *Polskie przedwiośnie* — Wydarzeń marcowych T. 2. — *Czechosłowacja* (Seria „Dokumenty"), str. 160.
Tom 173 — Mackiewicz Józef: *Nie trzeba głośno mówić.* (Powieść), str. 560.
Tom 174 — Busza Andrzej: *Znaki wodne* (Poezje), str. 64.
Tom 175 — Herling-Grudziński Gustaw: *Upiory rewolucji* (Eseje), str. 176.
Tom 176 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16), str. 240.
Tom 177 — Miłosz Czesław: *Widzenia nad zatoką San Francisco*, str. 176.
Tom 178 — Miłosz Czesław: *Miasto bez imienia* (Poezje), str. 72.
Tom 179 — Preiss Paulina: *Biurokracja totalna*, str. 208.
Tom 180 — *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty"), str. 88.
Tom 181 — Gombrowicz Witold: *Ferdydurke*, str. 296 (Tom I „Dzieł Zebranych").
Tom 182 — Kalinowski Franciszek: *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii*, str. 352 plus Indeks nazwisk i Bibliografia.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : **Roman Krolikowski,** 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : **Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », Serrano 2076. Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « **Vistula** « (**Australia**) **Pty Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : **Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I,** Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : **Janina Kerab Brzozowska-Ceaky,** 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : **Inz. J. Minkiewicz,** Wielingeniaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : **M. Jaxa-Debicka,** Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; **Krystyna Krakowska,** 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; **B. Krasuski,** 857 King St W., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; **Jozef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « **ZWIAZKOWIEC** », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : **St. Mikiciuk,** 8 München 45, Gebionzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
	6,50 F	35,00 F	66,00 F
NORWEGIA : **Br. Lubinski,** Klommenstengt 8, Moss.			
SZWAJCARIA : **Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : **Norbert Zaba,** Kaliskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor	58,00 Kor.
U.S.A. : **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; **M. K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **Adam J. Gelinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, **Polish** Amer, Book Co, 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : **P.C.A. Publications, Ltd.,** 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WLOCHY : **Witold Zahorski, Roma,** via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 177 — CZESŁAW MIŁOSZ

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO

Bardzo osobista książka-esej o przyrodzie wybrzeży Pacyfiku, o wyobraźni religijnej człowieka współczesnego, o *sex* i *violence*, o neomanichejskich skłonnościach cywilizacji i o tęsknotach do politycznego terroru. Książka zawiera m.in. polemikę z ideami Herberta Marcuse.

Str. 176. Cena F. 18,50 (dol. 4,00)

◆

TOM 178 — CZESŁAW MIŁOSZ

MIASTO BEZ IMIENIA

(Poezje)

Nowy tom wierszy Miłosza, w którym najwyraźniej widać szczególne, właściwe tylko temu poecie, połączenie krajobrazów Kalifornii i rodzinnej Litwy, życia teraźniejszością i życia przeszłością, Ameryki lat 1960-tych i Wilna zarówno 1930 jak 1820 roku.

Str. 72. Cena F. 9,00 (dol. 2,00)

◆

TOM 179 — PAULINA PREISS

BIUROKRACJA TOTALNA

Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawić z głośną *Nową klasą* Dżilasa, z tym że jest ona o wiele bardziej aktualna gdyż uwzględnia przemiany jakie nastąpiły pomiędzy latami 1956-1969.

Str. 224. Cena F. 18,50 (dol. 4,00)

Cena 5,00 F

Richard, 24, rue Stephenson, Paris-18e

BP